



JENNIFER KLINEC



*Miłość i kuchnia w Iranie*



TYMCZASOWA  
ŻONA





 *Miłość i kuchnia w Iranie* 

TYMCZASOWA  
ŻONA

JENNIFER KLINEC

 *Miłość i kuchnia w Iranie* 

TYMCZASOWA  
ŻONA

 *Miłość i kuchnia w Iranie* 

TYMCZASOWA  
ŻONA



Tytuł oryginału: *The Temporary Bride: A Memoir of Love and Food in Iran*  
First published as a paperback original in Great Britain in 2014 by Virago  
Copyright © Jennifer Klinec 2014  
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016  
Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Magdalena Genow-Jopek  
Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija  
Korekta: zespół redakcyjny  
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Klaudia Kumala  
Autor okładki i strony tytułowej: Anna Damasiewicz  
Fotografia na okładce: [depositphotos.com/Branislav Ostojic](https://depositphotos.com/Branislav-Ostojic)  
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-358-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.  
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań  
tel.: 61 853-99-10  
fax: 61 853-80-75  
[redakcja@czwartastrona.pl](mailto:redakcja@czwartastrona.pl)  
[www.czwartastrona.pl](http://www.czwartastrona.pl)



## Prolog



Zaczyna się od tego, co stało się już codziennym rytuałem. Najpierw rano wsiadam do taksówki i z sercem w gardle jadę przez zatłoczone ulice Jazdu do jej mieszkania na skraju miasta. Zwykle proszę kierowcę, żeby zatrzymał się po drodze, i kupuję kwiaty; podczas gdy on się niecierpliwi i denerwuje, ja przebieram między więdnącymi irysami i tulipanami, które w jakiś sposób dotarły aż na pustynię. Ale ten taksówkarz sprawia, że czuję się niepewnie, więc nie proszę, by się zatrzymał.

Jest starszy niż inni kierowcy, z którymi jeździłam, nie ma najmodniej utrwalonych żelem włosów w stylu na papugę. Nie ma też wypłowiałego w słońcu, ręcznie malowanego koguta na dachu swojego samochodu. Mimo dziewięćdziesięciu stopni<sup>[1]</sup> nosi kurtkę zarzuconą na gruby sweter z szorstkiej wełny. W jego aucie wyczuwam zapach wody różanej i tytoniu.

Prowadząc, głośno postukuje sznurem drewnianych paciorków modlitewnych, które przesuwam między palcami. Tablica rozdzielcza oblepiona jest wyświechtanymi obrazkami z brodatymi prorokami w różnych odcieniach wypłowiałej zieleni. Jest chyba pobożnym, poważnym człowiekiem, z rodzaju tych, którzy wciąż mnie onieśmielają.

Nie odzywa się przez dwadzieścia minut, czyli od chwili, gdy podjechał do krawężnika, na którym stałam, trąbiąc klaksonem i ostro skręcając poobijanym paykanem. To zapewne jego druga praca, wykonywana przez kilka godzin każdego ranka, będąca konsekwencją rosnącej inflacji i trzech dewaluacji w ostatnim roku.

Bawię się końcem bawełnianego szala w rdzawym kolorze, którym luźno

owinęłam głowę. Szybko przywykłam do tego zwyczaju. Śrubokręt z zieloną rączką, wepchnięty w szparę obok mojego okna, zaczyna postukiwać, kiedy skręcamy w pylistą, szeroką drogę. Po obu stronach stoją ceglane budynki w kolorze piaskowca, jak te, w których mieszka Vahid ze swoimi rodzicami. Wręczam kierowcy równowartość dziesięciu dolarów, czyli ponad dwa razy więcej, niż powinien kosztować ten kurs, i wiem już, że nie mam co czekać na resztę.

Przyjeżdżam tu od trzech dni, więc strażnicy znają moją twarz. Podnoszą wzrok znad czytanych gazet i tylko gestem pokazują, że mogę wejść na schody.

Matka Vahida codziennie ubiera się na czarno. Chcę uściskać ją na przywitanie, ale na to jest jeszcze za wcześnie. Kiedy przychodzę, zawsze ma chustę na głowie i pochyla się, gdy próbuję robić zdjęcia. Nad herbatą z cynamonem kartkujemy nasze kolekcje książek kucharskich, żeby zaplanować dzisiejsze menu: kurczaka w granatach z sosem orzechowym lub gulasz rybny aromatyzowany kozieradką i tamaryndą. To drugie danie jest specjalnością Chuzestanu, regionu, z którego pochodzi, i miejsca, gdzie wyszła za mąż i mieszkała ze swoim mężem, zanim bomby zdetonowane przez nacierającą armię Saddama nie powybiły im okien w domu i nie zmusiły do ucieczki.

Siedzimy na podłodze, między nami stoi srebrna taca, a my sortujemy stopy świeżej mięty, bazylii i pietruszki. Zdecydowanym gestem odrywam splątane korzenie z piaskiem i drobnymi kamyczkami i przepłukuję liście w wiadrze z osoloną wodą. Ona obiera cebule i, trzymając je w ręce, kroi na plasterki. Jej nożyk uderza o wnętrze dłoni, a małe, równe półksiężycy spadają do plastikowej miski. Słyszę dźwięk podobny do fal cofających się po kamienistej plaży, więc wiem, że właśnie odmierza ryż. Zanurza w nim poszczerbioną filiżankę ze złotym brzeżkiem i wzorem w różę, którą trzyma w worku właśnie do tego celu. Cztery filiżanki zamiast trzech, ponieważ wciąż traktuje mnie jak gościa i bardzo by się wstydziła, gdybym nie dostała dodatkowej porcji podczas posiłku.

W posyłanych mi uśmiechach oraz głębokich westchnieniach *akheish*

wyczuwam, że przywracam równowagę w tym domu. Jej drugie dziecko, siostra Vahida, mieszka przy granicy z Irakiem, oddalona o dwadzieścia sześć godzin jazdy autobusem. Wyobrażam sobie, że tęskni za swoją jedyną córką. Nuci coś podczas pracy – ten dźwięk wydaje się zbyt silny, jak na tak drobną osobę – ale to jednostajne mruczenie nie działa ani uspokajająco, ani radośnie. Powiedziałabym, że unosi się wokół mnie, tak że wciąż jestem świadoma jej obecności, centrum przyciągania w kuchni, którą dzielimy.

Vahid i jego ojciec rzadko się do niej zwracają w te długie poranki, kiedy razem gotujemy. Zamiast tego biorą się za jakieś niezbędne naprawy. Zdejmują ogromny, podwieszony u sufitu wentylator. Luzują śrubokrętami filtry, zabierają je na balkon i otrzepują z kurzu. To zajęcie jest okazją do towarzyskiego spotkania i długich konsultacji z sąsiadami, którzy służą im radą. Ona pracuje w samotności, będąc jedyną kobietą w domu. Mężczyźni wchodzi do kuchni tylko po to, by porwać z miski oskrobaną marchewkę lub kawałek kalafiora. Gdyby nie to, widywałam ich jedynie podczas posiłków, kiedy wracają do domu lub wstają ze swoich posłań w kolorze szkarłatnym i granatowym, by otworzyć na oścież drzwi, którymi w porze obiadu napływają liczni krewni.

Każdego dnia, gdy dom wypełnia się aromatem szafranu, syropu z granatów i cebuli podsmażanej na maśle, nasza praca niewiele się różni od tej na starych królewskich dworach. Wszystkie dania dekorujemy odrobiną śmietany i gałązkami ziół. Rozkładamy obrus *sofreh* i naciągamy go w powietrzu. Położywszy go na podłodze, bez słowa, skoordynowanymi ruchami przesuwamy po nim dłońmi, by wygładzić wszystkie zagięcia z tkanego złotą nicią wzoru. Stawiamy na nim patery ryżu z dodatkiem berbersu, misy z aromatycznymi gulaszami i własnoręcznie przez nią opisane małe słoiki z domowej roboty przetworami. Mężczyźni szybko siadają i zjadają wszystko niemal bez słowa, nie odrywając wzroku od telewizora. Gdy ich talerze robią się puste, natychmiast znowu są zapełniane przez ich żony. Kładą przed nimi kawałki opiekanego nad ogniem chleba i by mogli łatwo sięgnąć, obracają w ich stronę uchwyt dzbana z *doogh*, pitnym jogurtem, który matka Vahida każdego wieczoru stawia na oknie, by



sfermentował przez noc. W tym domu wszystko kręci się wokół mężczyzn oglądających CNN i BBC.

Słucham jednym uchem, ale nie bardzo mnie to interesuje. Reporter mówi o nadchodzących wyborach. Ahmadineżad wygłasza jakieś przemówienie. Mężczyźni starają się zrozumieć podłożone angielskie tłumaczenie i głośno wygłaszają swoje opinie – wskazują palcem i krzyczą z ustami pełnymi jedzenia, które przygotowałyśmy. Nikomu nie przychodzi do głowy, by mnie zapytać.

Ojciec Vahida jest zawsze najgłośniejszy. „Precz, precz z Ameryką!”.

Po obiedzie podaje się herbatę. Zbiera się garnki i naczynia i zanoszą do kuchni. Resztki są zeskrobywane do pustych pojemników po jogurcie, a potem podgrzewane na kolację, zaś talerze i sztućce wkłada się do zlewu. Podwijam rękawy, żeby pozmywać, ale mama Vahida mnie przegania. Gestem wskazuje, że powinnam usiąść z mężczyznami; to taka niespodzianka dla mnie. Zerkam na ojca Vahida i wujów, którzy wciąż siedzą na podłodze i drewnianymi wykałaczkami wydłubują resztki jedzenia spomiędzy zębów. Przechodzę więc na drugą stronę pokoju, do jednej z ciotek. Na zmianę kroimy nożyczkami stos owalnych chlebków *toftoon*, składamy kawałki w ćwiartki i owijamy je ściereczką, by były gotowe na wieczorny posiłek. Kiedy kończymy, czuję, że ciotka próbuje wsadzić mi do ręki jakiś pierścionek. Jest ciężki, srebrny i ma wypukły czerwony kamień. Uśmiecham się, przymierzając go i przytrzymując, by mi się nie zsunął z palca.

– Jest dumna, że może ofiarować ci ten pierścionek, który kupiła w Mekce – mówi Vahid. – Jesteś pierwszą cudzoziemką, którą poznała, i chce, żebyś go zatrzymała. Ale nie martw się – dodaje – wiem, że uważasz, iż jest brzydki, więc nie musisz go nosić.

Zasuwka szafy stojącej w korytarzu przesuwana się z cichym brzękiem, sygnalizując porę na popołudniową drzemkę. Bierzymy trzymane tam poduszki i wełniane koce, pospinałe agrafkami z cienkimi bawełnianymi poszewkami. Kobiety idą do jednego pokoju, mężczyźni śpią w innym. Gdy na paluszkach omijam matki i ciotki, które już ułożyły się w równych rzędach na podłodze, wyczuwam rozluźnienie wynikające z oddzielenia od

mężczyzn. To dopiero mój trzeci dzień tutaj, ale mam już swoje miejsce w kącie pod grubą, żółtą kotarą, która nas osłania przed spojrzeciami.

Słyszę kaszel i ciche pochrapywanie dochodzące z dużego pokoju i kątem oka widzę ojca Vahida oraz wujków okrytych kocami. Rozebrali się do szarych bawełnianych kaletonów, które noszą pod spodniami. Opasane elastycznymi ściągaczami kostki sterczą w różnych kierunkach. Mówione szeptem modlitwy kobiet przechodzą płynnie w cichy, równy oddech. Ponownie dziwię się, że z taką łatwością zasypiają przy mnie, wciąż nieznanym, leżącej wśród nich.

Chociaż intymność tej chwili sprawia, że nie mogę zasnąć, jestem zadowolona, że zasłużyłam na swoje miejsce na ich podłodze.

[1] W skali Fahrenheita (odpowiada to mniej więcej 32 stopniom Celsjusza).



## *Rozdział pierwszy*



Pamiętam, że kiedy dorastałam, mama przeganiała mnie z kuchni. Była skonana po całym dniu w pracy, ale zdeterminowana, by na obiad podać jakieś danie domowej roboty, nie potrzebowała więc żadnej zawalidrogi, żadnego rozchlapywania, a już na pewno nie chciała, żebyśmy wchodziły jej w drogę z naszą niepohamowaną ciekawością, kiedy szybko obierała ziemniaki lub siekała cebulę do surówki z ogórków. Tak dobrze sobie radziła, że w konsekwencji niczego nie nauczyła mnie gotować. Zupełnie niczego.

Urodziłam się na południowym zachodzie Ontario w rodzinie imigrantów. Wiejska droga, przy której mieszkaliśmy, bardziej przypominała wysypaną żwirem ścieżkę i obowiązywał tu pionierski styl życia. Ludzie palili swoje śmieci i myli się w zalatującej siarką wodzie pompowanej ze studni. Strzelali ze sztucerów do szopów i od czasu do czasu do mieszkających w stodole kotów sąsiada. Duży żółty autobus zatrzymywał się przy naszym podjeździe i każdego ranka zabierał moją siostrę i mnie w trwającą godzinę podróż do szkoły. Szybko zorientowałyśmy się z siostrą, że jesteśmy trochę inne niż anglosaskie dzieciaki w naszej okolicy. Na trawniku przed domem piekliśmy na rożnie tusze jagnięce lub wieprzowe. Na drugie śniadanie dostawałyśmy podroby z kapustą w termosie. Podczas kiermaszu wypieków zrobiony przez mamę kwaśny strudel z wiśniami wyróżniał się na tle wysokich ciast z galaretką i kwadratowych kawałków rice krispie. W naszym kulinarnym słowniku nie występowały piersi kurczaka bez kości i skóry. Mimo swojej odmienności, byłam dzieckiem o nienasyconym apetycie i chętnym do pomocy. Moją wyobraźnię zawładnęła tajemnicza i niedostępna kuchnia,

z unoszącym się tam wspaniałym mięsnym i paprykowym aromatem, więc do ostatniego kęsa pochłaniałam zagęszczoną kwaśną śmietaną gulasze, puszyste kluski z kaszy manny i podlewane octem surówki z kapusty, którą mama kruszyła między palcami.

W naszym domu przestrzegano zasad, a posiłki były święte. W przeciwieństwie do moich kolegów z klasy, którzy jadali obiad o wpół do szóstej, trzymając talerze na kolanach i siedząc przed telewizorem w pokoju rekreacyjnym, my rzadko jedliśmy przed ósmą i zawsze przy stole. Moja mama często chodziła w tę i z powrotem, żeby przynieść tacie zimne piwo, więc siedziała najbliżej kuchni. Jego miejsce blisko okna wyróżniało się miseczką oliwek oraz pustym talerzem na kości. W naszym domu ceniliśmy kości różnych kształtów, a my szybko nauczyłyśmy się, jak obracać i łamać skrzydełka kurczaka w ustach oraz jak ogryzać żeberka wieprzowe, by rozrywając je, poczuć wspaniały smak ich cienkich jak papier błon.

Moi rodzice należeli do pokolenia, dla którego pieniądze i zysk były wszystkim. Ojciec przyjechał do Toronto pod koniec lat sześćdziesiątych z dwudziestoma dolarami w kieszeni, nie znając ani słowa po angielsku. Swoją silny węgierski akcent uważał za największe przekleństwo i przysiągł sobie, że jego dzieci będą mówiły po angielsku perfekcyjnie. Trzymał nas z daleka od grup innych Europejczyków ze Wschodu, którzy regularnie spotykali się w różnych salach i salkach kościelnych, żeby pobyć ze sobą i powspominać „stary kraj”. Zamiast tego pracował na zmiany dzienne i nocne jako elektryk, brał wszystkie fuchy, które się pojawiały, i budował wokół nas kokon Nowego Świata. Nigdy nie wrócił na równiny północnej Serbii, gdzie się wychował, nawet wtedy, gdy jego ojciec umierał na raka płuc.

Moja mama, kiedy miała pięć lat, przybyła z babcią do Kanady statkiem, który płynął z jugosłowiańskiego portu w Rijece do Montrealu. Babcia zaszła w ciążę zaraz po ślubie. Mama niewiele pamięta z podróży do Kanady, tylko to, że przez większość drogi było jej niedobrze. Mój dziadek, jak wielu z jego pokolenia, był wielkim patriotą i nie mógł pogodzić się z tym, że Chorwacja dostała się pod wpływy komunistów. Kiedy babcia była jeszcze w ciąży,

poszedł na jedną z wielu toczonych przez Jugosławię wojen, po czym zostawił ją i wyemigrował przez Austrię do Kanady. Mama urodziła się na sianie w stodole, z której wyprowadzono inwentarz. Przez pięć lat jadły z babcią niewiele więcej niż suchy chleb moczony w osolonej wodzie i fasolowy gulasz. W końcu mój dziadek został zmuszony do wystąpienia o wizy dla nich i posłania im pieniędzy na podróż drogą morską. Odkąd pamiętam, moi dziadkowie spali w oddzielnych sypialniach.



*Baba* Stanešič uczyła się angielskiego głównie z telewizji, przez co mówiła szybko i nienaturalnie. To, w połączeniu z jej pozbawioną uśmiechu twarzą i gwałtownością ruchów, sprawiało, że okoliczne dzieciaki zmykały z jej podwórka w ułamku sekundy. Moja babcia w niczym nie przypominała *mémés* i *nanas* moich szkolnych przyjaciółek, które całe były czułością, samodzielnie pieczonymi pierniczkami i ślepą, bezwarunkową miłością. Nasza *baba* wołała nabijać nam głowy gadkami o śmierci, przesądach i przeklętej menopauzie. Ściany miała obwieszona obrazkami z Jezusem, a szuflady wypchane podpaskami Kotex i grubymi wełnianymi pończochami.

Trochę wstydziliśmy się jej niewybrednych manier: głośnego pociągania nosem, prychnania, odkrztuszania flegmy, bo większość imigrantów przestawała tak robić już kilka lat po przybyciu do Nowego Świata. Kiedy zabieraliśmy ją na obiad do jednej z nijakich restauracji sieciowych, których pełno było w naszym mieście, odrzucała naszą propozycję udania się do baru sałatkowego, głośno domagając się mięsa. Codziennie, oprócz niedziel, kiedy do kościoła zakładała całą biżuterię, jaką posiadała, ubierała się w obwisłe fioletowe spodnie dresowe oraz długi granatowy trencz. Jej dom pękał w szwach od wycinanych papierowych serwetek, chorwackich flag, zdjęć Tito oraz ikon, i swoim bogactwem przypominał muzeum, w którym mogłam oglądać zgromadzone przedmioty, ale nie wolno było ich dotykać. Czułam jej bliskość jedynie wtedy, gdy szliśmy do niej na obiad, a ona gotowała potrawy zapamiętane ze swojego ubożego dzieciństwa. W jej złocistym

rosole z kurczaka błyszcząły tłuste oka i pływały domowej roboty małe kluseczki z jajek, a gołąbki z kapustą dusiła z przypominającymi wyprawioną skórę kawałkami wędzonej kiełbasy. Patrzyłam z podziwem, jak trze kapustę na drewnianej szatkownicy, a potem jej szerokie ramiona i męskie ręce upychają ją wraz z solą do szklanych słoików i odstawiają do fermentacji w upiornej, omiecionej z pajaków piwnicy, ze ścianami tak czerwonymi, że moja siostra zwykła mi opowiadać, iż zostały pomalowane świńską krwią. Przygotowywane przez nią desery nie były lekkie ani kolorowe, tylko gęste, ciemne i niezbyt ładne. Piekła babki nasączone kawą lub czekoladą oraz ciastka z mąki kukurydzianej z mielonymi orzechami włoskimi i kawałkami orzechów laskowych, posypane grubą warstwą cukru pudru.

Kiedy moja siostra i ja miałyśmy dziesięć i jedenaście lat, czyli tuż przed tym, jak zmieniłyśmy się w nastolatki, nasza babcia rozpoczęła kampanię doradczą na temat mężczyzn – jak ich złapać, jak utrzymać i jak według niej powinnyśmy ich uszczęśliwić. Krytykowała nasz wygląd – obcięte dzinsy i plastikowe japonki, które nosiłyśmy, oraz grzebienie, którymi na szybko upinałyśmy włosy – powtarzając: „Jeśli chcecie wyjść za mąż, musicie nosić obcisłe czarne sukienki i mocno się malować!”. Kiedy zaczęłyśmy miesiączkować, przeganiała nas z kamiennego paleniska i leżących w ogrodzie głazów, ponieważ wierzyła, że jeśli na nich usiadziemy, ich chłodna powierzchnia wpłynie na naszą płodność, i ostro ganiła mnie za długie, ekscytująco szybkie przejażdżki rowerem, twierdząc, że zagrażają mojej cności. Powtarzała nam, że jeśli już wyjdziemy za mąż, mamy obowiązek utrzymywać nasze domy w czystości i mieć dobrze zaopatrzone lodówki, bo jak nie, to nasi mężowie mogą nas zabić na kwaśne jabłko.

Wyobrażam sobie, że kiedy moi rodzice się poznali, doskonale do siebie pasowali. Mama, która była jedynaczką, miała wówczas piętnaście lat. Jej dzieciństwo upłynęło w samotności i chociaż wyrosła na atrakcyjną nastolatkę, była nieśmiała i niedoświadczona. Ojciec miał dwadzieścia jeden lat i właśnie zaczynał odczuwać ból zesłania. Pił, palił, miał długie bokobrody i był przystojny. Mama mówi, że uważał się za kobieciarza. Po przybyciu do Kanady nie mógł się pogodzić z tym, że jego kwalifikacje

w zawodzie elektryka nic tu nie znaczą. Przez dwa lata ratował się pracując w nocy jako taksówkarz i ucząc się angielskiego oraz przygotowując do egzaminu, by uzyskać kanadyjskie zaświadczenie. Jego nowe życie okazało się nieoczekiwanie samotne. Nikt nie umiał bezbłędnie wymówić ani nawet przeliterować jego imienia. Nikt nie doceniał jego specyficznych żartów. Pewnego dnia, kiedy pracował na budowie, powiedział asystentce majstra, że nazywa się MacKlinec, podobnie jak Szkoci, których poznał, a ona wypisała to nazwisko na kawałku czerwonej samoprzylepnej taśmy, którą nosił na przodzie kasku.

Mama dała ojcu miejsce, gdzie mógł uwić gniazdo i zapaść korzenie. Tata dał mamie miłość i poczucie przynależności, którego jej brakowało. Mieli wspólny język (serbsko-chorwacki) i silne pragnienie, by uciec przed przeszłością. Po trzech latach narzeczeństwa, podczas których tata jechał do niej przez trzy godziny w każdy weekend i sypiał w suterenie u dziadków, pobrali się już kilka tygodni po skończeniu przez mamę szkoły średniej. Moja siostra urodziła się zaraz potem, a ja przyszedłam na świat trzynastym miesiącem później. Rodzice zostali nie tylko mężem i żoną, lecz także zespołem ludzi zakochanych w sobie oraz wizji tego, kim chcieliby się stać. Ich przesadna duma oraz ostentacyjne okazywanie sobie uczuć często sprawiały, że już jako małe dzieci wychodziliśmy z pokoju, czując, że jesteśmy intruzami.

Zanim skończyłam osiem lat, moi rodzice już zaczęli realizować swoje ambitne plany, stracili więc chęć na angażowanie się w rodzicielstwo. Chociaż nigdy nie wątpiliśmy w ich miłość, jej charakter zmienił się w dobrotliwe zaniedbanie. Rozkręcili interes związany z branżą motoryzacyjną, a my stałyśmy się zdziczałymi, bogatymi dzieciakami. Nasze pokoje wypełniały najnowsze gadżety – magnetowidy, walkmany Sony, ale nikt nie pamiętał o naszych urodzinach i praniu naszych ciuchów. Dostałyśmy klucze na łańcuszkach i kazano nam samym otwierać sobie dom. Rano mama budziła nas przez telefon.

Wykorzystywałyśmy tę sytuację, wagarując z lekcji w naszej wymagającej francusko-katolickiej szkole podstawowej. Poważnym dorosłym głosem

dziewięciolatki informowałam szkolną sekretarkę o naszej nieobecności, podczas gdy moja siostra zaczynała szykować śniadanie złożone z lodów winogronowych i popcornu z mikrofalówki. Spędzałyśmy dzień na grze w monopol i oglądaniu przerażających powtórek *Dark Shadows*, co było znacznie ciekawsze niż przebywanie pod czujnym okiem zakonnicy w École St. Joseph.

Rozpalająca moich rodziców żądza pieniędzy oraz pragnienie, by zrekompensować sobie dzieciństwo, kiedy jedli głównie kukurydzę i kapustę i niczego nie posiadali, doprowadziły do tego, że trzy razy w tygodniu zaczęliśmy jadać polędwicę wołową. W pozostałe dni zamawialiśmy pizzę lub coś z KFC. Proste, sycące posiłki stawały się przeszłością. Moja siostra, która nienawidziła rodzinnych tradycji, była tym zachwycona, ale ja czułam się zdruzgotana. Przy stole zrobiło się poważnie i drętwo, rodzice rozmawiali o częściach samochodowych, pojemnościach i dostawach, podczas gdy ja z siostrą siedziałyśmy cicho jak mysz pod miotłą, szybko jadłyśmy i znikaliśmy w swoich pokojach.

Nasze skromne uroczystości rodzinne, podczas których jadaliśmy salami przechowywane w szopie przez ojca, opiekaliśmy na patykach nad ogniskiem kawałki boczku, a latem gotowaliśmy gulasz w zardzewiałym garnku zwisającym na łańcuchu, stały się odległym wspomnieniem. Tęskniłam za tymi czasami, kiedy siadaliśmy, mama, tata, siostra i ja, na tanich leżakach w ogrodzie, w tle grała cygańska muzyka ojca odtwarzana z przenośnego magnetofonu, a kurczaki matki grzebały w trawniku, szukając robaków. Krótko mówiąc, nie byliśmy sentymentalni, jedliśmy, chwaliliśmy posiłek, ciepły wieczór i przychylny los, który dał nam dom i ziemię wokół nas.

Zanim skończyłam dziesięć lat, osiągnęłam samodzielność, która zadziwiała przyjaciółki mamy. Oficjalnie, chociaż niezamierzenie, jej początek wyznaczyło srebro. Zaczęło się od tego, że mama przywiozła mnie pod szkołę po wizycie u dentysty już po rozpoczęciu lekcji. Przesuwając ostrożnie językiem po nowych metalowych plombach, obiegałam dookoła kanciastego lincolna continental, oblepionego pierwszymi tego lata muszkami. Mama trzymała w wyciągniętej ręce brązową torebkę z drugim



śniadaniem, na które składały się szaszłyki cielęce panierowane pokruszonymi krakersami Ritz. Kiedy dawała mi ciepłego, pachnącego czosnkiem buziaka w czoło, trzymała już stopę na gazie, więc prawie musiałam krzyknąć, że ma jeszcze napisać usprawiedliwienie mojego spóźnienia dla nauczycielki. Pogrzebała w torebce w poszukiwaniu długopisu. „Nie możesz po prostu sama sobie napisać?” – westchnęła. Przytaknęłam, jak zawsze chętna do zadowolenia jej i zaskoczona, że upoważniła mnie do fałszerstwa. Mama podała mi długopis i puste opakowanie po frytkach z McDonalda, które znalazła na podłodze koło tylnego siedzenia, po czym odjechała do pracy.

Od tego momentu wiernie podrabiałam niestaranne pismo mamy, stając się tym samym własnym sygnatariuszem i opiekunem. Podpisywałam kartki z ocenami i sama wyrażałam zgodę na różne dodatkowe zajęcia, podpisałam nawet podanie do szkoły średniej. Każdego sierpnia dostawałam kilkaset dolarów w gotówce i polecenie, że mam sobie kupić w centrum handlowym ubrania na nowy rok szkolny. W przypadku jakiegoś innego dziecka byłby to przepis na katastrofę, ale u nas nikt się nie obawiał, że wrócę do domu z miniówkami lub punkowymi kreacjami. Swoją wolność i autonomię postrzegałam jako coś cennego, coś, co muszę chronić, starałam się więc być mało absorbującym dzieckiem, takim, jakiego moi rodzice najbardziej potrzebowali.

Dorośli zaczęli ze mną rozmawiać jak z osobą dorosłą, biorąc mnie za studentkę, nim skończyłam trzynaście lat. Moi rodzice, zamiast dążyć do przedłużenia mojego dzieciństwa, zdawali się mocno nim poirytowani przez to, że wciąż musieli się mną zajmować. Ich pragmatyzm pozwolił mi więc przyjąć większą odpowiedzialność za siebie i decydować, jak spędzę letnie wakacje. Zapisalam się na zajęcia z pływania i gimnastyki, żywiłam kanapkami z kurczakiem i lodami czekoladowymi z miejscowej kafejki. Jeździłam taksówką w tę i z powrotem, płacąc za to wszystko pieniędzmi ze specjalnej szufladki w korytarzu. Pod koniec każdego dnia mama nie przejawiała zbytniego zainteresowania moimi postępami w pływaniu kraulem czy podciąganiu się na drążkach, za to upierała się bardziej przy tym, bym

wymieniła, co jadłam przez cały dzień, aby uspokoić swoje sumienie, że nie chodziłam o pustym żołądku.

Stopniowo zaczęłam uwalniać się od rodziców. Pomyślałam, że jeśli mam być samotna pod ich dachem, lepiej być naprawdę samą. Podczas przerwy wiosennej, kiedy moi koledzy wyjechali z rodzicami do Disneylandu lub Myrtle Beach, poprosiłam mamę, żeby zawiozła mnie do naszego letniego domku. Przebrnęła ze mną przez śnieg, żeby upewnić się, że jestem w stanie obrócić klucz w zamku, i zostawiła mnie na cały tydzień z zapasami jedzenia. Wiedziała, że nie będę się bała, nie musiała nawet pytać. Wtedy już ufała, że wiem, co robię. Rozpalałam ogniska, chodziłam na długie spacerów w śniegu, mijając pozostałe puste o tej porze roku domki. Nikt nie odgarnął śniegu na gankach, z okapów zwisały długie, ostre sopele lodu. Odkurzyłam i umyłam podłogę mopem, wyszorowałam wannę, rozkoszowałam się tym, że muszę się wszystkim sama zająć. Do spania wybrałam trzeszczące drewniane łóżko w najmniejszym pokoju, chociaż mogłam zająć podwójne łożo rodziców. Prawdopodobnie byłam jedyną osobą w promieniu dziesięciu kilometrów i dowiedziałam się wtedy, że bez żadnego problemu mogę nie odzywać się do nikogo przez wiele dni.

Wkrótce jakby nigdy nic wypuszczałam się sama na duże odległości, pragnąc podróżować. W wieku szesnastu lat byłam zdecydowana posmakować życia poza naszym przemysłowym Ontario, nad którym górowały fabryczne kominy Chylera, Forda i General Motors. Napędzana niespożytą energią, zapisałam się do szwajcarskiej szkoły z internatem, korzystając z finansów mamy i taty. Pod koniec jazdy samochodem na lotnisko miałam wielką ochotę pożegnać się tak szybko, jak to możliwe, i zniechęciłam rodziców do odprowadzenia mnie pod samą bramkę. Samodzielne przejście tych ostatnich kilkuset jardów było dla mnie ogromnie ważne. Kiedy skręciłam za róg, zostawiając ich za sobą, miałam ochotę krzyknąć z ulgi. Po raz pierwszy w życiu czułam się zupełnie wolna.

W szkole zawarłam przyjaźnie, plotkowałam z dwiema koleżankami z pokoju długo po zapadnięciu ciszy nocnej, siadywałam przy różnych stolikach w jadalni i zjadałam obiad prosto z tacy, ale wciąż pragnęłam

samotności i ucieczki. Zadzwoiłam do mamy i poprosiłam, żeby skłamała, że mamy krewną w Szwajcarii, abym mogła w samotności spędzić amerykańskie Święto Dziękczynienia. Zarezerwowałam sobie kuszetkę do Wiednia, podczas gdy moje koleżanki z klasy w niewielkich grupach wybrały się do Paryża i Florencji. Po dwóch miesiącach nauki niemieckiego przyjechałam na Westbahnhof i wkurzałam taksówkarzy, którzy nie znali adresu maleńkiego pensjonatu, który napisałam im na kartce. Zirytowani jeździli w kółko, szukając Kirchengasse, i wykończeni moją wymową prawie doprowadzali mnie do łez. Wszystko to sprawiło, że zamknęłam za sobą drzwi i zaczęłam się zastanawiać, co mnie opętało, że samodzielnie podjęłam się takiej rzeczy. Tego wieczoru nigdzie już nie wyszłam, tylko siedziałam na wąskim łóżku i słuchałam nieznanych odgłosów jadących tramwajów. Jednak rano poczułam się już pewniej i zarzuciłam swoją sieć dalej. Miasto wydawało się mniej niedostępne, ulice bardziej przyjazne. Zaczęły mi się podobać pierwsze chwile w nowym miejscu, konieczność rozszyfrowania, jak na przykład rozmieszczone są ulice, jak należy zamówić kawę.

Na Wielkanoc i letnie wakacje szukałam miejsc, które zdawały się bardziej nieprzyjemne, chcąc się ponownie sprawdzić na nieznanych terytoriach. Pojechałam sama na Korsykę, do Islandii i Bośni, za każdym razem wracając do szkoły z internatem cała i zdrowa. Wśród koleżanek z klasy, które obgadywały mnie i zerkały na mnie z pogardą, miałam reputację osoby wyniosłej. Młodszy nauczyciele podziwiali moją samodzielność i opanowanie, zapraszali mnie do swoich niewielkich mieszkań poza kampusem na kawę i kieliszek wina lub dorosłe obiady, na które składał się ser brie i pasztet.

Samotne podróże pozwoliły mi odnaleźć w sobie coś niewinnego i niepewnego – rodzaj buntu przeciwko temu, że musiałam tak szybko stać się dorosła. Nauczyły mnie rozpoznawać miejsca, w których czułam się najlepiej: babcine jadłodajnie z ciężkimi drewnianymi meblami i ceratowymi obrusami, sklepy tytoniowe na rogu podające mętne espresso, salami i kanapki z surową cebulą, stołówki pracownicze, gdzie na każdym stole stoi kubek ze sztućcami. Wreszcie nabrałam dość pewności, by wchodzić do zapelnionych mężczyznami tawern, gdzie przy ladzie stoją czerwoni na

twarży właściciele i palą papierosa. Wynajmowałam tanie pokoje w domach emerytów, do których dojeżdżałam skrzypiącymi tramwajami, i jadłam mięso pieczone na ulicy przed blokami pokrytymi graffiti.

Zaczęłam inaczej się ubierać, nie chcąc wyglądać zbyt północnoamerykańsko. Rozdałam wytarte dzinsy i mokasyny oraz markowe ciuchy kupowane w centrach handlowych. Zamiast nich zakładałam stonowane kolory, spódnice do kolan i botki, nosiłam proste fryzury – włosy związane z tyłu lub obcięte na boba. Ludzie pytali, czy pochodzę ze Skandynawii lub zwracali się do mnie po francusku, coraz rzadziej traktując mnie jak turystkę. Lubiłam siadywać sama w przedziałach kolejowych, delektować się pierwszym łykiem alkoholu w barach, być tajemniczą i rozkoszować się spojrzeniami mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widziałam. Odkryłam, że mam talent do języków, przewyciężyłam nieśmiałość i czułam się wystarczająco pewnie, żeby mówić łamanym włoskim w Rumunii czy posługiwać się strzępkami portugalskiego. Wkrótce umiałam odczytać znaki pisane cyrylicą i rozumiałam po holendersku wszystko, co było napisane na opakowaniach.

Ostatecznie ekscytowało mnie samo przemieszczanie się, które podtrzymywało we mnie poczucie, że się rozwijam, i przypominało, jak bardzo oddaliłam się od domu. Największą satysfakcję czułam na lotniskach, widząc swoje nazwisko nadrukowane na kartach pokładowych, i posługując się coraz bardziej zniszczonym paszportem, jakby podróżowanie było mi od zawsze pisane. Rzadko wkładałam dokumenty z powrotem do kieszeni, nie spojrzawszy wcześniej na moje dziwne, koślawe węgierskie nazwisko. Nazwisko, które w zasadzie nigdy nie powinno wywędrować poza nizinne wsie, z których pochodzili moi rodzice, które nigdy nie miało wyjechać pociągiem na odległość większą niż trzydzieści kilometrów.

Po roku spędzonym w szkole z internatem uznałam, że jestem zbyt stara na jej zasady i zakazy, i przeniosłam się do szkoły w Dublinie. Byłam gotowa zamieszkać sama i podjęłam decyzję, że łatwiej mi będzie to zrobić po raz pierwszy w kraju, gdzie mówi się po angielsku. Wynajęłam tanie mieszkanie na poddaszu w szeregowcu w stylu georgiańskim, w południowej części

miasta, skąd było widać Zatokę Dublińską, i tam odnalazłam swoją miłość: zaczęłam uczyć się gotowania.

Jako siedemnastolatka mieszkająca samotnie, z dala od rodziców – chodząca do szkoły pełnej O’Connellów i Donnelley’ów – byłam pewną anomalią, być może nawet nielegalną, ale dzięki chesnemu, które płaciłam, udawaliśmy, że nic się nie dzieje. Studiowałam Joyce’a, Yeatsa, rachunek różniczkowy i język rosyjski, nie zwracając uwagi na powtarzane po kątach teorie, głoszące, że zapewne jestem sierotą. Samotność wypełniałam próbami przygotowania posiłków z mojej pierwszej książki kucharskiej, wydanej w twardej oprawie pod tytułem *Potrawy świata*, którą kupiłam za dwa funty z wyprzedazowego kosza podczas wycieczki do Londynu.

Pochłaniały mnie opisy dań, o których nigdy nie słyszałam i których nigdy nie jadłam: iracki pilaf, syczański ognisty kociołek, ryba pieczona w liściach bananowca. W mojej prymitywnej kuchni ze zniszczonym linoleum i dwoma elektrycznymi palnikami gotowałam irlandzkie odpowiedniki egzotycznych przepisów, używając takich składników, jakie mogłam tu kupić. Zdejmowałam pancerzyki z krewetek, gotowałam kuskus, siekałam kolendrę i kroiłam szwajcarskim scyzorykiem bakłażany. Polubiłam makaron z czosnkiem, chili i oliwą z oliwek oraz marokańską jagnięcinę duszoną z ciecierzycą. Pod koniec roku szkolonego stały się dwie rzeczy: umocniłam swoją pozycję kucharki i straciłam dziewictwo z jednym z kolegów z klasy – to drugie było możliwe dzięki wizycie w klinice Well Woman oraz lekarce, która odesłała mnie z powrotem z papierową torebką z nielegalnymi (w Irlandii) pigułkami antykoncepcyjnymi.

W tym czasie mama wyobrażała sobie, że odżywiam się spaghetti i tuńczykiem. Kiedy pod koniec roku wróciłam do Kanady, z zaskoczeniem zauważyła, że moje wysokie, chude ciało przybrało dwa kilogramy. Zamiast zmykać z kuchni, zajęłam przynależne mi miejsce obok niej, budując partnerstwo tak czułe i silne jak nasze palce, którymi ugniatałyśmy kluski z kasztanowej mąki, aby potem rozkładać je na miękkich ściereczkach. Mama nauczyła mnie przepisów na moje ulubione dania z dzieciństwa – kruche, bardzo cienkie sznycle, łazanki z podsmażaną cebulą, pikantne,

przyrządzane latem danie z fasoli i papryki w kwaśniej śmietanie, które jako dzieci nazywałyśmy „fasolową papką” – a ja ze swojej strony pokazałam jej, jak robić gazpacho, smażonego tuńczyka i szpinak z chili i gorczycą. Dzięki wspólnemu gotowaniu naprawiłyśmy kulejące relacje matki z córką i wypowiedziałyśmy kulinarną wojnę tacie, który co najmniej cztery razy w tygodniu chciał jeść steki. Czasami, być może żałując, że kiedyś wypędzała mnie z miejsca, które teraz zajmowałam z taką pewnością siebie, mama uśmiechała się z zadumą i dotykała mojego policzka ubrudzoną mąką, słodko pachnącą dłonią. Kiedy wyjechałam do szkoły, prawie codziennie rozmawiałyśmy przez telefon, a pierwsze pytanie, jakie sobie nawzajem zadawałyśmy, brzmiało: „Co masz dzisiaj na obiad?”.

Gotowałam przez całe studia w Montrealu, odkrywałam ryneczki, sprzedawców ryb i fascynujące, pachnące stęchlizną sklepy w Chinatown. Stawiałam czoło długim, trwającym po sześć miesięcy zimom i temperaturom po minus trzydzieści pięć stopni (nie uwzględniając temperatury odczuwalnej w przypadku wiatru), i brnęłam przez śnieg, żeby kupić jeszcze ciepłe bagietki i podobno niepasteryzowany twaróg, wytwarzany przez oszukańczych rolników z Quebecu. Moi przybrani kulinarni rodzice – Alice Waters, Hugh Carpenter i Biba Caggiano<sup>[2]</sup> – namawiali mnie, żebym wkroczyła do kulinarnego dzikiego świata świeżych ryb, kopru, maż i kolendry, więc pomiędzy wykładami przyrządzałam szanghajskie kluseczki z czarną fasolą i mażami lub świeże ravioli z dynią.

Przeprowadziłam się do Wielkiej Brytanii nagle i bez większego namysłu. Spacerowałam z psem, kiedy jakiś młody człowiek, który przyjechał z Nowej Zelandii, zapytał mnie o drogę. Chociaż był listopad, nosił japonki. Poszliśmy na kawę, która przeciągnęła się do trzech godzin. Cztery miesiące później lecieliśmy samolotem do Glasgow z wizami Brytyjskiej Wspólnoty Narodów w paszportach. Ojciec był wściekły. Nie po to wyemigrował do Nowego Świata, mówił, żeby jego dzieci obracały się na pięcie i wracały do starego. Pragnął, żebym znalazła sobie pracę w Chicago i kiedyś przejęła rodzinną fabrykę. Romans wypalił się po sześciu miesiącach, ale postanowiłam pozostać w Wielkiej Brytanii, ponieważ dostałam pierwszą

prawdziwą pracę w dużym banku inwestycyjnym w Londynie.

Z początku zachwyciło mnie to, jaka jestem ważna. Miałam swoje biurko. Telefon komórkowy. Nie jeden, ale trzy płaskie monitory. Pokój socjalny błyszczał marmurem i granitem, a ściany pokoju konferencyjnego obwieszane były dziełami sztuki, które kosztowały więcej niż małe mieszkanie w Chelsea, za którego wynajem płaciłam co tydzień. Korporacja dawała mi finansową niezależność, o jakiej nie marzyłam w najdzikszych snach. Przez te pierwsze miesiące w Londynie myślałam jedynie o dwóch rzeczach: pieniądzach i jedzeniu. Jeździłam na drogie wakacje, wydawałam fortunę na ubrania. Kupiłam sobie mieszkanie w starej fabryce obuwia, uwalniając je od kurzu i rdzewiejących urządzeń, dodając zaś szkło i stal nierdzewną. W ciągu dnia szeleściłam papierami, chodziłam na zebrania i pomagałam bogacić się bogatym, a wieczorami na bosaka wchodziłam do mojej nowej wspaniałej kuchni, gotowałam pseudopasterskie dania i odczuwałam wdzięczność, że tak dobrze mi się powodzi.

I tak mijał ranek za rankiem, miesiące zmieniały się w lata. Gdy znajdowałam się w marmurowych *foyer* w morzu lśniących butów i szarych garniturów, zaczynałam czuć niepokój, a nawet nudę. Brakowało mi w bankach prawdziwego poczucia godności, gdyż byłam zbyt uporządkowana i przywiązana do staromodnego honoru, by jeszcze się rozwijać. Wzdrygałam się na myśl o tej całej monotonii; dowcipach, które nie były śmieszne, ludziach, którzy sami się wytresowali, poszli do właściwych szkół, powtarzali odpowiednie wyrażenia podczas rozmów kwalifikacyjnych, tylko po to, by przez następne trzydzieści lat robić minimum tego, co pozwoli im utrzymać się na powierzchni. Ciężko pracowałam, ale była to beznadziejna, pozbawiona znaczenia, niemierzalna praca. Każdego ranka przygotowywałam się psychicznie, ubierałam, cesałam włosy i wkraczałam przez obrotowe drzwi do odgrywanej w czasie rzeczywistym kampanii PR-owej. Powoli zaczynałam nienawidzić tego, co robię. Jednym z najlepszych aspektów mojego adoptowanego miasta była łatwość, z jaką można z niego wyjechać – Londyn był pępkiem świata i oferował loty w każde miejsce na świecie. Szukałam spełnienia

w podróżach samolotem.

Najpierw raz lub dwa razy w miesiącu oraz od czasu do czasu w jakiś trzydniowy weekend. Wkrótce podróżowałam przez pięć weekendów z szczęściu i wybierałam miejsca położone dalej, przez co podróże stawały się bardziej męczące. Wylatywałam o 17.38 w piątek i o 21 jadłam flaczki w Neapolu. Wypływając pierwszym promem danego dnia z jakiejś szwedzkiej wyspy, mogłam zjeść langustę na śniadanie i popływać jeszcze w lodowatej wodzie w drodze na samolot. Polskie gospodarstwa agroturystyczne, szwajcarskie pensjonaty z noclegami na sianie w Alpach, położone w bocznej uliczce mieszkanie w brudnej dzielnicy Lizbony: wszystkie te miejsca stały się dla mnie drugimi, weekendowymi domami. Gdy przychodził poniedziałek, stawiałam się w biurze, przyjeżdżając prosto z lotniska z włosami jeszcze wilgotnymi od zagranicznej wody, z piaskiem i gliną w butach. Zyskałam biegłość w docieraniu do najbardziej autentycznych, odległych miejsc, do których dało się dojechać, i stałam się ekspertką od życia od weekendu do weekendu.

Jednego lata pojechałam do Kanady, żeby odwiedzić rodziców. Widziałam, że przez ten czas, kiedy mieszkałam w Wielkiej Brytanii, wyrosła między nami wielka przepaść. Ja pracowałam na etacie, miałam pracę biurową i niewiele dodatkowych obowiązków, podczas gdy oni harowali w swojej fabryce, układali części, przelewali chemikalia i pracowali przez dwie długie, wyczerpujące zmiany każdego dnia. Ręce mamy były zniszczone i popękane, podczas gdy moje gładkie i delikatne. Wstydziłam się, przypominając sobie łatwość i bezsens mojej egzystencji, z pokorą przyglądałam się ich godnemu i prostemu życiu. Po pięciu dniach wylądowałam na Heathrow z pewnym planem. Rzuciłam pracę i stworzyłam stronę internetową. Tydzień później przyjechali stolarze. Zbudowali wielki dębowy stół, przy którym mogło zasiąść dwanaście osób, i zamontowali przemysłową zmywarkę. Sześć tygodni później odbyły się pierwsze zajęcia. Narodziło się moje nowe życie, nowy biznes „Eat Drink Talk”.

Po czterech miesiącach ponownie poleciałam do domu, by spotkać się z mamą. Za tydzień miały być święta Bożego Narodzenia, a ja przez ostatnie



miesiące tylko pracowałam: sześćdziesięciogodzinne tygodnie pracy, całe dnie na nogach, targanie do domu ciężkich zakupów z rynku. Podczas pierwszego wspólnego wieczoru długo siedziałyśmy w kuchni. Ona podgrzała rosół z makaronem. Pocierając wciąż podrażnione lotem oczy, poczułam, że mama bierze mnie za rękę i gładzi ją palcami. Skóra na mojej dłoni była popękana i podrażniona od szorowania garnków i patelni, przecierania sprzętów szmatką nasączoną w wybielaczu. Przyjrzała jej się uważnie i kiedy ponownie na mnie spojrzała, miała łzy w oczach.

– Jen – powiedziała czule, podnosząc moją dłoń do ust – masz ręce robotnika. Tak jak twój tata i ja.

[2] Znani kucharze, autorzy popularnych książek kucharskich.



## *Rozdział drugi*



Cyfrowy zegar na piekarniku pokazuje prawie północ, kiedy siadam na szerokim, niskim stopniu prowadzącym do kuchni. Zawsze przysiadam w tym miejscu, czekając na wyschnięcie podłogi. Płyn do mycia, jedna zakrętka na wiadro wody, pachnie olejkiem pomarańczowym i od pewnego czasu sygnalizuje koniec dnia. Podrzucając palcem jednej nogi znoszony filcowy kapeć na drugiej nodze, opieram się o ścianę. Czuć ode mnie cebulę i czarny pieprz. Przeniknęły pomiędzy sploty tkanin moich ubrań oraz do korzeni włosów. Niezależnie od tego, czy podczas zajęć przyrządzamy sos z prowincji Oaxaca, czy żółwia w stylu wietnamskim, zawsze potem cuchnę czosnkiem i przyprawami.

Grzebię między otwartymi butelkami i nalewam sobie czerwonego wina do poszczerbionego słoika po dżemie, jedyne czyste naczynie, jakie udaje mi się znaleźć. Duże metalowe okna – pozostałość po poprzednim życiu mojego domu, będącego fabryką obuwia, razem z betonowymi kolumnami i wysokimi, nieozdobionymi sufitami – są teraz szeroko otwarte i chłodne wiosenne powietrze zaczyna się mieszać z aromatami rozgrzanej kuchni. Rozwiązuję troczki niebiesko-brązowego fartuszka z płowiejącym nadrukiem tańczących wiktoriańskich dam i zwijam go w kulkę.

Kiedy podłoga jest wystarczająco sucha, idę do łazienki i dorzucam jeszcze jedną, ostatnią rzecz do pralki. Zatrzymuję się przed lustrem. Usta mam czerwone i suche, bo nie wypilałam dość wody, a włosy związane w koński ogon czarną gumką, która dawno już straciła elastyczność. Opuszki moich palców są poplamione żółtą kurkumą, a lakier na paznokciach u stóp

złuszczył się i pozostały tylko niekształtne kropki. Po trzech latach wykonywania tego dziwnego, szalonego, cudownego zawodu coraz bardziej przypominam siebie samą z czasów studiów. Promieniuje ze mnie to samo lenistwo. Noszę te same sprane cukierkoworóżowe koszulki i dżinsowe spódnice, birkenstocki<sup>[3]</sup> i bluzy z kapturem. Moja twarz jest chyba jedyną pozytywną rzeczą. Bez makijażu ma przyjemny, świeży blask, z którego zawsze byłam dumna i który sprawia, że ludzie biorą mnie za młodszą, niż jestem.

Mój dom ma ponad tysiąc dwieście stóp kwadratowych, ale obecnie zajmuję tylko niewielki kąt w sypialni, do której wepchnęłam większość posiadanych rzeczy. W salonie wiszą wilgotne obrusy, a na kuchennych krzesłach suszą się lniane serwety. W pralce piorą się fartuchy i ściereczki w wodzie z dodatkiem proszku do pieczenia, żeby pozbyć się plam z czerwonego wina i wędzonej papryki. Często, zanim pranie się skończy, zasypiam jak dziecko w ubraniu i kapciach, ściskając niedokończoną listę zakupów. Mój dom nie należy już tylko do mnie, dzielę go z sześćdziesięcioma osobami tygodniowo. Przychodzą tu w grupach po dwanaście osób i uczę ich gotować.

Nie mam szyldu ani reklamy, jest tylko dzwonek na ścianie szaropomarańczowego budynku z cegieł. Kiedy moi goście przychodzą, wsiadają do starej windy przemysłowej, która wiezie ich na pierwsze piętro. To dziwna mieszanina – nieznajomi, często i dla mnie, i dla siebie nawzajem; większość z nich to młodzi ludzie, dwudziesto- i trzydziestolatkowie. Zazwyczaj podoba im się pomysł nauki gotowania w takim niezwykłym, przemysłowym otoczeniu („Jaka konspiracja! Jak w Nowym Jorku!”), ale niektórzy są ostrożniejsi („Czy ktoś tutaj mieszka?”). Szczerze się do nich uśmiecham, gdy przychodzą, odbieram od nich butelki z winem i wkładam je do lodówki, w zamian częstując koktajlami, które przygotowuję, wyciskając sok z różowych grejpfrutów i granatów i dodając do niego garście liści mięty oraz – w ostatniej chwili przed dźwiękiem dzwonka – imbir z miodem.

Z początku obawiałam się, co pomyślą o mnie sąsiedzi, i starałam się nie nagłaśniać tego, że zmieniłam swoje mieszkanie w prowizoryczną szkołę

gotowania. Doprowadziło mnie to do kradzieży, bo zabierałam z ich skrzynek pocztowych magazyny zawierające recenzje moich zajęć, ale teraz wydaje się, że mnie tolerują, a przynajmniej – jako że to Wielka Brytania – brakuje im odwagi, żeby mi powiedzieć, że nie życzą sobie kręcących się tutaj obcych ludzi.

W każdym razie niezręcznie mi nazywać to, co robię, zajęciami.

Wieczorami gromadzimy się wokół mojego długiego drewnianego stołu, doskonale nadającego się do wałkowania lub wyrobu ciasta filo, używania maszynki do tarcia wiórków kokosowych czy rozkładania wałków dim sum. Kosztujemy „szalonego miodu” z Turcji i syczańskiego pieprzu z Chin, od którego cierpnie język. Ściskamy w palcach kluski i mieszamy marynowane liście herbaciane z pieczonymi orzechami ziemnymi i sokiem z limonki w maleńkich emaliowanych burmańskich miseczkach. W zależności od dnia stół jest zastawiony bambusowymi koszami i tasakami lub metalowymi pilnikami i nożykami do owoców albo małymi arabskimi drewnianymi prasami, w których robimy słodczyce z mielonych migdałów i daktyli. Jednego dnia jest to turecka lub brytyjska współczesna kuchnia, innego malezyjska lub kambodżańska. Moja spiżarnia pęka w szwach od narzędzi, które wyjmuję danego wieczoru i potem pieczołowicie odkładam z powrotem: miedziany *ibrik* do tureckiej kawy wraz z tuzinem małych emaliowanych filiżanek i spodków; wietnamskie szatkownice do krojenia zielonych papai i karamboli; prasa do tortilli służąca do spłaszczania kul *masa*. Mam nie jeden, lecz pięć młódek z tłuczkami, wykonanych z granitu, brązu i wulkanicznej skały.

Wiem, że z moim osobliwym stanem posiadania pasuję do tego leniwego, wygodnego miasta, łącznie ze zlewem wypełnionym żywymi krabami, spiżarnią zastawioną dziwnymi gadżetami i drewnianymi misami z rosnącym ciastem. Każdego ranka przez trzy godziny robię sprawunki na zajęcia, szukając najlepszych i najświeższych składników, jakie można znaleźć. Liście rzodkiewki rozdrobnimy wraz z pieczonymi ziarnami dyni, zielonymi papryczkami chili i *tomatillos*. W liście betelu owiniemy mielonego kurczaka z pieczonym ryżem i azjatyckimi ziołami. Świeżą kurkumę ugotujemy

w mleczku kokosowym, dodając homara, liście curry i tamaryndowca. Kupuję wyłaczanki z małymi przepiórczymi jajami. Okrągłe srebrne puszkę oleju z orzechów włoskich. Grube słoje *crème fraîche*. Fermentowanie i mieszanie. Odcedzanie i nasączenie. Starania, by każde zajęcie było doskonałe, zajmują mi całe godziny.

Wygląda na to, że stałam się „modna”, co wciąż mnie dziwi. Firmy PR-owe i agencje reklamowe rezerwują u mnie miejsce na swoje przyjęcia świąteczne. Producenci win chcą organizować u mnie degustację sherry i wieczorki z szampanem. Piszę artykuły do czasopisma lifestylowego, w których umieszczam przepisy i zdjęcia. To niesamowite widzieć swoje słowa wydrukowane obok artykułów o ubraniach od projektantów czy hotelach butikowych w Paryżu. Zarabiam z grubsza połowę tego, co kiedyś, i od ponad roku nie kupiłam sobie żadnej nowej sukienki czy innego ubrania. Obcinam włosy co cztery, zamiast co dwa miesiące, a koszulki i dzinsy, w których chodzę, zaczynają się już przecierać. W tym, co robię, nie ma żadnej beztroski i lekkości, ale ani na moment nie chciałabym wrócić do przeszłości.

Pierwszy posiłek dnia często jem o 10 rano. Moja asystentka Katrina i ja bierzemy tanie chińskie plastikowe miseczki, te z wytartym motywem czerwonego smoka, z którychjemy wtedy, gdy wszystkie dobre talerze są brudne, i napełniamy je resztkami z poprzedniego wieczoru. Czasem mamy szczęście i możemy ucztować, racząc się krabami lub kawałkami ryby od strony ogona; kawałkami, które wymagają większego zachodu lub są zbyt ościste dla delikatnych angielskich podniebień. Częściej jednak jedzenia ledwie starcza dla jednej z nas, więc udaję, że nie jestem głodna, podsuwając resztki Katrinie, a kiedy wychodzi, w tajemnicy przyrządzam sobie miseczkę ryżu na parze, posypanego kilkoma prażonymi orzechami ziemnymi.

W ciągu trzech lat wspólnego działania wypracowałyśmy sobie pewien sposób postępowania. Nasze ulubione zajęcia – które naprawdę nas uszczęśliwiają – to te, kiedy przychodzą nienasytzeni ludzie kochający jedzenie: Włosi, którzy przepychają się między nami, sięgając po puste garnki na kuchence i za pomocą kawałków chleba wyjadają resztki z dna;

chudziutkie dziewczyny z East Endu, które popuszczają pasa w swoich czarnych ciasnych dżinsach, wypijając trzecią porcję zupy na mleczku kokosowym lub długo duszonego curry; oraz ciche, lecz czarujące japońskie pary, które wykonują łatwe dania, takie jak ciasta z ciemnej czekolady z ciepłą, słoną polewą karmelową. Swoją wdzięczność wyrażają nie słowami, lecz brakiem manier przy stole, stosami pustych misek i talerzy, serwetkami poplamionymi oliwą i sosami oraz posiekanymi składnikami o wartości 150 funtów, ugotowanymi i zjedzonymi w czasie krótszym niż trzy godziny.

Najgorsze zajęcia – te, przed którymi się wzdragamy – od razu można rozpoznać, zerknąwszy na listę uczestników. W takie pechowe wieczory wygląda ona jak spis członków honorowych jakiejś snobistycznej prywatnej szkoły. Eleganckie, łatwe do wymówienia angielskie nazwiska ludzi, którzy przyjadą z londyńskich, otoczonych drzewami georgiańskich domostw, żeby spędzić z nami wieczór, często doprowadzają nas do rozpacz.

Są to ludzie, którzy siłują się z pałeczkami, tracą cierpliwość przy wałku, a pitę jedzą nożem i widelcem. Wychowani na gotowanych warzywach i jagnięcinie z sosem miętowym, z twarzami przypominającymi surowe ciasto i ustami krzywiącymi się na zapach sosu rybnego czy kwaśnego smaku tamaryndowca, zazwyczaj bywają zadowoleni z siebie i ze śmiechem przychodzą zobaczyć, „co to za heca z tym gotowaniem”. Nasze składniki – mięso przerośnięte tłuszczem i chrząstkami, ryby jeszcze niepozabawione głów, pęczki ziół związane szpagatem – i nasze prażone w przyprawach i podsmażane w woku potrawy, wzorowane na ulicznym jedzeniu, zupełnie się dla nich nie nadają. Oni wolą delikatne filety i sosy na białym winie. Kiedy wychodzą, zabierając ze sobą niezręczne milczenie, lecz zostawiając swoje segregatory z przepisami, są zwykle najbardziej hojni. W przypadku tych nazwisk zawsze zostaje dużo resztek.

Prowadzone przeze mnie zajęcia są bezkompromisowe i autentyczne, prawdopodobnie nawet za bardzo. Wiem, że niektórzy ludzie chcą dostać listę makaronów i gotowych ciast, podróbek prosto z supermarketu, ale jedzenie przyrządzane w ten sposób kształtuje określony gust, więc obstaję przy swoim. Wydaje się, że większości ludzi podoba się to, co robię,

umiejętności, które kształtuję. Przejawiają apetyt nie tylko na jedzenie, które gotujemy, ale również na opowieści, które snuję, i świat, który zamieszkuję: słuchają o kobiecie z Chinatown, która sprzedaje mi małe kraby wprost z kosza na bieliznę; szkockich nurkach wyławiających przegrzebki, którzy owijają homary w gazetę „Highland Times” i wysyłają je do mnie nocnym pociągiem; i o moich wielotygodniowych zagranicznych podróżach, odbywanych w celu poznania nowych składników, potraw i przepisów.

Jedyną wadą tego życia jest to, że wciąż potrafi złamać mi serce, bo zbyt mi na nim zależy. Kiedy ktoś przepycha się obok mnie i mierzy wzrokiem starannie przeze mnie przygotowane nakrycie stołu lub z wyższością i chłodnym uśmiechem komentuje fakt, iż nie będzie kucharskich czapek ani wodnych kąpeli z odmierzaną termometrem temperaturą, czuję się niezręcznie w swoim zwykłym fartuszku i z gołymi stopami, ale uczę się zachowywać stoicki spokój. Walczę o swoje życie, wciąż dla mnie nowe, chociaż już wszystko sobie zawłaszczyło – mój dom, moją energię, każdą godzinę. Dzień za dniem towarzyszy mi aromat olejku pomarańczowego, osad z czerwonego wina w słoikach po dżemie, zapach cebuli i czarnego pieprzu, który wniknął w moją skórę.



Pralka jeszcze pierze, kiedy ktoś dzwoni do drzwi. To niepodobne do niego, żeby przychodzić w dzień powszedni; zwykle widujemy się w weekendy, a i nawet wtedy niezbyt często. Czasem nie kontaktujemy się całymi miesiącami. Zapytania i zaproszenia zawsze przychodzą esemesem, zawsze niespodziewanie, i rzadko, a w zasadzie nigdy, nie spotykają się z odmową.

Biorę jego płaszcz i wieszam go obok mojego, razem z wełnianym szalikiem, który nosi owinięty wokół szyi. Wie, że ma zostawić buty na ostatnim schodku, ciągnąć drzwi, dopóki nie otworzą się z kliknięciem, zaparkować auto w bocznej ulicy, do której nie zachodzi parkingowy, na wypadek gdyby miał pozostać do rana. Dziwna jest ta moja słabość do niego. Nigdy nie lubiłam szorstkich, prostackich pocałunków i smaku alkoholu

często obecnego w jego oddechu. Jego włosy zdają się nieco przetłuszczone, gdy ich dotykam, a kiedy przyciska mnie swoim ciałem, przez miękką tkaninę koszuli wyczuwam wypukłość jego brzucha wypełniającą wklęsłość mojej talii. Lubię zapach skóry jego płaszcza i żarliwość jego uczucia do mnie. Nie boi się stawiać mi wymagań, a mnie wydaje się to niezwykle wyrefinowane, że w taki sposób formułuje swoje prośby. To, co zaczęło się jako romans, przekształciło się w słodkie, dobrze znane lekarstwo. Dotyka mojej szyi, jakby należała do niego, i często patrzy mi w oczy.

Poznaliśmy się na wiosennej degustacji, gdzie jedliśmy makaron z pokrzywą, smardze na tostach, morskiego pstrąga zapiekanego ze szpinakiem. Siedząc naprzeciw siebie przy okrągłym stole, odkryliśmy, że lubimy to samo wino, mieszkamy blisko siebie, jadamy w tym samym ulubionym pubie, gdzie menu pisane jest na maszynie, a talerze pochodzą z różnych kompletów. Podwiózł mnie do domu i dał swój numer telefonu zapisany na kawałku papieru wydartym z gazety.

Z początku zabieraliśmy się nawzajem na długie, dekadencjonalne kolacje, gdzie rozrywaliśmy karczochy palcami, piliśmy wino i grappę, po czym wracaliśmy każde do siebie, żegnając się szybkim cmoknięciem w policzek. Po kilku tygodniach siadywaliśmy w jego samochodzie i potrafiliśmy godzinami rozmawiać o wioskach Dogonów w Mali, andaluzyjskich wiejskich domach, które odnawiał, przyjemności zrywania brzoskwiń wciąż ciepłych od słońca. Dopiero później dowiedziałam się, że jest sławny. Przyszłam do domu i przeglądałam swoje książki kucharskie, znajdując jego zdjęcie na co najmniej tuzinie okładek. Gdy sprawdziłam jego nazwisko w Internecie, wyskoczyło mi wiele artykułów o jego nagrodach, podróżach do Indii, Wietnamu i Meksyku. Znalazłam artykuł opisujący jego australijski ślub nazwany „kulinarnym wydarzeniem roku” i poczułam gulę w gardle, patrząc na fotografię zrobioną rok przed naszym spotkaniem, na której uśmiecha się do tłumu swobodnie ubranych, bosonogich gości, obracając poczerńiały garnek nad ogniskiem. Wcześniej myślałam, że to mnie wybierze, że będziemy odważnie żyć ze sobą, wypełniając każdą zasadzkę cierpliwością i dobrocią, tą magiczną miksturą romansu, zrozumienia



i adrenaliny, której nie można się oprzeć.

Cztery lata później jego prawdziwa żona nadal mieszka we Francji; ciągle mają problemy, a ja wciąż odbieram telefony od niego. Kiedy leżymy w łóżku, namiastką wspólnego życia jest planowanie wspólnych podróży, które nigdy nie dojdą do skutku, oraz to, że czasami mówi mi, że mnie kocha, zwykle podczas szalonego seksu lub zaraz potem, gdy kładę głowę na jego klatce piersiowej.

Czasem, rzadko, ja również mówię mu, że go kocham. I wtedy naprawdę go kocham; kocham jego i prostą, oswojoną kombinację nas dwojga. To, jak długo ta miłość się utrzyma, jest dla mnie nieistotne. Czasami trwa kilka dni – wystarczająco długo, by wspólnie zjeść śniadanie okraszone pocałunkami, kawałkami tostów i obietnicami, że będziemy się częściej widywać – czasami jednak przemija już wtedy, kiedy on myje się pod prysznicem, a ja zbieram jego ubrania, które rozrzucił po podłodze.

Z dala od niego jestem wolna od poczucia przekraczania granic i nieodstępującego go smutku, który ze sobą przynosi. Te krótkie, nieregularne, niedoskonałe momenty chyba mi wystarczają. Warto wyrwać się na kilka chwil ze swojego zwykłego, egoistycznego życia. Potem rozstajemy się, mieszkamy w tym samym mieście, czasem się mijamy, nie będąc świadomi swojej obecności.

[3] Rodzaj wygodnego obuwia.



## *Rozdział trzeci*



Nigdy nie musiałam nosić hidżabu. Przeraza mnie sama myśl o nim. Bezkształtna peleryna, smutne kolory i warstwy szala owinięte wokół głowy i szyi; strój tak zasłania sylwetkę, że noszące go kobiety zdają się nawet inaczej, ciężiej poruszać. W najlepszym razie, jak sędzę, będę wyglądała poważnie i niezyczliwie, w najgorszym obawiam się, że mogę całkowicie zniknąć.

Dotychczas udawało mi się tego uniknąć, nawet w Jemenie. Tam zatrzymałam się u sześciu kobiet, sióstr Al-Khatiba, które od stóp do głów ubierały się na czarno, włącznie z woalami zakrywającymi twarze i rękawiczkami. Jednak codziennie rano, kiedy sprawdzałyśmy swój wygląd w wysokim lustrze wiszącym w korytarzu, nalegały, żebym miała rękawy do łokcia i nieosłonięte, związane w kucyk włosy. Kiedy próbowałam przykryć głowę lub przywdziać chustę przed wyjściem na dwór, otaczały mnie i zmuszały do zmiany zamiarów, mówiąc: „Nie, tak jest dobrze”.

Ich dumny krok, przenikliwe głosy i gotowość, by robić sceny, jeśli coś jest nie po ich myśli, sprawiały, że były groźnymi strażniczkami podczas naszych spacerów przez wąskie, ciemne alejki wschodniej Sany i jazdy zatłoczonymi, piszczącymi minibusami, którymi docierałyśmy na targ. Postępowałam zgodnie z ich wskazaniem, kiedy długimi, okrytymi czernią palcami wskazywały mi co kilka przystanków nowe miejsce siedzące; bezustannie zmieniały fotele, by na pewno żadna z kobiet nie doznała zniewagi, siedząc obok mężczyzny, który nie jest ich mężem bądź krewnym. Kiedy wybierałyśmy ryby, króliki i kurczaki, które skrzeczały

i podskakiwały, gdy wrzucano je na wagę, szeptem ostrzegały, że zdarzało się, iż zostały obrażone przez spojrzenia i ciekawskie ręce kawalerów z Sany, spędzających zbyt wiele czasu na siedzeniu na spłaszczonych kartonowych pudłach na ulicach i przeżuwananiu garści halucynogennych liści.

W swojej małej, wyłożonej białymi kaflami kuchni siostry postępowały według ustalonego porządku: najmłodsza, niedawno wydana za mąż, obierała czosnek i skrobała marchew, podczas gdy najstarsza – dwudziestoczterolatka już z trójką dzieci – obsługiwała jęczący chiński malakser. Wkładała do niego garście zielonych papryczek chili, pomidory i kolendrę, by zrobić ognisty *z'houg*, *dip*, w którym maczałyśmy gotowane jajka zjadane na przekąskę. Pod warstwami czarnych ubrań, które zdejmowały i rzucały w kąt, kryły się sprane dzinsy, dopasowane legginsy, obszerne bluzy z napisami „Frankfurt” lub „University of Los Angeles”. Ich skóra była gładka i miała migdałowy kolor, gęste, rozpuszczone włosy otaczały ich twarze lokami. Stłumione przez zasłony głosy stawały się głośnie i żywe. Patrzenie na nie w takiej sytuacji, oglądanie ich fryzur, czerwonej szminki na ustach, tego, że niektóre z nich wołały różowe podkoszulki od niebieskich, czyli rzeczy, które widzą tylko nieliczni mężczyźni, było czymś niezwykłym.

Od rana do południa kuchnia Al-Khatiba zmieniała się w centrum świata wypełnione zajętymi rękoma, łyżkami, z których kosztowano potrawy, i palcami rozprawdzającymi wodę i oliwę na gorących powierzchniach. Skwiercząca patelnia jednej z sióstr czekała na kawałek klarowanego masła z rąk drugiej siostry oraz czubatą łyżkę przypraw *hawaij*. Trzecia siostra naciągała ciasto na stożkową formę ze słomy, podczas gdy czwarta smarowała jego powierzchnię roztrzepanym jajkiem i posypywała ją ziarnami sezamu. Przechylano słoiczki z kardamonem, przepłukiwano ryż w durszlaku i na kawałku drewna wspartym na plastikowych stołeczkach krojono kurczaki na małe, równe kawałki. W przeciwieństwie do kuchennych obowiązków, podczas opieki nad ich dziesięciorgiem małych dzieci mogły się wymieniać, więc po każdym źle wymierzonym skoku na poduszki leżące w dużym pokoju, prośbie o szklanek ciepłego mleka z wodą różaną czy też poparzoną kolanie po zbyt bliskim spotkaniu z gorącym *tanoor* jedna

z sióstr wybiegała z kuchni.

Chyba spodziewały się, że będę starsza i bardziej leniwa, tymczasem chociaż przekazałam do rąk najstarszego z braci Al-Khatib tysiąc dolarów w nowych banknotach, nie migałam się od pracy, rekompensując im fakt, że byłam intruzem w ich życiu. W zamian za pieniądze obiecano mi, że przez dwa tygodnie będę mogła chodzić wszędzie tam, gdzie one, i czynnie uczestniczyć we wszystkich zajęciach związanych z gotowaniem i jedzeniem. Najmłodsza z sióstr, dzięki temu, że urodziła się ostatnia, co uratowało ją od wczesnego zamążpójścia, została zapisana na uniwersytet i była cała podekscytowana możliwością porozmawiania po angielsku z kimś, dla kogo jest to rodzimy język.

Chociaż kobiety zostały na mnie skazane dzięki zawartej umowie, próbowałam się wkupić, obierając ziemniaki, szorując wielkie, poobijane garnki, w których gotowały, i wynosząc do rynsztoka, który płynął wartkim strumieniem w alei pod nami, obierki zbierane w dużych pudełkach po margarynie. Uśmiechały się dumnie, gdy notowałam coś pośpiesznie w zeszycie, prosząc je o precyzyjne określenie – Ile kminku? Ile szklanek mąki? – pragnąc wiernie spisać te rzeczy, których się nauczyłam, aby potem odtworzyć je po powrocie do krainy gwiazdek Michelin. To nie było łatwe; nie mogłam robić zdjęć nawet ich rękami, kiedy zagniatały ciasto, aż stawało się cienkie jak papier, lub gdy sprawdzały fermentujący zaczyn, przelewając go metalową chochlą niczym łopoczące wstążki. Należało uszanować prywatność ich życia za drzwiami domu.

Kiedy ich mężowie przychodzili na obiad, chowałyśmy się w kuchni i czekałyśmy, żeby zająć ich jeszcze ciepłe miejsca na podłodze i dojeść to, co pozostało. Zawsze sprytnie przyrządzałyśmy więcej jedzenia, żeby móc raczyć się opiekany kurczakiem po beduińsku i pulchnymi gryczanymi naleśnikami maczanymi w maślanie z dodatkiem ziół. Każdy posiłek kończył się złocistymi waflami z sezamem, które uwielbiałam; wyciągało się je jeszcze gorące z piekarnika i polewało miodem pakowanym w gliniane dzbany, który kupuje się dwa razy w roku od nomadów. Kiedy wreszcie zasiadałyśmy głodne i na bosaka wokół obrusa – jedna blondynka i tuzin

kobiet w chustach, ze złotymi zębami i odpowiednią ilością modłów do Allaha, by starczyło do czasu zapadnięcia nocy – zawsze miałyśmy dość jedzenia, by się nasycić aż do wieczornego posiłku.

Podnoszenie i opuszczanie kwefu, żeby coś zjeść i wypić, sprawiało kłopoty, więc łatwiej było zostać w domu, niż jeść gdzieś na mieście. Wieczorami trzydzieści z nas tłoczyło się w pozbawionych okien pokojach wielkości jednej czwartej mojego mieszkania, żeby zajadać się słodyczami, palić fajki i pić gęstą herbatę z kardamonem i skondensowanym mlekiem. Dzieci przeskakiwały z jednych kolan na drugie, były poklepywane po głowach, wciąż poprawiano im ubrania. Najmłodsze usługiwały najstarszym, dolewając herbaty do filiżanek, podsuwając największe daktyle. Każda kobieta, przechodząc przez łukowate przejście, zrzucała swoje okrycie i pokazywała wyszukane ubrania oraz makijaż. Na przyjęciu na cześć piętnastoletniej drugiej żony (pierwsza podawała herbatę i witała gości) dominowały cekiny, natapirowane, usztywnione fryzury i obrysowane kholem oczy na Kleopatrze. Inne przyjęcie, zorganizowane dla powracających z Mekki pielgrzymów, okazało się małym pokazem mody – białych, przypudrowanych twarzy i minispódniczek. Szybko zorientowałam się, że te przyjęcia są czymś więcej niż okazją do popisu; podczas nich odbywało się staranne dopasowywanie potencjalnych żon do dostępnych mężów. Dziewczyny o najjaśniejszej skórze dostawali najbogatsi mężczyźni i być może były wywożone za granicę do Rosji lub Arabii Saudyjskiej. Te z ciemną cerą lub zezowate przypadały w udziale wdowcom, dalszym kuzynom lub ubogim synom sąsiadów, którzy mieszkali w odległych wsiach.

Wiedziałam, że w mojej prostej, ozdobionej koralikami spódnicy i z nieprzypudrowaną twarzą wyglądałam przy nich blado. Czułam ich ciekawość i odrazę, gdy dowiedziały się, że nie jestem zamężna i nie mam dzieci; być może byłam jedną z tych „otwartych kobiet”, które widziały w telewizji satelitarnej. Żeby to jakoś zrównoważyć, pomalowały mi ręce i nogi miksturą z czarnej skały utartej z miodem, po której skóra piekła mnie i swędziała. Normalnie tak ozdabia się panny młode dla mężów, więc na moich bladych kończynach wyglądało to dziwnie i egzotycznie, ale czułam

dreszcz podniecenia, przeglądając się w lustrze. Za ich aprobatą zajmowałam swoje miejsce na podłodze i odczuwałam niewytłumaczalną tęsknotę za tym, by stać się jedną z tych dziewczyn, by wymagano ode mnie jedynie błądźci cery, by mój los został określony przez starszych ode mnie, bym została oddana mężczyźnie, który nigdy nie widział mojej twarzy. Rzeczy, które zawsze mnie odstręczały, nagle zaczęły wydawać mi się słodkie, niewinne, a nawet romantyczne. Zazdrościłam im dokładnie zdefiniowanej prostoty ich życia, miejsca na dywanie, gdzie będą spały obok swoich mężów, posiłków gotowanych po to, by dogodzić swojej rodzinie, oraz dzieci, które czepiają się ich ciemnych rękawów, a kiedy są poza domem, rozpoznają je po sposobie chodzenia lub zawieszkach noszonych na kostkach.

Dwa razy towarzyszyłam siostróm do leżącego nieopodal *hammamu*, gdzie najpierw trzeba było wynegocjować pozwolenie na moje wejście. Oprócz obwiązanych kokardą bombonierek i zwiniętych banknotów zapewniono również pracownicy łazni o zaciętych twarzach, że nic nikomu nie opowiem o kobietach, które tam zobaczę. Prywatność ich ciał należała do nich i ich mężów, była niedostępna dla uszu obcych mężczyzn. By ułatwić sobie wejście, przyniosłam reklamówkę wypełnioną europejskimi produktami kosmetycznymi, odżywkami, balsamami i maseczkami, i ustawiłam je w równym rzędku obok parujących wiader z wodą, by każda mogła po nie sięgnąć. Rozebrałyśmy się w przytłumionym świetle i przebrałyśmy w dziwaczne, długie do ziemi, elastyczne okrycia, w których się myłyśmy, a ja przymykałam oko na karaluchy biegające w dół i w górę po wilgotnych, łuszczących się ścianach. Podczas tych krótkich, spiesznych chwil, gdy byłyśmy rozebrane, zazdrośnie zerkałam na ich ciała, ich pełne piersi i rozstępy biegnące zygzakiem w dół ud. W ich towarzystwie czułam się zawstydzona swoją płaską klatką piersiową, ciałem nietkniętym porodem i karmieniem dziecka. W kraju, gdzie kobiety w moim wieku wyglądają jak matki, ja czułam się tak, jakbym została przeoczona.

Teraz jednak przygotowuję się do wyjazdu do Iranu, więc noszenie hidżabu jest nieuniknione. Jestem zdenerwowana, a jednocześnie podekscytowana tym, że po raz pierwszy założę chustę w miejscu

publicznym. W domu ćwiczyłam to przez ponad dwa tygodnie. Za każdym razem gdy jestem sama, sięgam po szarą tkaninę, która wisi na srebrnej klamce drzwi sypialni.

Przymierzam ją przed lustrem jak niektóre kobiety mierzą wieczorową suknię czy nowy płaszcz, obwiązuję ją wokół głowy raz lub dwa razy, by lepiej się trzymała. Z początku czuję się tak dziwnie, że wytrzymuję zaledwie kilka minut, ale stopniowo przyzwyczajam się do jej wagi i bezustannego szelestu przy uszach. Czekam na moment, aż moje włosy zaczną się elektryzować za każdym razem, gdy ją zdejmę, aż materiał przesiąknie zapachem mojego szamponu, a zagięcia tkaniny znikną pod wpływem noszenia.

Miałam nadzieję, że przyjdzie mi to naturalnie, że będę wyglądać beztrąsko i elegancko, ale uśmiech zdaje się nie na miejscu w tak poważnym stroju. Mocno szczypię się w policzki, wyciągam spod chusty luźne kosmyki włosów, robię wszystko, by nadać mojej twarzy koloru. Normalnie dobrze się czuję bez makijażu, teraz mam ogromną potrzebę pomalowania ust szminką. Moja twarz zdaje się łaknąć odrobiny czerwieni. Wzorując się na fotografiach muzułmańskiej mody znalezionych w Internecie, grzebię w szufladach w poszukiwaniu czegoś, co sprawi, że poczuję się kobieco, czegoś takiego jak kolczyki, cienie do powiek czy ozdobne spinki do włosów.

Sprawdzam, jak wyglądam w chuście idąc, biegnąc, chodząc w górę i w dół schodów, oceniam, czy jest stabilnie zamocowana. Czasami jeden koniec zostawiam dłuższy, by udrapować go na ramieniu, innym razem układam go wokół szyi. Niekiedy zupełnie o niej zapominam, czytając książkę, pisząc mejle, jedząc w łóżku osolone plasterki ogórka, ale rozmowa przez telefon, a nawet szybki obrót głowy wciąż sprawiają, że szal zsuwa się do tyłu. Sięgam, by naciągnąć go na miejsce, szarpię jedną ręką i wygładzam drugą, co, podobnie jak sama chusta, szybko staje się moją drugą naturą.

Za każdym razem, gdy zdejmuję chustę, przesuwam ją między palcami, obawiając się związanych z nią problemów. Zasady, które otrzymałam z ambasady irańskiej, są zaskakująco niejasne, jestem skonsternowana

możliwymi interpretacjami. „Chusta musi okrywać głowę i chronić skromność kobiety” – mówi instrukcja na rewersie mojego podania o wizę. Ale ile włosów mogę pokazać? Jakie kolory uważane są za skromne, a jakie za śmiałe? Co się stanie, jeśli przekroczę tę granicę? Entuzjazm, który wzbudza we mnie dotyk tkaniny na głowie, wykracza poza małe cele, które sobie postawiłam: utrzymanie chusty na miejscu podczas odkurzenia, mycia zębów czy ubijania piany z białek. Jak dziecko ekscytuję się wyjazdem do Iranu, państwa, w którym nikogo nie znam, gdzie będę nosiła hidżab, jakby był częścią mnie.

Przyjaciele kręcą głowami i wyrażają żal, wyobrażając sobie, że będę bezbarwną i milczącą, bezkształtną postacią wśród setek podobnych bezkształtnych postaci, ale ja widzę siebie inaczej: idącą pewnym krokiem przez zatłoczone irańskie ulice. Podobnie jak w dzieciństwie, gdy nosiłam mundurek w katolickiej szkole i zawsze starałam się wyróżniać podczas porannego apelu lub odczytywania obecności na boisku, ponownie odkrywam, że błyszcząca biżuteria, skrócenie tkaniny o kilka cali, zamiana szarego na fioletowy lub granatowy może dodać pewności siebie i nadać lekkości moim krokom. Po trzech latach noszenia dżinsów i podkoszulków, nieprzywiązywania wagi do tego, czy wyglądam modnie, nie martwię się teraz wizami, polityką czy niebezpieczeństwem. Jedyne, o czym mogę myśleć, to to, jak powinnam się ubrać.

To nie dla mężczyzn chcę dobrze wyglądać, lecz dla kobiet. Wiem, że od tego, jak się ubiorę, będzie zależało, czy otworzą, czy zamkną przede mną drzwi, więc bardzo pragnę się do nich dostosować, żeby móc nawiązywać z ludźmi kontakty. Dawno już nauczyłam się rozpoznawać irańskie kobiety na lotniskach w Paryżu, Montrealu czy Dubaju, bez trudności rozróżniam je pośród pasażerów lecących do Arabii Saudyjskiej, Kataru czy innych miejsc na Środkowym Wschodzie. W okularach słonecznych i na wysokich obcasach, z kolorowymi szalami luźno zarzuconymi na włosy oraz dopasowanymi płaszczami od projektantów przypominają bardziej mieszkanki krajów śródziemnomorskich – Rzymianki lub Katalonki – niż te ciemnoskóre, zacięte twarze pokazywane w wieczornych wiadomościach.



Podziwiam ich wdzięk i otwartość, gdy czekają w kolejce w kółku, a nie w rzędzie, mówią głośno i często się śmieją, nie zważając na osobistą przestrzeń.

Pierwszą osobą, która mnie zobaczy w hidżabie, będzie fotograf. Jego studio w brudnej suterenie na rogu stacji Charing Cross jest nie większe niż łazienka, zajmuje ciasny kąt pomiędzy szewcem a małym kioskiem sprzedającym kupony na loterię. Siadając na chwiejącym się drewnianym stołku, zerkam na przyklepione do ścian papiery, ukazujące wymiary zdjęć do dowodów osobistych i paszportów do Australii, Afryki Południowej oraz do wiz w strefie Schengen w Europie. Fotograf uśmiecha się, ustawiając odpowiednio aparat, by dopasować go do mojego wzrostu. Prosi, bym usiadła prosto, i rozciąga za mną białe tło. Gdy sięga po nie, zauważam, że ma oliwkową cerę i grube niczym z waty brwi. Martwię się, że może jest muzułmaninem i uzna, że jestem śmieszna.

Wyjmuję z torby szal, który wybrałam na tę okazję. Kupiłam go wiele lat temu ze szklanej gabloty w drogim sklepie w Delhi, ale przez cały czas leżał na dnie szuflady, nadal opakowany w brzoskwiniową bibułę. Jest wystarczająco szeroki, by zakryć mi kark, i wystarczająco długi, bym mogła obwiązać twarz dwa razy. Czarny z krzyżującymi się złotymi i srebrnymi nićmi. Z niezrozumiałych powodów jest dla mnie ważny w tej pierwszej zarejestrowanej chwili, gdy zakładam hidżab. Wybrałam ten szal w nadziei, że będzie ładnie wyglądał.

Wciąż nowa tkanina jest sztywna w dotyku i nie chce się układać, gdy owijam nią głowę i przekładam pod brodą. Jestem świadoma tego, że wygląda dziwnie, odstaje tam, gdzie powinna przylegać, ale odrzucam propozycję, bym przejrzała się w małym lustrze wiszącym na gwoździu wbitym w ścianę, które wskazuje mi fotograf. Tracę śmiałość w obliczu braku doświadczenia i nagle zdaje mi się, że ubieranie się przed nieznanym jest zbyt intymne. Obracam więc tylko głowę i unoszę brodę zgodnie z jego instrukcją, czekając, aż elektroniczne piknięcia aparatu dobiegną końca, a ja będę mogła zmienić wyraz twarzy. Kiedy fotografie zostaną wywołane, wyglądam na nich sztywno jak lalka, a włosy mam

przyciśnięte do czoła. Akceptuję, że tak właśnie wyglądam, kiedy wiza zostaje przylepiona do mojego paszportu w ambasadzie Iranu, a zdjęcie otoczone zajmującymi całą stronę nieczytelnymi literami, którymi zapisano jak się nazywam i datę moich urodzin. Jestem podekscytowana, widząc swoje nazwisko zanotowane w taki sposób i niepasujące do kontekstu.

Pamiętam, że pierwszy raz poczułam się podobnie, kiedy do mojego domu w Dublinie przyniesiono książkę telefoniczną. Przeglądając świeżo zadrukowany papier, który plamił mi palce na czarno, ujrzałam wiele nazwisk powtarzających się rząd za rządem, niektóre zajmowały nawet kilkanaście stron. Kiedy wreszcie znalazłam swoje, wydawało mi się niewiarygodne, że jest tylko jedno, wyróżnione niczym jakaś anomalia. „Klinec J. 1 Longford Terrace, Monkstown”. Pod koniec roku szkolnego wydarłam tę stronę i wsadziłam ją do walizki, jakby chcąc zapewnić samą siebie, że to nie był sen, tylko ważna pamiątka zabrana przed wejściem do samolotu, którym poleciałam z powrotem do Ontario, do buicków i fordów pickupów, doskonale prostych dróg, klimatyzowanych budynków w kraju, do którego już nie należałam.

Pakuje się i przygotowuję na spokojne, samotne wieczory, dlatego zabieram książki kucharskie, laptopa, nawet płyty DVD z zestawami ćwiczeń i plastikowe opaski na ramię. Spodziewam się odcięcia od świata, tego, że wszystko będzie pozamykane wieczorem przed godziną 21.30, ulic cichych i niegościnnych po zapadnięciu ciemności. Podzwaniając trzymanymi w dłoni kluczami, jeszcze raz rzucam okiem na mieszkanie, które z przyjemnością opuszczam, schludnie posłane łóżko, pustą lodówkę pachnącą jeszcze wybielaczem, niepotrzebne papiery wyrzucone do kosza.

W miejscu, do którego jadę, nie ma prostych i łatwych rzeczy. Ale już będąc na studiach, gdy po raz pierwszy jadłam perski gulasz, rozrywając metalowymi sztućcami włókna jagnięcego mięsa i wdychając aromat suszonych czarnych limonek, obrałam kurs na ten kraj. To miłość gna mnie do Iranu, miłość, która pojawiła się od czasu, gdy miałam dwadzieścia lat. To przez miłość jestem gotowa siedzieć sama w każdy wieczór i jeść w pustej jadalni dla kobiet w tych nielicznych restauracjach, które przetrwały

rewolucję. To z miłości będę przepychała się między mężczyznami w starych kawiarniach, ignorując ich szepty i bezwstydnego spojrzenia. To miłość każe mi jechać do kraju, w którym rządzi strach, gdzie kultura została zepchnięta na margines i dawno zapomniana.

Okryję włosy i będę spuszczała wzrok nie po to, by zobaczyć zabytki, grobowce i ruiny Persepolis. Jadę do Iranu dla jedzenia.

Nie chodzi mi o kawałki jagnięciny pieczonej na węglu drzewnym i surową cebulę zjadane przez robotników i taksówkarzy; zamiast tego szukam potraw spożywanych za zamkniętymi drzwiami. Długo duszonych gulaszów z kurczaka ze złocistymi śliwkami i pigwą, które podaje się zmęczonym mężom po długiej jeździe, przesiadkach z autobusu do autobusu i wspólnie wynajętej taksówce, lub znużonym dzieciom po szkole, gdzie oprócz obowiązkowych zajęć z moralności i „historii rewolucji islamskiej” uczyły się matematyki i biologii. Wyobrażam sobie jagnięcinę opiekaną z ziarnami granatu, którą się je po całym dniu gryzienia się w język i przełykania zniecierpliwienia, podawaną z garściami kolendry obieranej przez bose kobiety siedzące na dywanach. Mięso zakupione i odkrojone z większego kawałka w lokalnym meczecie, upieczone tak, że nawet twarde części zaczynają się rozpadać, skrawki mięsa wręczane każdemu pracownikowi fabryki w plastikowych torbach jako prezent z okazji początku wiosny.

Zależy mi na daniach tradycyjnych i ważnych, przepisach, które uległy niewielkim zmianom przez pięćset lat, może oprócz zastąpienia tłuszczu z ogona owcy, który topiono w garnkach, tłuszczem roślinnym. Wyobrażam sobie jedzenie pachnące osmalonymi, poobijanymi garnkami i dekadami dymu skumulowanymi w glinianych naczyniach, jedzenie gotowane przez kilka pokoleń kobiet, podczas gdy ich dzieci bawiły się u ich stóp, a także wtedy, gdy świat, który znały, zawałił się na ich oczach. Wyobrażam sobie stoły ozdobione smakiem dumnego, złożonego życia. Zioła przynoszone w specjalnych koszach; chleb owinięty w węzłowate muślinowe ściereczki; gęste gulasze zakwaszone sokiem z niedojrzałych winogron; marchew gotowaną z cukrem i wodą różaną, jogurt dojrzewający w specjalnych

kapiących woreczkach i wypływającą z niego serwatkę suszoną na słońcu, na rozłożonych na tacach ściereczkach. Widzę rytualne formowanie chleba, wgłębienia robione opuszkami palców, małe dziurki ukształtowane po to, by można je było wypełnić oliwą lub bulionem.

To prawda: to, czego pragnę, to w dużej mierze romantyzm, spuścizna kraju, w którym kobiety porównuje się do jedzenia – piersi są jak granaty, usta jak dojrzałe daktyle. Jestem oczarowana tym, że rodziny chowają stopy pod jeden niski stół, gromadzą się pod kocami, by jeść kawałki arbuza i fety osłodzonej wodą różaną, i słuchają historii opowiadanych przez dziadków. Widzę siebie jako intruza, jakbym była postacią w historycznym dziele literackim, wygrzebującą ostatnie kawałki przypalonego mięsa i gęstego sosu ze ścianek żeliwnych garnków, zjadającą całe łyżki żywicznych lodów z szafranem, który magicznie ciągnie się od miski do moich ust długimi, lepкими nitkami.

Mam ściśle sprecyzowane oczekiwania, ale na jednym zależy mi najbardziej. Chcę skosztować najślawniejszego irańskiego przysmaku: ryżu po irańsku.

Ryż po irańsku to zupełnie coś innego. Nie gotuje się go w wodzie ani na parze, nie wrzuca się bezceremonialnie do garnka. Ryż po irańsku jest najpierw namaczany i kąpany jak hinduska księżniczka, opłukiwany w trzech zmianach ciepłej wody. Do garnka z ryżem dodaje się łyżkę soli i gotuje go do momentu, aż zacznie pęcznieć, tak aby nie stracił swojego charakteru ani smaku. W końcu odcedza się go i wkłada do garnka z roztopionym masłem, stawia na najmniejszym ogniu i gotuje, aż będzie tak niezwykle lekki i puszysty, że można by nim wypełnić kołdry i poduszki w pałacu Buckingham.

Potem przesypuje się go do dużej i płytkiej miski, w której zostanie podany na stół; żadne ziarno nie jest sklezione, a porcja na talerzu piętrzy się jak ślubne konfetti, ozdobione pasmami jaskrawożółtego szafranu i wykończone ostatnią, nałożoną z czułością porcją masła. Ale najlepsze jeszcze przed nami: *tahdig*. To złocista maślana skorupka z ryżu pozostawionego, by przypiekł się na dnie garnka i zyskał właściwą grubość. *Tahdig* jest łamany

na kawałki niczym klejnoty i posypuje się nim ryż. Chrupie i pęka w ustach podczas jedzenia.

Wydaje mi się, że w Iranie można pójść do restauracji i zamówić luksusowy posiłek składający się tylko z *tahdig*, a ja chcę właśnie to zrobić.

Miejsce, do którego tęsknię, gdzie będę mogła wyzwolić się od wszystkiego, leży daleko od Londynu. Zabieram do Iranu wszystkie moje romantyczne mrzonki. Zabieram najlepszą, najmiłą wersję siebie, z nadzieją, że w zamian doświadczę tego, co w Iranie najpiękniejsze.



## Rozdział czwarty



Jego „cześć” brzmiało bardziej jak szczenięcie niż jak powitanie i kiedy uniosłam wzrok znad książki, spodziewałam się zobaczyć kogoś starszego. Osłonił dłonią oczy przed popołudniowym słońcem, żeby na mnie popatrzeć. Miał szeroki nos i ostro zarysowane kości policzkowe, złagodzone długimi, prawie kobiecymi rzęsami, a wszystko to sprawiało, że uznałabym go za przystojnego, gdybym się nad tym chwilę zastanowiła. Ale jedyne, co zauważyłam, to rezerwa na jego obliczu oraz chyba na stałe przytwierdzony grymas niezadowolenia. Domyśliłam się, że dobiega trzydziestki, jednak twarz mężczyzny była tak sroga, że trudno było określić jego wiek. Miał na sobie białą bawełnianą koszulę z kołnierzykiem w stylu amerykańskim oraz ciemne, luźne dżinsy z dużymi kieszeniami – spodnie popularne wśród młodych Irańczyków, produkowane w Turcji, ale z metką z napisem „Italy”.

Nie wydaje mi się, żeby kierowało nim coś innego niż nuda. Nie byłam dla niego nawet osobą, lecz zaledwie przybyszką z zagranicy. *Khaareji*. Należałam do jasnoskórych turystów, którzy przejeżdżali przez jego miasto leżące na skraju pustyni i zachwycali się ścianami z gliny i słomy, dotykając ich dłońmi, gdy przemierzali stare uliczki wokół bazaru.

Zaczął mnie przepytawać, szybko, ale bez entuzjazmu, prawie nie czekając na moje odpowiedzi. Wyczułam, że słuchanie własnego głosu mówiącego po angielsku sprawia mu dużo przyjemności i nie ma to zbyt wiele wspólnego z moją osobą. Później powiedział mi, że często podchodził do turystów, żeby poćwiczyć angielski, ale nigdy jeszcze nie widział siedzącej samotnie kobiety z zagranicy.

- Skąd jesteś?
- Co sądzisz o Iranie?
- Co już widziałaś w naszym kraju?

Za każdym razem, gdy odpowiadałam, patrzył na mnie krytycznie, mrużył oczy i się nie uśmiechał. Spojrzałam na zegarek, żeby sprawdzić, która godzina, sądząc, że dam mu jeszcze najwyżej pięć minut.

Nie wiedział, że przyjechałam do jego kraju zaledwie dziewięć godzin wcześniej. Że jeszcze poprzedniego dnia oglądałam jego miasto na zdjęciach w przewodniku. Że tego poranka obudziłam się na lotnisku w Mehrabadzie, czekając na tupolewa, którym miałam tutaj przylecieć. Pewnie by się śmiał, gdybym mu powiedziała, że moją pierwszą reakcją na Iran był strach. Zawodzące nawoływania do modlitwy, które wypełniały lotnisko, były tak przenikliwe, że instynktownie ugięły się przede mną kolana. Ten dźwięk wydobywający się z gardła czerwonego na twarzy mężczyzny czy też chłopca, zniekształcony i trzeszczący w zakurzonych głośnikach zwisających na kablach, zamknął się wokół mnie jak gęsta mgła.

Gruba wykładzina na lotnisku śmierdziała wilgocią, klimatyzacja działała z pełną mocą, sprawiając, że zaczęłam drżeć. Wszędzie wokół mnie byli ludzie – mężczyźni z twarzami pozbawionymi wyrazu i duże, szczelnie okryte kobiety – przechodzili do przeznaczonych dla nich pokoi modlitewnych w kącie, ściskając przepełnione plastikowe torby i poźółkłe poduszki, z którymi podróżowali. Z ich toreb wystawały złożone opakowania regionalnych słodyczy – lepkiego nugatu pistacjowego z Esfahanu, miodowo-szafranowych chrupek z Qom – prezenty, które prawdopodobnie jeszcze dziś zostaną wyłożone na owalne półmiski i będą podawane z rąk do rąk podczas wieczornej herbaty.

Rząd miejsc wzdłuż okien w kolorze bursztynu, gdzie usiadłam, jeszcze chwilę wcześniej zajęty był przez biznesmenów i rodziny, ale teraz opustoszał. Wcześniej wiele razy słyszałam wezwanie do modlitwy – w Stambule, w Damaszku, w pokrytych graffiti ulicach wokół wschodniego Londynu – ale nigdy jeszcze nie było tak zimne i przeszywające. Wszystko to, od kiepskiej jakości nagrania, poprzez metaliczny pogłos aż po

przenikliwe zniekształcenia, czułam tak, jakby wibrowało mi między zębami.

Podniosłam dłoń i odkryłam, że szal ześliznął mi się z głowy, kiedy spałam. W panice szarpnęłam go i umieściłam na miejscu, po czym rozejrzałam się po terminalu, spodziewając się upomnienia. Potarłam oczy i poczułam między palcami twarde grudki tuszu do rzęs, który starannie nałożyłam poprzedniego wieczoru, chcąc ładnie wyglądać podczas mojej pierwszej w życiu podróży do Iranu.

Naprzeciw mnie po drugiej stronie pomieszczenia siedział jakiś mężczyzna w okularach słonecznych nasuniętych na gęste, posmarowane żelem włosy. Czułam, że się na mnie gapi, i wiedziałam, że lepiej będzie, jeśli ja nie będę na niego patrzeć. Nie chciałam, żeby przyszedł i usiadł obok mnie, nie miałam ochoty słuchać jego nudnych wynurzeń o odwiedzinach u kuzyna w Niemczech lub czekać na moment, aż źle zinterpretuje mój brak zahamowań i oprze się o mnie lub położy rękę na moim kolanie, sądząc, że to na jego widok jestem taka pewna siebie i otwarta, po prostu wyluzowana.

Jednak tego człowieka, który podszedł do mnie w Jazdzie, potraktowałam w inny sposób: skinęłam przyzwalająco, gdy zapytał, czy może się przysiąść. Może wyczułam w nim taki sam brak zainteresowania mną, jaki ja przejawiałam wobec niego, co miało swoje odzwierciedlenie w jego obojętności i dystansie fizycznym, który utrzymywał między nami. Atmosfera nie ociepliła się nawet wtedy, gdy powiedział, że ma na imię Vahid, uczył się angielskiego w szkole i studiował inżynierię. Stał z rękami założonymi na piersi, a ja zastanawiałam się, czy się denerwuje. Chwytał długimi palcami i skręcał luźno wiszące frędzle dywanika przykrywającego drewnianą ławkę obok mnie. Co trzecie zdanie przeczesywał dłonią swoje szorstkie, ciemne włosy, głos miał tak płaski, że wydawało się, iż wygłasza jakiś wykład. Jego angielski był niewprawy i nieskładny i wydawało mi się, że powinnam bardziej starać się go zrozumieć, odgadywać, co chce powiedzieć, pomagać mu znaleźć właściwe słowa, ale jego gburowatość i napastliwość powstrzymywały mnie przed tym – wolałam patrzeć, jak się męczy.

Nie miał takiej łatwości rozmowy z dziewczynami, jaka zawsze kojarzyła



mi się z mężczyznami podchodzącymi do turystów na Środkowym Wschodzie. Nie wygłaszał wyuczonych na pamięć gładkich zdań, nie przygotowywał się do rozmowy, nie zamierzał doprowadzić do jakiejś schadzki pozbawionej dalszych konsekwencji. Za to wydawało się, że sama rozmowa ze mną jest dla niego szczytem śmiałości. Podejrzewam, że od dawna był przyzwyczajony do tego, że kobiety – matka i jego ciotki – go rozpieszczają, że jego głos jest zawsze najdonośniejszy, a jego opinie są przyjmowane z uwagą, nawet gdy wypowiada się w sprawach, których za bardzo nie rozumie. Może rozmowa ze mną zapędziła go na grunt, którego nie znał.

Dopiero gdy dołączył do nas jego wuj – starsza, uśmiechnięta wersja jego samego – zaczęłam się odprężyć. Obecność wuja i fakt, że mieszkał na wygnaniu, każdą nogą w innym świecie, stworzyły pomost między nami i sprawiły, że Vahid stał się bardziej dostępny, choć tylko w niewielkim stopniu. Jego wuj wyjaśnił, że trzy dekady temu, tuż przed wybuchem wojny irańsko-irackiej, opuścił Iran i wyjechał do Pensylwanii, a teraz wrócił w odwiedziny, bez swojej amerykańskiej żony i dzieci, którzy nie chcieli mu towarzyszyć. Kompleks „Tylko razem z córką”<sup>[4]</sup> – zażartował.

Spędzili razem popołudnie, szukając pamiątek na bazarze, biżuterii z jadeitu, która spodobałaby się jego nastoletnim córkom. Ku rozczarowaniu Vahida wuj przestał dobrze znosić intensywny upał i kurz, przez co przypomniał sobie o miejscu, gdzie i ja zatrzymałam się na odpoczynek, zmęczona zwiedzaniem miasta na piechotę. Po raz pierwszy podszedł do mnie w kawiarni w moim hotelu, przerobionym z domu kupieckiego, w którym kiedyś mieszkała dwudziestoosobowa rodzina. Zamówiłam herbatę i szukałam spokojnego stolika na podwórzu, gdzie mogłabym posiedzieć w samotności, pod baldachimem łopoczącym niczym żagiel. Nie przypominam sobie, co było piękniejsze: fontanny wykładane turkusowymi kafelkami i szyby w kolorze bursztynu wokół mnie czy wybór cukru, jaki podano mi na srebrnej tacy. Żółty zbrylony cukier, który wyglądał jak ametyst, wyszczerbione kostki białego, oprószone pyłem, które, jak później mi pokazał, były wyciosywane z dużego kawałka w kształcie torpedy przy

użyciu narzędzi przypominających kolce do lodu. Dwaj mężczyźni zrzucili swoje mocne skórzane buty i wyciągnęli się na drewnianych leżakach stojących koło mojego, położywszy najpierw na języki po dwa kawałki cukru. Przeżuwając go z nieskrywaną przyjemnością, podnosili do ust szklanki z herbatą i sączyli ją przez cukier, słodząc w ten sposób napój przepływający przez ich wargi.

Obserwując ich, szybko dostrzegłam różnicę pomiędzy Irańczykami w Iranie i tymi, którzy wyemigrowali. Pytania Vahida były bardziej bezpośrednie i wścibskie, podczas gdy jego wuja milsze i bardziej dyskretne. To różnica, którą po raz pierwszy uświadomiłam sobie na Heathrow, stojąc w kolejce do odprawy z jedyną małą torbą, pomiędzy wózkami bagażowymi, na których leżały stosy walizek opakowanych folią. Gromada ludzi już zaczęła zachowywać się jak w Iranie, stosując swoje wyraźne, choć niewypowiedziane reguły. Starsi stali przed młodymi, rodzice przed dziećmi, witano się w skomplikowanym perskim stylu, zamiast krótko, po angielsku. Walizki wypchane były prezentami, nieznajomi witali się uściskiem dłoni; rozmowy dotyczyły ostatnio wprowadzonych sankcji i ich wpływu na cenę chleba i paliwa. Małe dzieci podrzucano do góry.

Dla niektórych odprawa była rutyną, nawet byli nią znudzeni, kiedy sięgali do kieszeni i torebek po paszporty z okładką w kolorze brązowym, oddzielając je od czarnych, granatowych czy zielonych z krajów, w których zamieszkali. Inni zdawali się spięci, nie tak pewni siebie. Przejawiało się to w drobiazgach – unikaniu kontaktu wzrokowego, żuciu gumy, w afektowanej, pozornie znudzonej postawie – to sugerowało zachwianie równowagi pomiędzy Wschodem i Zachodem. Myślę, że to są ci Irańczycy, którzy zakrywają swoje twarze, protestując pod ambasadą, lub zakładają konta na Facebooku pod fałszywymi nazwiskami; ci, którzy mogli po raz pierwszy doświadczyć fizycznej intymności za granicą i uwolnić się od zamartwiania o swoją reputację. Wyobrażam sobie, że powrót do Iranu sprawi, że poczują rozdrażnienie i irytację, bo to, co było dla nich milowym krokiem, zostanie obrócone przeciwko nim. Na podróż do domu założyli swoje najlepsze ubrania kupione w Lacoste i Benettonie, chociaż wiedzą, że

zostaną zobligowani do oddania płaszczy i marynarek kuzynom, którzy będą im zazdrościć i prawić komplementy.

Vahid był zaskoczony, gdy dowiedział się, że przyjechałam sama, że to była moja druga próba otrzymania wizy, że mam już trzydzieści jeden lat i jestem starsza od niego. Zobaczył obok mnie otwartą perską książkę kucharską, więc zaczęłam opowiadać mu o swoim życiu w Londynie oddalonym o trzy i pół tysiąca mil stąd. Wyglądał na zaintrygowanego, że prowadzę własną firmę i jestem niezależna; sądzę, że wtedy po raz pierwszy zobaczyłam, jak się uśmiecha. Ukończywszy niedawno dwuletnią służbę wojskową, chyba uważał, że to niewiarygodne, iż ktoś może do tego stopnia kontrolować własne życie. „Wymień wszystkie kraje, w jakich byłaś” – poprosił. Powoli, jeden za drugim, recytowałam listę, zatrzymując się, gdy chciał zapamiętać perskie nazwy Etiopii, Mozambiku, małych wysp w Karaibach. Czasami rysowaliśmy mapę palcami na dywanach, na których siedzieliśmy, zaznaczając kraje na schematach kontynentów, by pomóc mu zlokalizować miejsca, o których wspominałam. Czułam, że zatrzymuje na mnie wzrok na dłużej, a z jego twarzy schodzi napięcie, staje się prawie przystojny.

Zachęcona jego uwagą, opowiedziałam mu, dlaczego przyjechałam do Iranu, co chciałabym ugotować i skosztować.

Spodziewałam się, że zaimponuję mu swoją wiedzą, tym, że znam nazwy potraw, z których słynie jego miasto. Oczekiwałam, że się uśmiechnie, kiedy wspomniałam o *shooli*, zupie z buraka i octu zagęszczanej mąką, i małych ciasteczkach z Jazdu robionych z mielonego ryżu i pistacji.

– Moja mama jest dobrą kucharką – powiedział jedynie.

– Czy chciałaby spędzić trochę czasu ze mną i pozwolić mi przyglądać się, jak gotuje? – ośmieliłam się w końcu zapytać.

– Cóż, będziemy musieli ją o to zapytać – odparł, a w jego głosie wyczułam zaskakującą irytację. Znowu miał chłodną, zdystansowaną minę, a ja nie wiedziałam, co z tym zrobić. Chwilowa uprzejmość zniknęła, wydawał się spięty, a na jego twarz powrócił grymas niezadowolenia.

Muszę przyznać, że łatwiej mi było wyjść w jego towarzystwie. Kiedy tu

przyjechałam, jedyne, czego pragnęłam, to sen. Ze zmęczenia padłam na twarde łóżko w pokoju, zaraz po tym, jak otaksowałam wzrokiem niskie sufity i ciemne witrażowe okna i rzuciłam torby na patchworkowe dywany rozciągnięte na podłodze. Byłam onieśmielona, kiedy później wyszłam na ulice zalane oślepiającym blaskiem słońca. Te wokół bazaru były wąskie, zwielokrotniały dźwięk przejeżdżających motorowerów. Co najmniej trzy razy nastoletni chłopcy udawali, że się potknęli, żeby się o mnie otrzeć. Nie będąc pewna, od czego zacząć, szłam przed siebie, zerkając na wydartą z przewodnika mapę. Zatrzymałam się, żeby kupić loda w papierowym kubeczku z polewą z soku marchewkowego, którego wybrałam z menu napisanego po angielsku czarnym markerem na tekturze. To była pierwsza rzecz, jakiej skosztowałam w tym kraju. W smaku przypominały pomarańczowe lody, które uwielbiałyśmy z siostrą, będąc dziećmi, ale tutaj sok marchwiowy był słodki, a nie gorzkawy i wodnisty tak jak w domu.

Szłam za grupą rozgadanych uczniów i dotarłam na dach meczetu, skąd obserwowałam proste drogi, wąskie paski trawy, gdzie niewielkie grupy młodych mężczyzn i rodzin siedziały na kocach, a dym unosił się do nieba z ich prowizorycznych grillów.

Wypatrywałam kobiet, które pospiesznie przemieszczały się po chodnikach, mając na sobie poważne czarne okrycia naciągnięte aż do brwi oraz prowadząc dzieci pędzące tuż za nimi. Przypomniałam sobie, co czytałam o miejscu, z którego Vahid pochodzi: że chociaż mieszkają w mieście znanym ze zmysłowych łuków wieńczących ceglaste przejścia i romantycznie nazwane alejki, obywatele Jazdu słyną z tego, że są konserwatywni i mają smykałkę do zarabiania pieniędzy. Pisano, że ci mężczyźni, ubrani jak wieśniacy i noszący tanie plastikowe sandały, tak naprawdę są zamożni i szczycą się niezrównanymi umiejętnościami targowania. Że transakcje zawierane na rynku, u sprzedawcy ryżu, w wąskich sklepionych przejściach złotego bazaru, są niekończącymi się wymianami westchnień i syknięć, ofert podawanych szeptem, ze wzrokiem wbitym w ziemię, kontrofert akcentowanych poklepywaniem się po pustych portfelach spoczywających w kieszeniach. Że po ustaleniu odpowiedniej

ceny kupiec i sprzedawca trzy razy podają sobie dłonie, po czym sięgają po pliki mocno zwiniętych banknotów poutykanych w nylonowe skarpetki lub tajne skrytki ręcznie wszyte w ich bieliznę.

Kiedy w samolocie powiedziałam, dokąd się wybieram, ludzie unieśli brwi ze zdziwienia. „Jazd?!”. Para siedząca przede mną spojrzała na mnie, jakby to było coś szalonego. Podobnie jak większość pasażerów nie brali pod uwagę prowincji, preferując zadrzewione przedmieścia północnego Teheranu. Dołączyło do nich czterech czy pięciu innych pasażerów, którzy ze śmiechem na zmianę przedrzeźniali dialekt, którym posługiwano się w tym mieście, oraz nadużywanie przez jego mieszkańców uprzejmości i zarzucanie rozmówcy zwrotami *ta'arof* podczas dobijania interesu czy wymieniania uprzejmości. „Jestem pańskim sługą”, „Niech nie boli cię ręka”, „Składam siebie w ofierze!” – parodiowali z przesadnym akcentem z Jazdu.

„Nawet śluby zawierane w Jazdzie słyną na cały Iran” – twierdzili. Słyszałam, że kiedy mieszkańcy Jazdu się żenią, ślubni goście towarzyszą młodej parze w marszu do nowego domu, podczas gdy jeden z przyjaciół rodziny lub krewny odczytuje na głos listę ślubnych prezentów. Ciotka panny młodej kupiła parze nową pralkę! Rodzina Zahedi dała im nowy dywan! Po odczytaniu każdego prezentu widzowie klaszczą i głośno wiwatują, a młoda para powinna się rumienić, jakby byli niegodni tych darów. W międzyczasie kobiety z Jazdu uważnie wszystko obserwują i spisują listę otrzymanych prezentów w małych czarnych książeczkach. Wygląda na to, że dawanie prezentów traktuje się w Jazdzie z pełną powagą, a brak równowagi w ich cenie jest skrupulatnie odnotowywany, by przy następnych okazjach wyrównać co do jednego riala.

Chciałam opowiedzieć Vahidowi o swoim locie, kiedy po raz pierwszy usłyszałam o folklorze tego miasta, i że byłam zaskoczona tym, iż jestem jedyną osobą spoza Iranu na pokładzie samolotu. Chciałam powiedzieć mu o ogromnych apetytach innych pasażerów, którzy wypijali kieliszki wina i miniaturowe butelki wódki oraz uzupełniali niewielkie ilości jedzenia wyjmowanym z foliowych opakowań pieczywem, siatkami pomarańczy i jabłkami zjadanymi razem z ogryzkami. Chciałam mu opowiedzieć

o młodym człowieku siedzącym koło mnie, który położył mi na kolanach kilka tuzinów fotografii przedstawiających kuzynki, spośród których zamierza wybrać sobie żonę. O tym, że czułam lekką odrazę, widząc ich twarze pokryte grubą warstwą podkładu i wyskubane brwi zastąpione kreską wykonaną eyelinerem. Ich zdjęcia krążyły pomiędzy siedzeniami za i przed nami, a każdy doradzał, która według niego wydaje się najlepszym wyborem.

Chciałam powiedzieć mu o rozsypanych ziarnach słonecznika i łupinach orzechów ziemnych, które spadały na wykładzinę, i że to była najprzyjemniejsza podróż, jaką odbyłam w życiu. O tym, że czułam podekscytowanie i obawę, kiedy samolot zaczął lądowanie na lotnisku Chomeiniego i pilot ogłosił, że przed wyjściem wszystkie panie muszą zastosować się do zasad ubierania panujących w Islamskiej Republice Iranu, a także o tym, że samolot stał się naszym ostatnim przysiółkiem Zachodu przed wstąpieniem do świata islamu. Chciałam mu opisać dziwną choreografię kobiet masowo sięgających do torebek i bagażu po szale i zakładających je na głowy. Chciałam powiedzieć o tym, jak później, gdy tylko dotarliśmy do terminalu, żałowałam swojej decyzji, że nie zatrzymam się w Teheranie i od razu polecę do miasta, w którym go poznałam, sądząc, że mniejsza miejscowość pozwoli mi się łatwiej dostosować. O tym, że stałam i przyglądałam się przez szybę, jak moi współpasażerowie zostają połykani przez tłum, nabrzmiałą masę czarnych szat i ciemnych oczu, i czułam strach na myśl o tym, że jestem tu sama, pod ogromnym malowidłem przedstawiającym wizerunki ajatollahów Chomeiniego i Chameneiego z pozbawionymi uśmiechu twarzami i długimi białymi brodami.

Ale zamiast podzielić się tymi szczegółami, nic mu nie opowiedziałam o swoich pierwszych chwilach w jego kraju. Nic mu nie powiedziałam, a on zdawał się tym nie interesować.



Jego wuj wstał i zapytał, czy mam ochotę dołączyć do nich, gdy będą

wieczorem zwiedzać miasto, a Vahid nie wyglądał ani na zadowolonego, ani rozczarowanego, gdy się zgodziłam. „Iran jest bardzo bezpieczny, bezpieczniejszy niż Ameryka” – powiedział tylko, słysząc, jaką decyzję podjęłam, i wsadził ręce do kieszeni.

Nie wiem, dlaczego zgodziłam się iść z nimi. Może skusiła mnie możliwość rozmowy po tym, jak przez całe popołudnie wypowiedziałam zaledwie kilka zdań. Może dlatego, że wydawało mi się, iż w ich obecności łatwiej przyzwyczaję się do Iranu. Zastanawiałam się, czy Vahid będzie mi współczuł, gdyby uznał, że to smutne, iż jestem tu sama. Nie cierpiałam myśli, że mogłoby mu być przykro z mojego powodu i że w związku z tym poczuł się w obowiązku zająć się mną, jakbym była jakimś dobroczynnym projektem.

Gdy szliśmy w stronę samochodu należącego do jego ojca, wysunął się przede mnie i pokazywał drogę przez szosy, na których panował niewielki ruch, i przez skrzyżowania, po których szła garstka ludzi. Przechodził przez ulice, mając ruch samochodowy po lewej stronie, a mnie po prawej, przez co był dla mnie niczym ochronna tarcza. Samochód jego ojca zaparkowany był w ślepej uliczce, więc nalegał, że najpierw go wycofa i zawróci, a potem wysiadł i zaprosił mnie do środka. Chociaż jego grzeczność była nieco zbyt przesadna, dostosowałam się do niej i usadowiłam pomiędzy marynarkami i pudełkami chusteczek higienicznych rzuconymi na tylne siedzenie.

Prowadząc samochód, mówił po angielsku, żebym nie poczuła się wykluczona. Zwracał się do wuja per „wujku”, co brzmiało niezwykle arystokratycznie. Być może i jemu zdawało się to dziwne i mało precyzyjne w porównaniu do *dayii*, słowa, którego normalnie by użył i dzięki któremu nawet nieznajomi wiedzieliby, że chodzi o brata jego matki. Był dobrym kierowcą, pewnym siebie i wyluzowanym, i nie bałam się nawet wtedy, kiedy na chwilę odrywał wzrok od drogi, by sięgnąć po CD. Nieświadomie ofiarował mi moje pierwsze radosne doznanie, zapoznając mnie ze strukturą Środkowego Wschodu, ruchem ulicznym, który uwielbiałam, gdzie trzy pasy ruchu zmieniały się w pięć, gdzie samochody mknęły obok siebie. Były tak blisko, że prawie mogłam dotknąć mężczyzn, którzy trzymali dłonie na

kierownicach, kobiet siedzących z tyłu z dziećmi w ramionach, ozdób zwisających z poślacanej laminowanej tkaniny zamocowanej w poprzek deski rozdzielczej. Od czasu do czasu wjeżdżał na chodnik, tak że jego boczne lusterka dzieliły milimetry od zadrapania o ściany budynków, a ja czułam ekscytację, widząc czmychających przechodniów. Samochody trąbiły w równych odstępach, używając klaksonów jak sonaru ostrzegającego innych, że się zbliżają.

Zaparkował przed meczetem oświetlonym do wieczornych modłów i usłyszałam dobiegające z głośników ostatnie nuty *azoon*. Mężczyźni i kobiety napływali przez łukowate przejścia w kolorach turkusu i indygo, niosąc w rękach buty, i przechodzili po wyłożonym terakotą wewnętrznym dziedzińcu. Teraz Vahid mówił już w farsi i szli z wujem, obejmując się ramionami. Ja byłam najszcześniejsza, podążając za nimi. Na zmianę odwracali się w moim kierunku, sprawdzając, czy się gdzieś nie zapodziałam, i czekając na mnie, kiedy zatrzymywałam się, by przyjrzeć się ludziom myjącym nogi pod kranami z brązu, poklepującym się po głowach zwilżonymi dłońmi, przygładzającym włosy. Przy wejściu do meczetu mężczyźni wkraczali ostrożnie na wzorzysty chodnik i brali maty modlitewne, podczas gdy kobiety przechodziły na drugą stronę grubej zielonej zasłony. Zasłona falowała wtedy lekko, przytrzymywana tylko miękkimi tkaninami ułożonymi na podłodze.

Byłam przerażona, gdy Vahid zaoferował mi czador podniesiony ze stęchłego stosu leżącego przy wejściu, zachęcając mnie do dołączenia do kobiet w środku. Moja pewność siebie wciąż drżała w posadach po niedawnym przylocie i byłam przekonana, że tylko się ośmieszę.

– Idź – powiedział. – Będą szczęśliwe, widząc cię w środku. – Ale ja pokręciłam głową i się cofnęłam. Wzruszył ramionami, odrzucił szatę na stos i znowu odwrócił się do mnie tyłem.

Kiedy później odwiózł mnie do hotelu, nalegał, aby odprowadzić mnie do samych drzwi. Jego wuj czekał w samochodzie, po raz drugi zostawiając nas samych. Przeszliśmy dwieście jardów, prawie nie odzywając się do siebie, wciąż będąc dla siebie obcy, zatrzymując się, by przepuścić zbliżające się



motorowery – wtedy kazał mi stawać za nim. Z powodów, których nie potrafię wyjaśnić, nie byłam nim zbyt zainteresowana. Jego wyniosłość i powściągliwość kazały mi sądzić, że może być jedynakiem. Byłam zaskoczona, dowiedziawszy się, że ma siostrę, ale nie dziwiło mnie to, że jest jedynym synem. Jego czujność i pewność siebie sprawiały, że czułam się przy nim sfrustrowana – bolało mnie, że nie aprobeuje tego, co opowiedziałam mu o sobie, byłam urażona do tego stopnia, że raz celowo go zignorowałam i poszłam w innym kierunku, chcąc, żeby mnie zawołał z powrotem.

Doszliśmy do ciężkich drewnianych drzwi hotelu i zaskoczyło mnie, że podał mi rękę, a wręcz zszokowało, że napisał swoje imię i adres na kartce wydartej z notesu i wetknął mi ją w dłoń.

– Zadzwoń do mnie jutro o pierwszej po południu – powiedział, nadal się nie uśmiechając.

Patrząc, jak odchodzi po wąskiej ścieżce, nie byłam pewna, czy w ogóle się z nim skontaktuję.

[4] Nawiązanie do filmu o tym tytule.



## Rozdział piąty



Vahid czeka na mnie przy bramie wejściowej, jest nieogolony, włosy ma w nieładzie po nocy. Ubrał się w szarą bluzę z kapturem, która wygląda tak, jakby założył ją w ostatniej chwili, w ręce trzyma okulary przeciwsłoneczne. Za nim wznosi się kompleks apartamentów, gdzie mieszka wraz z rodzicami, kilka budynków z cegły w kolorze piasku, wysokich na jakieś cztery piętra.

Już nie dziwię się, że jego twarz nie wyraża żadnych emocji. Nawet się tego spodziewałam. Kiedy zadzwoniłam z taksówki, pokonana przez jego nieczytelny charakter pisma, swobodny ton głosu mężczyzny sprawił, że przez chwilę pomyślałam, iż źle zrozumiałam jego zaproszenie. Podałam telefon kierowcy, by Vahid mógł wyjaśnić, jak dojechać pod jego dom. Skończywszy, odłożył słuchawkę, nie pytając nawet, czy jeszcze chcę coś dodać. Nie pomyślał, żeby mi powiedzieć, że to dalej niż dwadzieścia minut drogi, lub abym przyjrzała się mijanemu po drodze pięknemu staremu młynowi, w którym wytwarzano hennę. Zamiast tego oparłam głowę o popękana skórę zagłówek i wdychałam gorące, nieświeże powietrze. Wszystko to było jakieś dziwne. Dziwnie jechało się przez miasto pod odległy adres, który miałam zapisany na kartce trzymanej w ręce. „Dziwne – pomyślałam, uchylając okno – że dziś po raz pierwszy obudziłam się w Iranie”.

Gdy zatrzymujemy się przy krawężniku, wtyka głowę przez okno i kłóci się z kierowcą o zapłatę za przejazd. „Za dużo zapłaciłaś” – utyskuje, wręczając mi banknot, który odzyskał w moim imieniu.

Przechodzimy obok strażników, podążam za nim przez duże podwórze

wysadzone zadbanymi krzewami. Kilkoro małych dzieci wlewa wodę do wykopanych naprędce dziur i rzeźbi coś w piaszczystej ziemi trzymanej w niskich cynkowych puszkach. Dwie kobiety w długich, ciemnych czadorach rozmawiają, trzymając w rękach szeleszczące torby z zakupami; ich głębokie, niemal męskie głosy brzmią natarczywie w południowym upale. Vahid robi się bardziej chłopięcy i łagodnieje w ich obecności; gdy wypytuje o ich zdrowie, jego głos podnosi się o kilka oktaw i brzmi inaczej niż kiedykolwiek przy mnie. Okna w mieszkaniach nad naszymi głowami są zaciemnione dzięki samoprzylepnym panelom w kolorze bursztynu, które zwijają się wzdłuż krawędzi. Balkony przykrywają bardziej kolorowe zasłony – w jaskrawe wzory w prążki, skomplikowane sceny jeździeckie – nawleczone na długi szpagat i mocno przymocowane do żelaznych balustrad: ledwie widoczny przewrócony mop, byle jak powieszony sznur do suszenia prania, szelest gumowych kłapek, skrobanie miotły zdradzają ukryte za nimi miniaturowe światy.

Vahid prowadzi mnie do szerokiej wspólnej klatki schodowej, głośno ziewając, gdy pokonujemy cztery piętra, przechodzimy obok plastikowych podkładek zastawionych butami oraz małych drewnianych szafek z porządnie ułożonymi łyżkami do butów i puszkami pasty. Gdy mijamy drzwi prowadzące do poszczególnych mieszkań, myślę o tajemniczych kobietach mieszkających za nimi. Wyobrażam sobie, że odpoczywają, kiedy ich mężowie idą do pracy, leżąc na brązowych aksamitnych sofach z nogami do góry i rozkoszując się tym, że mają tylko dla siebie całą przestrzeń, zwykle zatłoczoną krewnymi i dziećmi. Może oglądają koreańskie opery mydlane i zajadają się lodami, a może malują paznokcie u stóp, plotkując przez telefon i okręcając wokół palca długie, rozpuszczone włosy. Vahid przyciska dzwonek na czwartym piętrze; rozpoznaję ciemnobrązowe buty, które nosił poprzedniego dnia, stojące równo przy ścianie, czubkami na zewnątrz. Zamiast typowego dźwięku dzwonka słyszę melodyjkę *All You Need is Love*. Jest to tak dziwne, że nie potrafię powstrzymać uśmiechu – kompozycja Lennona i McCartneya w tym budynku z nieprzejrzystymi oknami, powściągliwymi mieszkańcami, którzy niewiele wiedzą o sąsiadach,

w państwie, gdzie muzyka z Zachodu jest całkowicie zakazana.

W przeciwieństwie do Vahida jego mama wygląda tak, jakby była na nogach od wielu godzin, i otwiera drzwi w taki sposób, że od razu czuję się tam mile widziana. Sprawia wrażenie zdenerwowanej i podekscytowanej, gdy odsuwa się, żeby nas wpuścić, ma miłą, uśmiechniętą twarz. Długa czarna szata, którą nosi, dotyka jej stóp, dopasowany szal ciasno oplata jej głowę. Cienkie kreski zrobione czarną kredką rozmazały się pod jej oczami, a skromna srebrna biżuteria pobrzękuje w uszach i wokół jej nadgarstków. Prosi Vahida, by przyniósł kryształowy wazon, zbyt ciężki dla tej drobnej kobiety, napełnia go wodą z łyżką cukru i wsadza kwiaty, które jej dałam. Metodycznie odrywa zwiędłe liście i wrzuca je do stojącej obok zlewu plastikowej miski na herbaciane liście. Każę Vahidowi postawić kwiaty na niskim stoliku pośrodku salonu jako znak gościnności i by pokazać, że podoba jej się ten mały prezent, który przyniosłam.

Biorę filiżankę herbaty, którą mi podaje na tacy, i schodzę z dywanu na pokrytą linoleum podłogę. Jej kuchnia jest jasna i szczelnie wypełniona dużymi czerwonymi szafkami oraz blatami pokrytymi koronkowymi serwetkami i zastawionymi sztucznymi kwiatami. Widząc błyszczące drzwiczki piekarnika, domyślam się, że nigdy nie jest używany, poza tym wypełniają go książki, plastikowe fiolki z lekami sprzedawanymi na receptę i paczuszki waty. To ze względu na niegościnny klimat w tej części kraju nie przyrządza się pieczonego kurczaka czy zapiekane. Tego rodzaju potrawy robi się na zewnątrz, nad ogniskiem.

Na krawędzi wyciągu poustawiano zbiór figurek chroniących przed złym spojrzeniem, fragmenty modlitw oraz śmiejącego się porcelanowego kotka z napisem „Pensylwania, USA”. Uważając, żeby niczego nie poprzestawiać, wyjmuję swoje irańskie książki kucharskie i kładę na blacie, a ona pochyla się, by je otworzyć. Przegląda je, przesuwa palcem po kolorowych fotografiach, wymawia pod nosem nazwy przepisów napisanych w języku angielskim i perskim. Vahid nachyla się, żeby pomóc, ale po pięciu minutach oddala się, znudzony i niepotrzebny, jako że porozumiewamy się uniwersalnym językiem jedzenia. Siada przed telewizorem, otwiera laptopa

leżącego pośród rozrzuconych na podłodze stosów książek o inżynierii. Czasami wraca do kuchni, żeby wziąć sobie banana lub pomarańczę z wiklinowego kosza, ale jego wejścia i wyjścia umykają naszej uwadze.

Z początku mama Vahida zakłada, że niczego nie umiem sama zrobić, nawet ugotować jajka, ale zaskakuję ją tym, że dziewczyna z Zachodu jada nie tylko spaghetti i hamburgery. Uważa, że uczy mnie gotowania od podstaw, więc daje mi najprostsze rzeczy do zrobienia. Kiedy szykujemy popołudniowy posiłek zwany *ash e reshteh* – gęstą ziołową kaszę z ciemnymi pszenicznymi kluskami – wiem, że nie może pojąć, iż takie danie uznano by w Londynie za zbyt czasochłonne: gotowanie ciecierzycy na wolnym ogniu zbyt pracochłonne; mycie pęczków kopru, pietruszki i kolendry zbyt kłopotliwe; suszoną miętę z parapetu, którą kruszy się w dłoniach prosto do garnka z rozpuszczonym masłem, za zbyt aromatyczną i intensywną.

Przez dwie godziny, które spędzamy na łamaniu makaronu wprost do garnków z gotującymi się aromatycznymi wywarami i obracaniu samymi palcami ziołowo-pistacjowych omletów, zaczynam rozumieć, że przede wszystkim jest matką. Instynktownie zwalnia, bym mogła przyjrzeć się, jak dodaje wody do suszonych na słońcu bryłek pszenicy, ucierając je ręką w ceramicznej misce. Pochyliła się tuż nade mną, by zobaczyć moją reakcję na *kashk*, przewidując, że skrzywię się, kiedy poczuję słony smak na języku. Bezpiecznie odstawia garnki na kuchenkę, obracając uchwyty do środka, zanim poda mi drewnianą łyżkę, bym podsmażyła cebulę. Łatwo mogę ją sobie wyobrazić, jak uczy małego Vahida wiązać sznurowadła lub czesać włosy, recytować modlitwy albo owijać podręczniki kawałkami gazety. Nieraz nazywa mnie *teflaki*, słowem, które określa ludzi delikatnych i wrażliwych, bo dla niej taka właśnie jestem przez swoją samotność.

W następnych dniach wracam do jej kuchni, gdzie stoimy obok siebie na bosaka. Dostrzegam, że uważa moje zainteresowanie gotowaniem za zbyt duże, nie jest przyzwyczajona do takiego zaangażowania w kuchni, ponieważ zazwyczaj bez zastanowienia wykonuje rutynowe czynności. Są jej częścią w takim samym stopniu jak modlitwy; najpierw przeprosza mnie, następnie przebiera się w niebiesko-białą tunikę, odwraca w stronę Mekki i dotyka

głową podłogi. Wyczuwam w niej taką samą dokładność, jaką rozpoznaję u siebie; mięso, które wyciąga z zamrażarki, to nogi kurczaka idealnie poporcjowane na *fesenjun*, steki rybne z czarną skórą starczą akurat dla czterech osób. Podobnie jak ja lubi jeść ryż z większą ilością soli i nie wstydzi się zachwycać smakiem przygotowanych przez siebie potraw, palcami podnosi z talerza ostatnie kawałki surowej cebuli.

Zaczyna cieszyć się z moich komplementów, choć nie jest przyzwyczajona do pochwał, i uczy mnie słów opisujących smaczne jedzenie; pod koniec każdego posiłku życzy mi „nektaru dla duszy”. Czuję, że rodzi się między nami wzajemna sympatia, ale ona pilnuje się, żeby nigdy nie przekroczyć niewidzialnej linii macierzyństwa. Odwzajemnia dotyk mojej dłoni na ramieniu, pocałunki na pożegnanie, które składam na jej policzkach, ale jej troskliwość w stosunku do mnie pozostaje na płaszczyźnie formalnej i trzyma mnie zawsze na rozsądny dystans.

Szczerze mówiąc, jestem wdzięczna, że szczeni mi swojej przesłodzonej tkliwości, którą obdarza rodzinę: męża, który przy mnie zwraca się do niej „madame”, i syna, którego rozpieszcza jak maleńkie dziecko. Odwracam oczy, kiedy podkłada poduszki pod ich głowy lub zdejmuje im skarpetki i rzuca je na stos ubrań. Raz po obiedzie masowała głowę Vahida, mrucząc coś przy tym i gruchając. On odchylił głowę do tyłu, jakby był do tego przyzwyczajony, a ja poczułam się lekko zniesmaczona. Może wyczuwając, że się przyglądam, Vahid otworzył oczy i, jakby znał moje myśli, natychmiast odtrącił jej rękę; wyglądając na zawstydzonego, wstał ze swojego miejsca na podłodze.

Każdego ranka, gdy przyjeżdżam i wchodzę do ich mieszkania, mam nadzieję, że zaproponują mi zdjęcie szala i okrycia wierzchniego, wiem jednak, że zaproszenie „czuj się swobodnie” musi wyjść z ust mamy Vahida. Myślę, że ta chwila nadejdzie, gdy bardziej się zżyjemy ze sobą, że zasłużę na nią obieraniem fasoli strączkowej, czyszczeniem rzepy, oddzielaniem ziaren pszenicy od małych kamieni. Albo wtedy, gdy stykając się łokciami, będziemy stać obok siebie przy kuchence i czekać, aż olej z orzechów włoskich podniesie się do góry, a garnek z ryżem zacznie znowu pyrkotać po

dotaniu trzech szklanek zimnej wody. Czuję, że twarz mam czerwoną od ciepła wydzielanego przez kuchenkę, moje ubrania robią się wilgotne od potu pod płaszczem, a mój szal przeniknął zapachem smażonego oleju, kiedy wreszcie zdejmuję go pod koniec dnia.

Dopiero gdy Vahid mówi, że jestem zgrzana i zmęczona, ona zwraca uwagę na moją czerwoną twarz. Coś szybko odpowiada ostrym i surowym tonem, po czym idzie do pokoju swojej córki, skąd słychać otwieranie i zamykanie komody. Wraca, niosąc długą bawełnianą koszulę nocną, i ze zdziwieniem na twarzy proponuje mi, żebym ją założyła. Kiedy ją przymierzam, czuję się głupio we wzorze w misie oraz z powiewającymi kokardkami i zastanawiam się, która dwudziestotrzylatka założyłaby coś takiego. Ale z ulgą pozbywam się swojego ciemnego płaszcza i szala, wdzięczna za możliwość odsłonięcia rąk i włosów. Wracając do kuchni, podejrzewam, że tak właśnie rodzice Vahida wyobrażają sobie niezamężne kobiety – ubrane na różowo i żółto, z kokardkami, zamieszkujące świat, do którego nie dotarły jeszcze ponure, wszechogarniające barwy czerni, brązu i szarości.

Pod koniec dnia ona również zdejmuje szal i wydaje się, że cieszy się tym, iż jest mi wygodnie. Zakłada go z powrotem tylko wtedy, gdy robię zdjęcia, a bez tej całej czerni zaczynam dostrzegać, że jest ładna. Nakłada mniej więcej tyle samo makijażu co ja i teraz bez ograniczeń możemy otwarcie się sobie przyglądać. Dziwi się, że mam tyle jasnych pasemek we włosach, a ja zauważam, że zbiera swoje rzadkie, kręcone włosy w kok. Pewnego dnia przyjeżdżam z różem na policzkach, który ona bierze za poparzenia słoneczne, i przez telefon mówi swojej córce, że jestem „cienkoskóra” i nie nadaję się do życia pod ostrym pustynnym słońcem. Opisuje jej, że chodzę po ich domu bez szala, i wydaje się dumna z tego, że stała się tak liberalna. Nie zdaję sobie sprawy – być może nikt sobie tego nie uświadamia – że powoli wkraczam w ich prywatny, zamknięty świat. Tym jednym gestem przeszłam z *zahir* do *batin*, ze świata zewnętrznego do kręgu, w którym Irańczycy otwierają swoje serca. To tam okazują uczucia i dzielą się problemami, są wolni od zasad nakazujących utrzymywać dystans i stwarzać

pozory. Mijają dni, a ja czuję, że należę do nich, wyłapuję swoje imię w wymawianych przez nich zdaniach, moje miejsce w ich domu jest wyraźnie określone. Po pięciu dniach mam wrażenie, że z nimi mieszkam. To dziwne, że mam dokąd pójść.



Każdego wieczoru Vahid zostaje obarczony zadaniem odprowadzenia mnie do hotelu. W przeciwieństwie do porannej podróży, którą odbywam sama, powrót charakteryzują pospieszne przejścia przez zatłoczone *meidans* i przepychanki przy przesiadaniu się z jednej wspólnej taksówki do innej.

Nie lubię z nim jeździć. Vahid jest opryskliwy i niecierpliwy, wciąż przestawia mnie na inną stronę, chcąc własnym ciałem zasłonić przed wieczornym ruchem. Jedyne, co lubię, to że niczego nie stara się przede mną ukryć. Zamiast iść szerokimi bulwarami i zadrzewionymi alejami Jazdu, przechodzimy przez alejki, którymi płynie rynsztok, ogłuszająco hałaśliwe jezdnie oraz dzielnice, w których drzwi domów pozostają niedomknięte. W niektórych kobiety kucają na podłodze i składają pranie do koszy, w innych fryzjerzy mężczy podcinają brody i pomadują włosy. Pod naszymi stopami słońce wysusza kałuże owczej i drobiowej krwi, iskry lecą z ciemnych warsztatów, w których spawa się porzewiały metal.

Inaczej niż w Londynie, gdzie pary wychodzą wieczorem trzymając się za ręce lub obejmując i całując, te nieliczne pary, które zauważam tutaj, są ospałe i zmęczone; większość ma ze sobą jedno lub dwoje małych dzieci.

Ponieważ popołudnia spędzam w kuchni z jego mamą, a on leży na podłodze, nie zwracając na mnie uwagi, Vahid i ja szybko popadamy w rutynę. Niewiele udaje mi się powiedzieć w jego obecności, co jest całkowitym przeciwieństwem tego, w jaki sposób spędzamy cały dzień. On właśnie ukończył dwuletnią służbę wojskową i wydaje się, że woli monologować, niż ze mną rozmawiać; być może rekompensuje sobie te dwa lata, kiedy głównie mu rozkazywano. Pokazuje zabytki, meczety i ruiny, opowiada ze szczegółami ich historie, nie zauważa, że uciekam myślami i nie



przejawiam nimi zainteresowania.

Czasami Vahid wskazuje na mijane na ulicy dziewczyny i pyta mnie, czy uważam, że są piękne. „Irańskie dziewczyny są najpiękniejsze na świecie – stwierdza. – Kiedy się ożenię, wybiorę najpiękniejszą. To bardzo ważne!”. Gdy tak mówi, patrzę na jego powiększające się zakola i łysinę, którą odziedziczył po ojcu.

Pewnego popołudnia mama Vahida i ja kończymy gotowanie wcześniej, więc zamiast zaprowadzić mnie prosto do hotelu, Vahid zabiera mnie do dużego ogrodu. Proponuje, żebyśmy zatrzymali się na herbatę, ale jego słowa nie brzmią jak pytanie, lecz jak rozkaz, w ogóle nie bierze pod uwagę, że mogłabym odmówić. Miejsce, które wybiera, jest otoczone drzewami granatu, są tam ozdobne ścieżki oraz małe mosiężne lampki, które zapala się po zmroku. Mężowie robią zdjęcia swoim żonom i dzieciom przed fontanną i przywołują kelnerów, którzy biegają w tę i z powrotem z herbatą i pomarszczonymi czarnymi daktylami na tacy. Siedzimy na przeciwległych krańcach dużej drewnianej ławki wymoszczonej dywanikami i poduszkami; to miejsce bardziej pasuje do flirtujących par niż do nas, niemających sobie nic do powiedzenia. Rodziny przy stojących w pobliżu stołach odwracają się, by na nas popatrzeć, i szepczą coś, niezbyt dyskretnie zasłaniając się dłońmi.

– Jesteś moją kuzynką – mówi Vahid – gdyby ktoś pytał, dobrze?

– Jasne, OK – przytakuję.

– Siostra twojej mamy i brat mojego ojca są małżeństwem i mieszkają w Stanach.

– W porządku – odpowiadam.

Przynoszą naszą herbatę, a my siedzimy i nie odzywamy się zbyt wiele; zaczynam denerwować się tym, że jestem obserwowana. Rozmowa z nim byłaby na miejscu, żeby sprawiać pozory poufałości, ale czuję się odseparowana od niego w każdy możliwy sposób. Jedyne, co nas łączy, to jego mama i jej kuchnia oraz posiłki, które znikają w jego gardle. Jeśli moja codzienna obecność w jego domu wydaje mu się choć trochę osobliwa, nie daje tego po sobie poznać. Zawsze sprawia wrażenie odległego, zaabsorbowanego jakimiś sprawami; wygląda na to, że potrzeba miesięcy, by

przebić się przez jego skorupę.

Mimo że pomiędzy drewnianymi ławkami jest kilka metrów przestrzeni, rodziny zajmują wolne miejsca po obu naszych stronach i każą nastolatkom przysłuchiwać się naszej rozmowie oraz tłumaczyć te kilka słów, które wymieniamy między sobą. Patrzą na Vahida, spodziewając się, że będzie zirytowany, ale wygląda tak, jakby nie miał nic przeciwko temu, a nawet chyba cieszy się z ich uwagi. Zastanawiam się, czy przyprowadził mnie tutaj po to, żeby się przechwalać. Dwie dziewczyny w wieku studenckim zbliżają się nieśmiało i zadają mi pytania, i chociaż nasza rozmowa dotyczy spraw nieistotnych, jestem zadowolona z tej odskoczni. Kiedy odchodzą, Vahid miesza cukier w trzeciej szklance herbaty, siedząc z jedną nogą podwiniętą pod siebie; jego mina zwiastuje coś niedobrego.

Wreszcie odwraca się do mnie.

– Jesteś dziewicą?

– Nie, oczywiście, że nie! – odpowiadam bez namysłu. Bardziej wstrząsa mną jego sugestia, która wydaje się całkowicie absurdalna, niż bezceremonialne wkroczenie w moją strefę prywatną. Wiem, że powinnam się złościć, może nawet obrazić na niego za to pytanie, ale zaskoczył mnie ten nagły przebłysk człowieczeństwa. Vahid wpatruje się w swoje dłonie złożone na kolanach, wygląda przy tym dziwnie bezbrinnie i chłopięco. Domyślam się, że rzadko rozmawia z dziewczynami, szczególnie o sprawach tak intymnych jak seks.

Mając świadomość zgromadzonych wokół nas rodzin, zniżam głos do szeptu.

– Coś musiałyby pójść bardzo źle w moim życiu, żebym wciąż była dziewicą.

– Ja zachowam dziewictwo aż do ślubu – odpowiada sztywno, pyszałkowato wypinając pierś.

– Serio? A kiedy zamierzasz się ożenić?

– Nie wcześniej aż skończę co najmniej trzydzieści pięć lat. Dziewczyny odciągają mężczyzn od ich planów, więc nie chcę się żenić zbyt wcześnie.

Próbuję sobie wyobrazić Vahida i jego przyszłą żonę, parę sporo po

trzydziestce, niezdarnie zabierającą się do rzeczy podczas nocy poślubnej. Nie jestem pewna, co trudniej sobie wyobrazić: to, że Vahid do trzydziestego piątego roku życia zostanie prawiczkim, czy to, że zwiąże się emocjonalnie z jakąś dziewczyną tak, by chciała się z nim przespać.

– A jeśli jutro umrzesz? – nie ustępuję. – Nie będziesz miał wrażeń, że coś ci umknęło w życiu?

Vahid patrzy na mnie wyraźnie zszokowany, ale nic nie mówi. Odczuwam dziwną satysfakcję z tego, że wytrąciłam go z równowagi.

Wpatruje się przed siebie, marszczy brwi i znowu zapada między nami milczenie. Sączymy herbatę, nie odzywając się do siebie, słońce schodzi niżej, aż wreszcie on odwraca się i gwałtownym ruchem podnosi swoją marynarkę.



Następnego dnia budzę się i nie mam ochoty tam wracać, leżę więc dłużej w łóżku po raz pierwszy, odkąd tu przyjechałam. Zamiast gnać na dziedziniec, żeby zjeść śniadanie składające się z ciepłego pieczywa, pokrojonych brzoskwiń i dzemu wiśniowego, zastanawiam się, czy nie wymyślić jakiegoś usprawiedliwienia i nie zmienić planów. „To powinno być dość łatwe – mówię sobie – źle się czuję, jestem chora, boli mnie brzuch”. Są tu miejsca, które mogłabym zwiedzić, zabytki, o których czytałam. Kto przyjeżdża do miasta i widzi jedynie wnętrze kuchni? Kiedy wreszcie dzwoni telefon, prawie go ignoruję, wiedząc, że jest już sporo po jedenastej i że o tej porze zwykle trzymam w ręce plastikowy durszlak lub nóż wyjęty z szuflady. Głos Vahida brzmi tylko odrobinę niezręcznie. O której przyjadę? Kiedy będę na miejscu?

Godzinę później przyciskam dzwonek, ale nie czuję żadnych zapachów w korytarzu. Staram się ukryć rozczarowanie, kiedy Vahid otwiera drzwi i widzę, że jest sam w domu.

– Moja mama w środy naucza religijnego języka arabskiego. Nie ma rodziców, ale zaproponowali, żebym pokazał ci miasto.

Przez wzgląd na jego matkę posłusznie schodzę za nim po schodach, idę przez otwarty dziedziniec i zostawiam za sobą bramę wejściową. Vahid ani myśli mi powiedzieć, dokąd idziemy, ale już przywykłam do tego, że się nigdy nie tłumaczy. Wiem, że powinnam iść za nim bez pytania. Jego rodzina wzięła za mnie odpowiedzialność i jestem pod jego opieką. Chociaż jest to krępujące, przestałam czuć z tego powodu urazę, bo wiem, że za parę dni wyjadę z Jazdu i znowu będę mogła chodzić tam, gdzie zechcę. Pozwalam sobie iść po jego prawej stronie, gdy przekraczamy jezdnie, stawać za jego podniesioną ręką oznaczającą „czekaj”, zanim przejdę na drugą stronę.

Idziemy po pylistej ścieżce w kierunku dwóch skalistych wzgórz, a ja odczuwam, że między nami nadal wisi niesmak z powodu wczorajszej niezręcznej rozmowy. Prawie się nie odzywamy maszerując, nasze buty podnoszą obłoki pyłu. Postanawiam udawać, że to się nigdy nie zdarzyło, i mam nadzieję, że i on tak robi.

– Nie mogłem zasnąć przez całą noc – nieoczekiwane wybuchy. – Bez przerwy myślałem o tym, co mi powiedziałaś. Cały czas krążyło mi to po głowie.

Nie mam zamiaru go pocieszać czy podnosić na duchu, więc odwracam głowę i udaję, że tego nie słyszałam.

Docieramy do podnóża dwóch wzgórz i wreszcie wiem, gdzie jesteśmy. To stary zaratusztriański *dakhmeh*, o którym czytałam, budowle wzniesione na szczycie góry i znane jako Wieże Milczenia. Do końca lat sześćdziesiątych zaratusztrianie wykorzystywali je do wystawiania ciał zmarłych.

Vahid zaczyna opowiadać mi historię tych miejsc oraz o zaratusztrianach, którzy nie uznawali pochówków. Zamiast tego kładli nagie ciała zmarłych na nieosłoniętych szczytach wież – na jednej ciała mężczyzn, na drugiej kobiet – by rozszarpały je sępy. Ciała zostawiano w pozycji siedzącej i był przy nich kapłan obserwujący, które oko ptaki wydziobały w pierwszej kolejności; jeśli lewe, oznaczało to, że zmarły nie zazna spokoju po śmierci.

Zaczynamy wspinać się po skałach i pylistej ścieżce na szczyt wieży dla mężczyzn. Wzgórza wyglądają na opustoszałe, zniszczone przez dekady zaniedbań, nie ma tutaj niczego, co sugerowałoby, jak ważną rolę odgrywały

w przeszłości. Teraz ich jedyna funkcja sprowadza się do tego, że służą jako punkty widokowe, przyjemne miejsce dla rodzin, które oglądają rozciągające się poniżej przedmieścia w odcieniach brązu i pola uprawne. Gdy jesteśmy wyżej, cieszę się bryzą, ciepłymi promieniami słońca, a moja radość zmacona jest jedynie przez eleganckie skórzane buty. Czasami musimy obchodzić głązy leżące na szlaku lub ścieżka robi się zbyt stroma, więc Vahid podaje mi rękę. Chwytam ją, choć jej nie potrzebuję, dziwiąc się, że ma takie chłodne dłonie. Brakuje mu tchu dużo wcześniej, niż ja zaczynam sapać.

Mając nadzieję, że pomogę mu się uwolnić od obowiązku otaczania mnie opieką, postanawiam opowiedzieć mu o swoim dzieciństwie. „Wspinałam się na drzewa na bosaka – mówię mu. – Byłam chłopczycą, zanim skończyłam trzynaście lat”.

– Chłopczycą?

– Dziewczynką, która zachowuje się jak chłopiec – wyjaśniam. – Łapałam pająki do słoika i wyrывałam skrzydełka owadom. Raz wdałam się w bójkę z największym prześladowcą w szkole. Każdego dnia wracałam ubłocona i posiniaczona. Zwykłam chować się przed mamą, żeby się nie kąpać.

Vahid śmieje się głośno, co wydaje się niesłychanie przyjemne, jego nieogolona twarz staje się łagodniejsza i mniej gburowata. Po jego minie wnioskuję, że chce, bym mówiła dalej, zwalnia i patrzy na mnie.

Opowiadam mu o nizinnym krajobrazie wokół miasta, w którym dorastałam. Niewybrukowanych drogach, najbliższym sąsiedzie oddalonym o dziesięć minut jazdy rowerem. Zdawałoby się, że byłśmy samotne, nie mając prawie żadnych dzieci w okolicy, ale nasz akr ziemi był niczym cały kosmos. Codziennie przebywałam na dworze od świtu do zmierzchu i wracałam do domu tylko wtedy, gdy mama wołała na jedzenie. Opowiadam mu o swojej ulubionej rozrywce z dzieciństwa, czyli wyciąganiu z pobliskiego kanału raków, które następnie przynosiłam tacie w plastikowym wiaderku. Dopiero wiele lat później dowiedziałam się, że w tajemnicy przede mną wyrzucał je do toalety, nie dotrzymując danej mi obietnicy, że zje je na kolację. Opisuję straszliwie krótkie fryzury, jakie wymuszała na mnie mama, zmęczona rozczesywaniem kołtunów w moich

włosach. W rezultacie przez lata pytano mnie, czy jestem dziewczynką, czy chłopcem. Patrzy na mnie zaskoczony, jego brązowe oczy wyrażają współczucie, kiedy przyznaję, że do tej pory czuję przyjemność, kiedy ludzie zwracają się do mnie „ona” lub „jej” i nie mają żadnych wątpliwości, że jestem kobietą.

Vahid przygląda mi się, jakby chciał sobie wyobrazić mnie dwadzieścia lat temu, dziewczynkę wyglądającą jak chłopiec, z brudnymi kolanami i kolekcją owadów. Przystaje, jakby nie miał pewności, czy ma się odezwać, widać, że jest zmęczony.

– Studiowałem na uniwersytecie nauk ścisłych w Isfahanie – mówi z zadumą, jakby przypominał sobie ostatni raz, kiedy naprawdę był szczęśliwy. – To jeden z najślawniejszych uniwersytetów w kraju. Mieszkałem w akademiku, było nas czterech w pokoju. Byłem kapitanem naszej drużyny piłkarskiej. Jeździliśmy na zawody na uczelnie w całym Iranie, a ja nosiłem czerwoną opaskę na koszulce. Czasami kibice lokalnej drużyny byli tak źli, że rzucali w nas butelkami i puszkami, kiedy wchodziliśmy na boisko. – Podwija rękaw i z dumą pokazuje mi bliznę po tym, gdy nadlatujący odłamek szkła wbił mu się głęboko w łokieć. – Wróciłem do Jazdu, bo mama zachorowała. Byłem szczęśliwy, mieszkając poza domem. Miała raka i poszła do szpitala na kurację, więc przenieśliem się na miejscowy uniwersytet, żeby pomagać siostrze w opiece nad ojcem.

Opisuje odwiedzinę u mamy w szpitalu, jak robiła się coraz słabsza i jak wypadały jej kępkami włosy po wyczerpujących sesjach chemioterapii. Nie zapewniano tam żadnych posiłków, więc pacjenci byli karmieni przez rodziny, ale jego mama nie mogła utrzymać w żołądku potrawy z ryżu i tuńczyka, którą jego siostra i on próbowali gotować. Straciła prawie dwadzieścia funtów w ciągu pięciu tygodni, bo jadła niewiele więcej niż suche herbatniki i piła słabą herbatę. Kiedy wróciła do domu, była zbyt słaba, by cokolwiek robić, więc jedynie leżała. Zrobili dla niej posłanie na sofie. Czytała wtedy tylko Koran. Vahid opowiada, jak czasem asystował jej przy jedzeniu i myciu. Opisuje wstyd, jaki czuł, pomagając jej się rozebrać, widząc ją chudziutką i drżącą w samej bieliźnie. Rok później była już

całkiem zdrowa, ale dla niego wciąż jest krucha, wciąż musi być blisko niej. To dlatego po wojsku znowu wprowadził się do domu, zamiast ubiegać się o pracę w Teheranie. Jej choroba jakby złapała go w pułapkę, sprawiła, że poczuwał się do winy i nie wyobrażał sobie życia z dala od niej.

Szlak przechodzi w bardziej płaską, dobrze udeptaną ścieżkę i uświadamiamy sobie, że dotarliśmy na szczyt wzgórza. Wierzchołek jest opustoszały. Kamienny krąg otaczający zagłębienie, gdzie kiedyś kładziono ciała, zaczął się z jednej strony zawalać na skutek zaniedbania. Uważnie stawiamy kroki, gdy przechodzimy obok, jakby starając się nie naruszyć żadnych pozostałości makabrycznej historii. Siadamy na skraju muru wieży, a łagodny wiatr suszy pot na naszych twarzach. Dookoła rozciąga się nijaki, nawet nudny widok, ale ja uważam, że połączenie owiec, sękatych krzewów i wielopiętrowych apartamentowców wygląda pięknie. Robię kilka zdjęć tego krajobrazu, ale nie fotografuję Vahida, zamiast niego uwieczniam ulice, na których kiedyś uczył się jeździć na rowerze, prowadzić samochód, miasto, w którym, jak sądzę, spędzi resztę swojego życia.

– Mogę zadać ci pytanie? – mówi nieśmiało, jakby zastanawiał się nad tym od wielu godzin. – Jak uda ci się przetrwać cały miesiąc w Iranie bez seksu? Nie chcesz spróbować seksu z kimś podczas tego pobytu?

Po raz pierwszy jestem świadoma, że moja odpowiedź zaważy na jego sposobie myślenia na lata. Wiem, że czerpie informacje z telewizji satelitarnej i hollywoodzkich filmów, których bohaterowie lądują w łóżku zaraz po tym, jak się poznają.

Spokojnie wyjaśniam, że seks to nic takiego, że nie mam chłopaka od ponad dziewięciu miesięcy. Że nie ma żadnych reguł, nie ma sztywnych zasad i przewidywalności. „Seks często wybiera ciebie” – mówię mu, chociaż nie jestem pewna, co tak naprawdę mam na myśli.

Nie mówię mu tego, co odkryłam, gdy zrobiłam się starsza: że jeśli chodzi o seks, wybieram rozwiązania asekuracyjne i stawiam granice: szybki pocałunek w policzek, bieg po schodach, by złapać taksówkę, brak oczekiwań czy pewności po każdej ze stron. Oszczędzam mu smutnej konstatacji, że pożądanie szybko się wyczerpuje, gesty stają się puste,

pierwotny zapach często wygasa. Po prostu mówię mu, że tego typu doświadczenia są rzeczywiście nagminne, ale również wynikają z największej samotności. Wiem, że nie rozumie tego, co mówię, nie potrafi sobie tego wyobrazić. Już nie mówię, ale myślę na głos. On czeka, aż powiem coś więcej, ale właśnie skończyłam, nieco zawstydzona, że powiedziałam zbyt dużo, że odpowiedziałam na pytania, których mi nie zadał.

– A ty? – pytam.

– Co ja?

– Zrobiłeś to kiedyś?

Poważnie i patrzy w dół.

– Nie. Raz pocałowałem dziewczynę na przyjęciu, ale jej nie kochałem.

Mówi o dziewczynach, które czasami widuje w herbaciarniach i parkach, opisuje niewidzialną barierę, która uniemożliwia mu zapoznanie się z nimi. Opowiada o tym, że chce móc poznać jakąś dziewczynę i porozmawiać z nią, zanim przejdzie przez wszystkie niezbędne etapy rozmowy o jej rodzinie i reputacji. Raz spróbował, wyznaje, podejść do dziewczyny, którą spotykał w bibliotece. Dała mu swój numer telefonu i kilka razy rozmawiali. Umawiali się na spotkania w bibliotece i siadali blisko siebie, raz nawet byli tak odważni, że wyszli na kawę. Ale zaczęła się bać i uznała jego zaloty za zbyt odważne, więc udała się do konsultanta religijnego, który kazał jej zerwać wszelkie kontakty.



Do hotelu idziemy inną drogą i kiedy mijamy meczet, Vahid znowu zaczyna mówić jak przewodnik turystyczny. Ale po raz pierwszy czuję się pewnie, nabijając się z niego i wywracając oczami, a on żartobliwie uderza mnie w ramię. Dochodzimy do rzeźnika, gdzie na oknie wystawowym stoją na tacy owcze łby, więc zatrzymuję się, żeby popatrzeć.

– Służą do przyrządzania *kalleh pacheh* – mówi, dostrzegając moje zainteresowanie. – To zupa z owczych łbów i nóg, którą jadamy wcześniej



rano. Zawiera dużo tłuszczu, więc jemy ją przed wyjściem na długą wędrówkę w góry. Jest naprawdę pyszna.

Od razu jestem podekscytowana perspektywą skosztowania czegoś takiego i sfrustrowana trudnościami. Wiem, że będą ją podawali w jakiejś przepastnej, wypełnionej mężczyznami speluncie, którą omijają grzeczne kobiety. Nawet jako cudzoziemka nie mam co zastanawiać się nad pójściem tam bez towarzystwa. Vahid patrzy na mnie, jest zakłopotany, po czym uśmiecha się, gdy zaczyna wreszcie coś rozumieć.

– Już wiem! – krzyczy. – Nie interesują cię zabytki ani budowle historyczne! Ciebie interesuje tylko jedzenie! Przyjechałaś do Iranu dla jedzenia!

– Tak! – mówię z coraz większą ekscytacją.

– Aha! Więc zaplanuję resztę twojego pobytu w Jazdzie. Przeżyjemy kulinarną przygodę!

Nie wierzę własnym uszom, to zbyt piękne, by było możliwe.

Zadowolony z tego, że będzie moim kulinarnym ambasadorem, Vahid opowiada o planach na kolejny dzień.

– Musimy wcześniej wstać – mówi – o piątej rano, żeby zjeść *kalleh pacheh*, a potem poproszę w cukierni, żeby pokazali ci, jak robią tę *baklawę*, która ci smakowała. Wspominałaś, że chcesz zobaczyć rzeźnię sprzedającą mięso wielbłąda.

Pisze dokładną instrukcję w farsi i podaje mi kartkę.

– Spotkamy się jutro o piątej. Daj to taksówkarzowi, żeby wiedział, gdzie po mnie przyjechać, abyśmy mogli zacząć.

Biorę kartkę jak rozentuzjasmowana uczennica i dalej idziemy w stronę hotelu.

Wchodzimy na bazar z niskim stropem, gdzie gwiazdy prześwitują przez mleczne szklane panele w suficie, przez co wszystko jest skąpane w ciepłej bursztynowej poświacie. Ciasne sklepiki sprzedające tkaniny, metalowe druty i inne śmieci są teraz ukryte za ciężkimi metalowymi wrotami; sklepione kamienne pasáže opustoszały z gwaru kupujących i nawoływań straganiarzy. Gdyby nie echo naszych kroków, bazar byłby zupełnie cichy. Nasze cienie

wiją się po murach i rozplývają po wybrukowanej podłodze.

– Chcesz, żebym ci zaśpiewał? – pyta niespodziewanie.

– Umiesz śpiewać?

– Tak, przyjaciele mówią, że mam dobry głos.

Propozycja jest tak dziwaczna, że chce mi się śmiać, ale jednocześnie zbyt kusząca i niezwykła, bym mogła odmówić. Patrzę na długi, rozciągnięty cień mojego szala na chodniku, podnoszący się i opadający, gdy kiwam głową.

Vahid zaczyna śpiewać jakąś piosenkę w farsi, jedną z tych starych i głośnych, które można usłyszeć późnym wieczorem w barach z kebabem, gdzie mężczyźni śpiewają o oczach kobiet, słowikach, bezsenności i tęsknocie.

Po raz pierwszy mężczyzna śpiewa dla mnie, co sprawia, że się rumienię. Jest w tym coś z subtelnego romantyzmu, ale nie czuję się skrępowana, mamy wrażenie, że robimy coś odważnego.

Docieramy do ciężkich drewnianych drzwi mojego hotelu i zatrzymujemy się, nasze stopy przestępują po zakurzonej kamiennej podłodze.

– Podobała ci się moja piosenka? – pyta Vahid.

– Tak, była śliczna.

– To cześć – mówi nagle, odwracając się do mnie tyłem. – Widzimy się jutro.



## Rozdział szósty



Mam wciąż wilgotne włosy pod chustą, kiedy otwieram skrzypiące drzwi mojego pokoju na poddaszu. Staram się ograniczyć skrzypienie do minimum, gdy przesuwam mosiężną zasuwkę. Wyobrażam sobie, że właśnie tutaj spały służące, budzone o różnych porach, by przynieść zimne napoje czy drwa do kominka. Ukośny sufit sprawia, że muszę się schylać za każdym razem, gdy wchodzę, i mogę stać prosto jedynie obok dwóch pojedynczych łóżek, na których sypiam. To prawdopodobnie najgorszy pokój w hotelu, ale mnie się podoba dzięki temu, że jest odizolowany i nikt się tu nie kręci. To jedyny taki pokój. Sama zamiatam podłogę i ścielę łóżko każdego ranka. Nikt nie przychodzi sprawdzać, jak się miewam.

Żaden z pozostałych gości nie wie chyba, że tu jest pokój i że można stąd wejść na dach. W nocy jest cicho i nikt mi nie przeszkadza; to kontrast z hałasem i troską, jaką mnie otaczają w mieszkaniu rodziców Vahida, oraz ciągłą krzątanią, podczas której nic nie uchodzi ich uwadze. Nawet pojawienie się nowych piegów na moim nosie sprawia, że mama Vahida odłamuje kawałek aloesu. Dlatego kiedy wracam na noc do pokoju, instynkt mi podpowiada, żebym jak najszybciej zrzuciła wszystkie warstwy ubrań, została w samej bieliźnie i rozciągnęła się leniwie na łóżku. Po całym dniu sztywnego siedzenia na podłodze, pilnowania dekoltu mojej koszulki, by się nie przesunął i nie odsłonił więcej niż obojczyk, luksusem jest dla mnie dotykanie pościeli nagimi nogami oraz cienką, spłowiałą halką okrywającą moje piersi i brzuch.

Na paluszkach schodzę po dwóch kondygnacjach schodów, uważając, żeby

nie ocierać się o ścianę, która pozostawia kredowe ślady na moim granatowym płaszczu. Przemykam obok uśpionej jeszcze hotelowej kuchni, gdzie szumią dwie duże lodówki, a światło świetlówki rzuca cienie na zastawione na noc lepy na muchy.

Przez to, że wymykam się w tajemnicy z miejsca, gdzie moje wejścia i wyjścia są obserwowane, odczuwam coś nowego i ekscytującego. Do tej pory recepcjoniści zawsze kiwali głową z aprobatą, kiedy wracałam wieczorem i odbierałam swój klucz. Widziałam, że odhaczali mnie na kartce papieru leżącej obok telefonu, z ulgą przyjmując, że nie stwarzam żadnych problemów.

Zastanawiam się, co by sobie pomyśleli o tym, że wstałam o czwartej rano i wybrałam numer Vahida, odkładając słuchawkę po pierwszym sygnale. I że czekałam, aż on oddzwoni lub puści mi sygnał, żeby potwierdzić, że się obudził i że wszystko idzie zgodnie z planem.

Kładąc klucz na blacie recepcji, wyobrażam go sobie, jak kilka kilometrów stąd w ciemności przechodzi nad swoimi rodzicami, idąc do kuchni, by wypić szklankę wody i mokrą dłońią przygładzić włosy. Wyobrażam sobie jego mamę, jak porusza się przez sen, gdy on płucze usta i wypluwa pastę do zlewu. Trzymając przy piersi kartkę od Vahida, ze stuknięciem przesuwam ciężką drewnianą zasuwę strzegącą wejścia do hotelu, by ukradkiem wyjść na chodne poranne powietrze.

Niebo jest nadal zupełnie czarne. Po raz pierwszy od mojego przyjazdu ulice są prawie puste. Jedyne światło widać w piekarni, gdzie mężczyźni w gumowych butach i fartuchach wyjmują z pieców gorące, owalne, posypane sezamem *barbari*, owijają je w papier i sprzedają garstce ludzi czekających na zewnątrz. Odwracam się i widzę, że boczne uliczki wyglądają zachęcająco, są spokojniejsze niż za dnia, gdy chodzi nimi mnóstwo ludzi. Rozkoszuję się zimną wilgocią, która emanuje z kamiennych murów, ocieraniem się mojego płaszczu o dzinsy i poczuciem, że zmierzam do ważnego celu.

Wchodzę na jasno oświetloną główną ulicę i prawie natychmiast zatrzymuje się koło mnie samochód, trąbiąc klaksonem. Kierowca wygląda

na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Obok niego, na siedzeniu pasażera, leży szara marynarka i torba, a termos spoczywa obok dźwigni zmiany biegów. Podejrzewam, że pożyczył samochód od swoich rodziców, żeby zarobić równowartość dziesięciu czy piętnastu dolarów podczas tych kilku godzin, jakie zostały mu do pójścia do pracy w fabryce lub biurze. Wsiadam i podaję mu karteczkę.

– Uhm – mówi, patrząc na nią, i rusza.

Nie mam pojęcia, czy to, co mu pokazałam, jest tylko adresem, czy może pierwsze zdanie znaczy coś innego, na przykład: „Proszę zawieźć tę dziewczynę do...”. Mina kierowcy nic nie zdradza. Jednak czuję się dziwnie spokojna, jakbym odgrywała rolę w scenariuszu, który został już napisany, przerzucana pomiędzy miejscami, których nie umiem znaleźć na mapie, i prowadzona jedynie kartką papieru.

Vahid czeka na mnie, tak jak obiecał, przytakuje z uznaniem, że jego instrukcje zostały wypełnione co do joty. Mówi: „Cześć, Jenny”, ale poza tym niewiele się do mnie odzywa, rozmawia głównie z kierowcą, tłumaczy mu, dokąd ma dalej jechać. Siada z przodu i wygląda na zadowolonego, że ma wszystko pod kontrolą. Znowu zatrzymujemy się przy ruchliwym rondzie, gdzie taksówki i minibusy konkurują ze sobą o pasażerów. Dźwięk ich klaksonów jest ożywczy, to hałas powszedniego dnia budzącego się do życia. Wsiadam z samochodu i schodzę za Vahidem po betonowych schodach, które prowadzą do podziemnego przejścia.

– Tędy – mówi. – Już stąd czuć zupę.

Przechodzimy pod lampami jarzeniowymi, wdycham stęchły zapach nieświeżego powietrza wokół nas, biorąc go za dobry znak. Chociaż przede wszystkim sprzedaje się tutaj papierosy przechodniom idącym na drugą stronę ruchliwego ronda, ja instynktownie czuję, że to przejście podziemne jest świetne. Podłoga jest zaśmiecona papierkami po bananowej gumie do żucia. Z rdzewiejących rur nad naszymi głowami sporadycznie kapie woda. Vahid przyspiesza kroku, jakby wiedział, o czym myślę. Widzę, że nie czuje najmniejszego zażenowania faktem, że mnie tu przyprowadził.

– To działa w ten sposób – wyjaśnia – że zamawiamy zupę i następnie

wybieramy, które części zwierzęcia chcemy zjeść, a on nałoży je nam na oddzielny talerz. Możemy wybrać mózg, ozór, gicz lub gałki oczne.

– Gałki oczne! – mówię na głos.

Zatrzymuje się przed dużą witryną, z której powoli skapują krople skondensowanej pary; wygląda tak, jakby o czymś zapomniał.

– Jesteś pewna, że chcesz wejść? – waha się. – Mama czasem tu przychodzi, żeby kupić zupę do domu, ale nigdy nie siada i nie je w środku.

Rozumiem, że potrzebuje otuchy zarówno dla siebie, jak i dla mnie, sądząc, że mogę czuć się wyobcowana i narażona na ciekawskie spojrzenia. W odpowiedzi naciągam niżej szal i chowam pod nim luźne kosmyki włosów, by zachować skromność, bo wiem, że jeśli moja obecność kogoś obrazi, to Vahid będzie musiał się tłumaczyć.

W *tabaakhi* stoją zaledwie cztery stoliki. Przy jednym siedzi grupa mężczyzn w wykrochmalonych koszulach i ze sztywnymi skórzanymi torbami spoczywającymi w równym rzędzie u ich stóp. Z wetkniętymi za kołnierzyki chusteczkami higienicznymi pochylają się nad parującymi metalowymi miskami, by się nie pochłapać. Pomiedzy kolejnymi łykami ocierają pot z czoł pogniecionymi chusteczkami, ściskanymi kurczowo w dłoniach.

Z początku jestem niemal rozczarowana, spodziewałam się bowiem towarzystwa bardziej niechlujnego i nieokrzesanego. Podłoga jest czysto zamieciona, leżą na niej jedynie wypluwane kości i kawałki chrząstek. Zużyte papierowe serwetki zostały zgniecione i wyrzucone do kosza. Mułła w turbanie zawodzi poranne modlitwy z telewizora zawieszzonego na ścianie, przeciąga wszystkie samogłoski i przesadnie akcentuje rytm. Jeden z mężczyzn wstaje z krzesła i przełącza kanał, zatrzymując się na meczu piłki nożnej między Argentyną a Brazylią. Mężczyźni dyskretnie używają drewnianych wykałaczek, osłaniając usta dłońmi, mają nieskazitelne manieri, które mnie trochę niepokoją. „Może właśnie dzięki tym manierom mogę tu zostać” – myślę sobie. Reakcją na moją obecność są tylko umykające spojrzenia i przesuwanie krzesel.

Wchodzi białobrody mężczyzna i przerywa ciszę, mamrocząc pod nosem

pochwałę Allaha jako pozdrowienie skierowane do wszystkich i do nikogo. Jego długa, obszerna koszula i spodnie wyglądają jak piżama, a niezapięte klamry sandałów podzwaniają z każdym krokiem. Kładzie na ladzie przyniesiony z domu poobijany garnuszek z pokrywką, wyjaśniając, że jego żona jest w ciąży z piątym dzieckiem i nie jest w stanie przygotować porannego posiłku bez wymiotowania. „Ya ali” – mamrocze przez wydatne, suche usta, prosząc Boga, by dał mu siłę. Gdy nalewają mu zupę z kawałkami tańszego mięsa z dna, zauważa nas i odwraca się, zagadując o coś Vahida. Moje towarzystwo każe mu zakładać, że Vahid zamierza wyjechać za granicę, i mówi, że szkoda, iż Iran traci młodych ludzi. „Na Zachodzie nie jest tak samo jak tutaj – mówi – nie dbają o siebie nawzajem jak my w naszym kraju. Mógłbyś tam umrzeć na ulicy i nikt by nie zauważył” – ostrzega, kręcąc głową ze smutkiem. Vahid przytakuje z szacunkiem, jakby rozmawiał z dziadkiem, któremu nie chce sprawiać przykrości, a jednocześnie myślał, że jest strasznie staroświecki. Następnie odwraca się, szybko kończąc rozmowę, zamawia dwie miski zupy oraz talerz ozorków i mózdzków dla nas obojga.

Nastolatek za ladą zaczyna coś mówić, biorąc dwie cynkowe miski z półki, jakby nasze pojawienie się tutaj było czymś zwyczajnym. Zauważa moje zainteresowanie, to, że pochylam się, by zajrzeć za ladę, i z zadowoleniem zaprasza mnie, bym weszła na zaplecze i zobaczyła, gdzie pracuje. Pokazuje mi gazowy palnik, którego używa, by opalić futro z owczych łbów, i ogromny garnek, w którym je gotuje. Wskazuje na rzeźnicki topór, którym rozłupuje nogi na dwie części – to sztuczka, której nauczył go poprzedni właściciel – dzięki temu wypływający szpik i żelatyna i zagęszczają bulion. Pomimo że na jego białej koszuli są plamy tłuszczu i ma poparzoną skórę na palcach od oddzielania gorącego mięsa od kości, jestem zaskoczona, dowiadując się, że ten młody chłopak jest właścicielem tego lokalu. Wygląda, jakby był w wieku chuliganów ze szkoły średniej, którzy zbierają się w pobliżu mojej londyńskiej stacji metra, ubrani w złote łańcuchy i dzinsy opadające tak nisko, że widzę ich bieliznę. Pokazuje brodą na małe łóżko wepchnięte pod ladę, na którym sypia od północy do czwartej rano, podczas

gdy łyby gotują się na wolnym ogniu z cebulą i kurkumą. Raz zapał, gdy przygotowywał zupę na wesele, i gdy się obudził, zobaczył, że została z niej jedynie ciemna, trzęsąca się galareta. Oblizał się, mówiąc, że nie mógł się powstrzymać i rozsmarował kilka łyżek na chlebie, zanim rozcieńczył ją paroma czajnikami wody.

Za kontuarem stoi duże wiadro, znad którego unosi się para, są w nim czaszki i kości nóg obrane do czysta z mięsa i chrząstek. Vahid niecierpliwie ciągnie mnie za rękaw, chcąc, żebym przyłączyła się do niego. „Resztki kości są zawsze trzymane oddzielnie – mówi. – Ktoś potem po nie przyjdzie. Mielą je i używają jako nawozu”.

– Powiedz jej, że to ze względu na sankcje – mówi chłopak do Vahida – że przed rewolucją mogliśmy wszystko importować.

Jesteśmy za młodzi, żeby wiedzieć cokolwiek o życiu przed 1979 rokiem, ale już zdążyłam się zorientować, że powszechnie wspomina się tutaj „czasy szacha”, kiedy był łatwy dostęp do zagranicznych produktów. Widziałam zdjęcia z tamtych lat, kiedy Teheran można było pomylić z Londynem czy Nowym Jorkiem, kiedy kobiety nosiły minispódniczki, a zachodnie towary leżały na sklepowych półkach. Wówczas noszenie krawata nie było jeszcze nielegalne, a młodzi absolwenci pracowali w przeszklonych kompleksach biurowych europejskich firm w rozrastającym się dystrykcie Abbas Abad. Turyści popijali martini w holach Intercontinentalu i Hiltona, chodzili do nocnych klubów, by posłuchać Ebi and Googoosh, którzy potem wylądowali na zesłaniu. Bogaci Irańczycy bez problemu latali na zakupy do Paryża lub Nowego Jorku, gdzie odwiedzali swoje dzieci robiące tam doktoraty. Teraz muszą płacić setki dolarów, żeby dostać wizy, trwa to wiele miesięcy i wiąże się z dostarczeniem stosów dokumentów.

Nadmiernie gestykulując, chłopiec podaje Vahidowi poszczerbiony owalny półmisek pełen mięsa, a ten w podziękowaniu kładzie rękę na sercu. Domyślam się, że na znak sympatii porcja została podwojona.

Zajmujemy miejsca w rogu, a inny chłopiec kładzie na stole jakąś paczkę owiniętą w gazetowy papier. Vahid otwiera ją i okazuje się, że jest to jeszcze ciepły chleb, więc podaje chłopcu garść banknotów. Nasza zupa ma



jaskrawożółty kolor od kurkumy, a ozory i mózdzki posypane są cynamonem i skropione sokiem z cytryny. Z zadowoleniem obserwuję, że tak jak ja, Vahid ma ogromny apetyt z samego rana. Podaje mi podobny do pergaminu kawałek pieczywa, zadowolony, że jem w taki sam sposób jak on. Pokazuje mi, że mam zrobić *tileet*, czyli urwać kawałek chleba, taki na jeden kęs, i wrzucić do zupy. „Czekaj” – mówi, i sięga do mojej miski, żeby wepchnąć chleb pod małe oka tłuszczu unoszące się na powierzchni. „Teraz – pozwala, by nasiąkły i zmiękły – już są dobre”. Gdy spijamy zupę z łyżek i podajemy sobie chleb, by wybrać z misek resztkę rosółu, Vahid zaczyna wyjaśniać, jakie mamy plany na ten dzień.

– Dowiedziałem się, gdzie znaleźć mięso wielbłądów. Musimy pojechać jakieś trzydzieści kilometrów za miasto. Znajdę taksówkę i wynegocjuję cenę.

– Aż trzydzieści kilometrów? – pytam. – Nie ma takich miejsc w samym Jazdzie?

– Nie – odpowiada zaskoczony Vahid. – Zabijanie wielbłąda to bardzo brudna robota. Trzeba w tym celu pojechać do specjalnej ubojni poza miastem.

Z początku zaczynam się śmiać, ale zaraz uświadamiam sobie, że doszło do okropnego nieporozumienia. On ma zamiar zabrać mnie do rzeźni.

– Mówisz poważnie? – pytam zaskoczona. – Pozwolą nam tam wejść?

– Tak, oczywiście, będziemy mogli wejść. Nie chcesz tam jechać?

Obracam w dłoniach plastikowy kubek z sokiem z sumaka z cytryną, nie będąc pewna, czy powinnam się cieszyć, czy czuć dotknięta tym, że on może sądzić, iż mam chęć oglądać rozlew krwi.

– Nie martw się – mówi, pochylając się ku mnie – dla nas to normalne. Kiedy miałem czternaście lat, pomagałem ojcu zabić owcę w naszym ogrodzie na uczczenie końca ramadanu.

Patrzę na niego. Nie ogolił się dzisiaj i ma gęsty zarost na twarzy oraz głębokie zmarszczki na czole, przez które wygląda na starszego niż dwadzieścia pięć lat.

– OK, jedźmy tam – mówię w końcu, ocierając zupę z brody i wstając, by

umyć ręce w małej umywalce w kącie. Zostawiamy na kontuarze kilka pogniecionych banknotów o nominale dziesięciu tysięcy riali, poprawiam swoją chustę przed wyjściem na chłód porannego powietrza.

Vahid zatrzymuje taksówkę i z szorstkiego tonu jego głosu wnioskuje, że targuje się z kierowcą.

– Ustaliłem dobrą cenę – mówi wreszcie i odwraca się, by otworzyć mi tylne drzwi. Sam zamierza usiąść z przodu, obok kierowcy, ale zmienia zdanie i wsuwa się na tylne siedzenie obok mnie. – Usiądę koło ciebie – rzuca z uśmiechem, ale wygląda na onieśmiałego.

Kierowca obserwuje nas w lusterku, waha się, ale wzrusza ramionami, pogłównia radio i rusza. Tłok na drodze zaczyna się robić coraz większy, gdy kierujemy się najpierw na wschód, potem na południe, w stronę pustyni. Robię nasze pierwsze wspólne zdjęcie, jak siedzimy razem z tyłu taksówki, a za nami wschodzi słońce.



Nawet z daleka rzeźnia wygląda brzydko i nędznie, budynek zbudowano z byle jak pomalowanych pustaków, połączonych kruszącym się cementem. Gdy dojeżdżamy bliżej, widzę, że otacza ją akra szarego asfaltu, na którym parkują stare peugeoty i pokryte pyłem ciężarówki. Kilku mężczyzn w poplamionych krwią koszulkach opiera się o ścianę, pali papierosy i rozmawia przez telefony komórkowe. Ich zarośnięte twarze mienią się odcieniami bursztynu, oświetlone przez jedną żółtą żarówkę zwisającą z przewodu nad drzwiami.

Jeden z rzeźników zauważa mnie i woła do Vahida: „Ona się nie boi?! Kobiety tu nie przyjeżdżają”. Słyszę słowo „Kanada” i widzę, że wiele głów odwraca się w moją stronę, sprawiając, że twarz zaczyna mi płonąć. Spuszczam wzrok i skupiam się na Vahidzie, jego nieco znudzonym tonie głosu, gdy tłumaczy mnie w języku perskim.

Podchodzimy do wejścia i zerkam do środka. Znajduje się tam tuzin mężczyzn, mają ciemną skórę typową dla Kurdów lub Afgańczyków, czarne

oczy i zapadnięte policzki, które pasują do tego miejsca. Ubrani są w wysokie gumowe buty i grube wełniane czapki; w ospałym oczekiwaniu opierają się o popękane ściany pokryte kafelkami. Przy paskach spodni przymocowane mają długie noże z popękanymi plastikowymi rękojeściami, które kołyszają się, gdy mężczyźni leniwie gestykują.

Naprzeciw nas mała ciężarówka podstawia się tyłem pod betonową rampę. Z hukiem zrzuca metalową kładkę, by rozładować towar składający się z gęsto upakowanych kóz i owiec. Niektóre zwierzęta wyczuwają niebezpieczeństwo i oddają mocz na popękaną, splamioną podłogę. Inne rzucają się do wyjścia i próbują uciekać. Tłumię idiotyczny śmiech, gdy mężczyźni łapią zwierzę za nogę i ciągną je kuśtykające na trzech pozostałych kończynach. To taki śmiech osoby zdenerwowanej, który pojawia się na pogrzebach lub gdy słyszysz coś szokującego; zazwyczaj towarzyszy mu poczucie bezsilności i rozpacz. Boję się, że ktoś zażąda wyjaśnienia mojej obecności lub wskaże mnie palcem, zakładając, że ludzie zazwyczaj przychodzą tutaj, by wybrać tuszę na ucztę urodzinową lub wesele. Nie mogę nic zrobić, tylko opieram się o ścianę i głupio bawię końcówką szala; jak sądzę, musi to wyglądać podejrzanie i świadczyć o moim skrepowaniu. Stronię od rozleniwionych, zarozumiałych uśmiechów mężczyzn oraz ich spojrzeń rzucanych przez ramię lub tylko kątem oka. Jest za późno, by schować się w kącie i spuścić wzrok, aby stać się niezauważoną.

Zabijanie jest szybkie i metodyczne. Po przecięciu gardła każde zwierzę jest kładzione na boku, żeby się wykrwawiło nad metalową kratką. Wbrew sobie nie potrafię oderwać wzroku od podrygujących trucheł i mężczyzn, którzy otaczają je w grupach po czterech. Cofam się, gdy podwijają rękawy grubych swetrów aż do łokci, ostatni raz zaciągają się głęboko papierosem i zarzucają ciała zwierząt na wielkie metalowe haki. W jednej chwili zwierzęta zostają obdarte ze skóry, a ich organy wewnętrzne – zwoje ciepłych jelit, wątroby i serca – bez zbytnich ceregieli wrzucone do wiader. Gdy zaczynają opróżniać do taczki na wpeł strawioną, trawiastą zawartość ich żołądków, Vahid zatyka usta i wybiega na zewnątrz. Czuję ukłucie

irytacji na niego za to, że mnie tu przywiózł i sam nie był w stanie znieść tego widoku.

W ciągu kilku chwil zwierzęta zostają przekształcone w schludne rzędy różowych tusz, a procedura zmienia się w bardziej spokojną, rutynową i mechaniczną. Odnoszę wrażenie, że po prostu nie da się nie chłonać tego kontrastu między pięknem i ustalonym porządkiem mojego świata. W Londynie czasem potrafię czuć się winna, używając nożyczek, by pociąć natkę pietruszki, zamiast skubać ją listek po listku na kawałek papierowego ręcznika, czy skupiając się za bardzo na tym, co robię, tak że niekiedy przecinam skórę na palcu lub parzę się w rękę. Przypominam sobie te godziny, kiedy zastanawiałam się nad przepisami na zajęcia, nad tym, co sobie wymarzyłam i co najbardziej na świecie chciałabym pokazać. Małeńkie przepiórki, które chcę nadziać na szpikulec i upiec, upačkane miski z ośmiornicą w oliwie z całymi kawałkami ziemniaków, pomysły, które nigdy nie ujrzą światła dziennego. Wszystko musi być utemperowane i uładzone dla ludzi, którzy przyjdą i będą chcieli dowiedzieć się, jak można ulepszyć opakowania sosu, którzy śmieją się, oszołomieni wagą moich noży w swoich rękach. Dla ludzi, którzy każdego dnia sprawiają, że budzę się przestraszona w środku nocy, sięgając po wyśnione przeze mnie składniki: pęczek marchewek, mokrą rybę, cokolwiek, bym mogła od razu zaimprovizować zajęcia.

Vahid wraca, nieudolnie przyciskając chusteczkę do ust. Patrzy na mnie otoczoną całą tą krwią i brudem, jakbym była delikatnym ptaszkiem lub dopiero wyklutym kurczaczkiem, bojąc się, że zaraz wybuchnę płaczem. Przygląda się mojej twarzy, szukając na niej objawów smutku lub melancholii, ale prawda jest taka, że jestem zupełnie spokojna. Widzę cień uśmiechu, gdy kręci głową, jakby go coś rozśmieszyło. Zaczyna dreptać, jak gdyby chciał pokazać, że pokonał nudności, jego stopy zostawiają mokry ślad na podłodze. Wydaje się zażenowany zastojem w pracy, brakiem hałasu, jakby pytał siebie: „Co teraz?”. Z nieskrywaną ekscytacją krzyczy coś i pokazuje ponad moim ramieniem w stronę ceglanego muru, gdzie poruszają się głowy dwóch wielbłądów. Zachęca mnie, bym do nich podeszła, ale

widziałam już wszystko, co chciałam, uzyskałam potwierdzenie, cokolwiek to miałoby oznaczać. Nalega, ciągnie mnie za łokieć, popycha w stronę wyjścia, a ponieważ tu jesteśmy i wykazałam się zimną krwią, nie mam jak się wycofać. Wkurzona na to, że dałam się złapać w tę absurdalną zabawę w tchórza, biorę głęboki wdech i zgadzam się, aby mnie ciągnął w niezwykłą ciszę panującą na zewnątrz. Idąc, czuję kruchość każdej części mojego ciała, osłaniam rękoma brzuch, słyszę swój głośny oddech.

Jakiś nastolatek prowadzi wielbłądy przez wejście, szarpiąc za sznury i naciągając mięsiste chrapy zwierząt tak, że aż widać ich zęby. Mrużę oczy, widząc jego ironiczny uśmiech, na moją cześć zapewne, gdy przywiązuje zwierzęta do zardzewiałego błotnika starego renault 5. Wielbłądy klękają na chodniku, mrugając mokrymi, brązowymi oczami, ich pyski wyglądają tak, jakby się szczerzyły w uśmiechu. Poruszają nozdrzami i wzdrygają się, odpędzając latające wokół nich ćmy. Z miejsca, gdzie stoimy, czuję ich wilgotny, słodowy oddech. Mam ochotę podnieść rękę i pogłaskać ich długie, włochate szyje. Gdy ruszam przed siebie, Vahid zatrzymuje mnie. „Wielbłądy są bardzo uczuciowe. Trzeba je zabić jednym cięciem, oddzielnie, i potrzeba do tego dwóch ludzi. Jeśli zobaczą nóż lub jak zabija się inne zwierzę, stają się agresywne i mogą być niebezpieczne. Potrafią usiąść na nas lub kopnąć i połamać nam kości. Słyszałem wiele podobnych historii”.

Starszy mężczyzna podchodzi, odwiązuje mniejszego wielbłąda i prowadzi go do małego pomieszczenia na tyłach. Wielbłąd instynktownie idzie za nim z pochylonym łbem, a jego kopyta stukają po asfalcie. Na boku zwierzęcia ktoś wymalował perską liczbę piętnaście – piątka w farsi ma kształt odwróconego serca.

– Chodź, Jenny – mówi Vahid i odwraca się na pięcie, żeby wejść do środka. Widząc moje wahanie, chwyta mnie za rękę i podrywa się do biegu. Jestem mniej zdziwiona jego chłopięcym gestem niż chęcią narażenia nas na niebezpieczeństwo. Oboje wiemy, że to lekkomyślne i nielegalne, gdy mężczyzna trzyma za rękę niezamężną kobietę. Ale zamiast ją puścić, gdy docieramy do wejścia, on ściska mocniej moją dłoń, zmuszając mnie, bym

odwróciła się w jego stronę. W odpowiedzi oddaję uścisk, nie będąc pewna, czy go nie zachęcam, ale nie mogę się zmusić do odepchnięcia go. Metaliczny, proteinowy zapach pomieszczenia pozbawia mnie jakiegokolwiek potrzeby interpretacji tej sytuacji. Po prostu czuję się wdzięczna, że ktoś mnie dotyka. Po przejściu nad ściekiem i zwojem długiego gumowego szlauchu cofamy się, dopóki nasze plecy nie dotkną wilgotnej, gołej ściany. Vahid przysuwa się do mnie, jego szyja znajduje się o kilka cali od mojego nosa. Zapach jego wody kolońskiej – męski aromat piżma i cytryny, który zapewne wtarł w skórę, zanim spotkał się ze mną rano – daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Wielbłąd przysiadł na małym kopcu na podłodze przy wielkiej wadze szalkowej. W przeciwległym kącie leży martwa krowa rzucona na metalowy wózek, woda pryska ze szlauchu, który ktoś włożył jej do pyska. W pomieszczeniu brakuje powietrza, jedyne drzwi zostały zamknięte, a wirujący metalowy wiatrak nad głowami nie daje za wiele wiatru. Dżinsy i bawełniana koszulka przyklepiły mi się pod płaszczem do ciała. Dwaj mężczyźni zbliżają się do wielbłąda z przeciwnych stron, a on wacha powietrze, jakby spodziewał się, że ktoś mu wetknie ogórka lub marchewkę do oślinionego pyska. Starszy z nich szarpie za sznur, by gwałtownie odwrócić jego łeb w jedną stronę, podczas gdy drugi wykonuje długie, niekończące się nacięcie w poprzek szyi. Vahid odciąga mnie od szkarłatnej kałuży rozlewającej się po podłodze w naszym kierunku i czuję, że twarde opuszki jego palców drżą w mojej dłoni.

Oddycham z ulgą, że to już wreszcie koniec, i powietrze wypełnia się dźwiękiem wydychanego przez nas powietrza. Staram się nie nazywać zapachów ani dźwięków, odkładając to na później. Drzwi otwierają się z impetem, prawie wyrwane z zawiasów, a mnie ściska z żołądku, ponieważ prowadzą drugiego, większego wielbłąda. Młody chłopak, który wcześniej przywiązywał zwierzęta, przebiega obok nas z nożem i zaczyna go ostrzyć niezgrabnymi ruchami.

– Co on robi? – pytam Vahida. – Nie trzeba do tego dwóch ludzi?

– Nie wiem – szepcze. – Może chce go sam zabić, żeby się przed tobą

popisać.

Wielbłąd klęka, ponaglany głośnymi syknięciami, zwija się w spokojny, schludny tobołek. Chłopak zdaje się stopniować napięcie, okrąża zwierzę, jego gumowe buty chlupoczą we krwi. Kiedy się pochyla, jego ciemne, tłuste włosy opadają mu na oczy i po raz pierwszy naprawdę zaczynam się bać. Jesteśmy sami w tym pomieszczeniu z brudną podłogą i metalowymi hakami – nasza trójka i wielbłąd.

Chłopak celuje w gardło wielbłąda, ale zamiast długiej, zamaszystej rany, robi wąskie, lecz głębokie nacięcie. Przerażony wielbłąd podrywa się i biegnie w stronę światła sączącego się przez otwarte drzwi, na parking. Kilku starszych mężczyzn stojących przed biurami krzyczy coś ze złością, gdy zwierzę biega wkoło, ochlapując ich tryskającą krwią. Chłopak na próżno próbuje chwycić powróż wielbłąda, ale to go tylko jeszcze bardziej rozdrażnia, więc galopuje zdezorientowany i przestraszony, wzbijając w powietrze tumany szarego pyłu.

Przechodzimy nad nieużywaną wagą i jakimiś przewróconymi fragmentami metalu i dostajemy się pod ożywcze podmuchy wiatru na zewnątrz. Wielbłąd walczy jeszcze przez kilka minut, aż wreszcie zwala się na ziemię.

– *Mash'allah* – mówi cicho Vahid, puszczając moją dłoń.

Wielbłąd leży na boku, jego cienka jak papier brązowa skóra jest splamiona krwią, kończyny ma podwinięte i nieruchome. Odsuwamy się, gdy zbliża się kurdyjski chłopak i idiotycznie rozcina ranę na gardle zwierzęcia; dzięki temu bezsensownemu gestowi chce zachować twarz. Dwaj mężczyźni w plastikowych klapkach zaczynają zmywać krew z chodnika wodą ze szlauchu. Pieni się na różowo, gdy spływa przez parking do rynsztoka.

Znajduję nasłonecznione miejsce na murze i opieram się o cegły, chcąc oddać nieco ciepła przez warstwy ubrań. Vahid ma wypieki i wygląda na zakłopotanego, jego brązowe oczy nagle stały się zmęczone i podkrążone. Przez bramę prowadzą więcej wielbłądów z niebieskimi numerami wymalowanymi na bokach. Kilku ludzi gromadzi się w jednym miejscu, rozmawiają głośno, natarczywie. Vahid odwraca się i mówi coś do jednego

z nich, ale on zbywa go wzruszeniem ramion. Mężczyźni podnoszą ręce do góry i kreślą w powietrzu trajektorie, pokazując raz na wielbłąda, raz na pomieszczenie z tyłu rzeźni. Jeden z nich na chwilę odchodzi, po czym wraca ze zwojem liny.

Przyprowadzają dwa duże wielbłądy i przywiązują je do nóg martwego zwierzęcia; pętle z postrzępionej liny opasują ich szyje. Ostatnie, co widzę, odchodząc do naszej taksówki, to właśnie one, smagane batem i posłusznie ciągnące ciężar zostawiający za sobą szeroki, mokry ślad.



Otwierając przede mną drzwi, jest przygaszony i zauważam, że ma ochotę odpokutować katastrofę, w jaką przemienił się dzisiejszy poranek. Wsiadamy na skrzyżowaniu, które ledwie rozpoznaję, w pobliżu cukierni, do której weszliśmy kilka dni temu, żeby kupić małe metalowe puszki z pistacjową i kokosową *baklawą* pokrojoną w małe kostki i spryskaną wodą różaną. Od tego czasu wciąż je podjadam. Kilka kawałków wrzucam do ust z samego rana, kilka następnych gdy siadam, żeby poczytać przy przygaszonym świetle przed snem.

Kiedy wchodzimy, czuję zapach miodu, cytryny i prażonych migdałów. Pracujący tu mężczyźni właśnie wyciągają z piekarnika przypieczone blachy z jazdyjskimi ciastkami. Odrywają się od pracy i wyglądają na zadowolonych z tego, że przyszliśmy; otrzepują ręce z mąki i podają je Vahidowi lub poklepują go po plecach. Vahid też się cieszy, że znowu przebywa wśród nich. Na szczęście w niewinnych i beztroskich okolicznościach.

Kuchnia wygląda jak dziecięca kraina wrózek. Wszędzie stoją tace z maleńkimi pączkami czekającymi na obtoczenie w lukrze, miniaturowymi ciastkami szafranowymi z piegami z kardamonu i rodzynek oraz biszkoptami w kształcie koniczyny z mąki z ciecierzycy. Mężczyźni zwracają się do mnie i wymawiają magiczne słowa: nie mogę stąd wyjść, póki wszystkiego nie spróbuję.

Ze wszystkich kierunków wyciągają się ku mnie ręce trzymające tace ze



słodyczami, ciastkami i tortami. Niektóre są klejące, niektóre kruche, inne polane syropem daktylowym, a jeszcze inne obtoczone w sezamie. Robimy przerwę tylko po to, by strzepać okruszki i lukier z kolan i oblizać palce, próbujemy i podjadamy, aż bolą nas brzuchy. Właściciel tej wytwórni, szpakowaty mężczyzna w średnim wieku z krótką, schludnie przystrzyżoną brodą, przynosi nam szklanki z lemoniadą z wodą różaną i pyta Vahida, czy chcielibyśmy spróbować przygotować *pashmak*.

Urządzenie do robienia *pashmaku* przypomina ogromną tarantulę. Brzęczy, gdy jego odnóża chwytają ciepłe, lekkie pasma włókien z cukru i sezamu, kiedy tylko wyjdą z centralnej kuli, która topi składniki. Bierzemy delikatne jak gaza włókna i owijamy je sobie wokół palców, odrywając się od tego zajęcia tylko na chwilę, by wsadzić włókno do ust i poczuć, jak roztapia się na języku, zmieniając w twarde okruchy cukru na zębach.

Kiedy kończymy, jesteśmy otoczeni pastelową tęczą szpulek. Niektóre z nich są wetknięte w pieczywo z sezamem i podawane ze szklanką herbaty. Większość zostanie wywieziona i użyta do dekoracji ciast lub sprzedana na wesela. Jeden z mężczyzn bierze kilka pasm *pashmaku* i zwija go w różowy naszyjnik, który z uśmiechem zawiesza na mojej szyi. Myję ręce przy małej emaliowanej umywalce w kącie i patrzę w lustro, dotykając swojego małego cukrowego naszyjnika.

Vahid tymczasem pogrążony jest w rozmowie; mówi miękkim, pełnym szacunku tonem, takim samym jak w domu przy rodzicach i wujach. Ręce założył na piersi. Rozumiem co nieco z ich rozmowy bez żadnych wyjaśnień. Zaczęłam poznawać zmieniające się tony jego głosu i przyzwyczajam się do wyrazu jego twarzy w różnych sytuacjach. Czasami jest tylko nieśmiałym chłopcem, którego życie upływa w całkowitym odosobnieniu od dziewcząt: w szkole, w autobusach, w piekarni, gdzie kobiety stoją w kolejce po lewej, a mężczyźni po prawej stronie, by kupić chleb wypiekany na kamieniu. Otoczony teraz przez mężczyzn z szerokimi srebrnymi weselnymi opaskami, sterczącymi, dobrze odżywionymi brzuchami i temperamentem łagodnym przez żony i dzieci, Vahid przyjął postawę dorosłego, podpierając się na jednej nodze i żywo gestykulując.

Status życiowy Vahida, jego nazwisko, służba wojskowa, brak zatrudnienia są szczegółami, którymi się dzieli, opowiada o nich i dyskutuje z nieznajomymi. Smutno mi, gdy widzę, że ziarna jego młodego życia zostają wymłócone, przebrane, a prywatne informacje przeanalizowane i ocenione. Żeby dostać pracę, będzie musiał udowodnić, że odbył służbę wojskową, że nie ma żadnej bliskiej rodziny na Zachodzie i nie zamierza wyjechać za granicę. Żeby się dobrze ożenić, trzeba mieć odpowiednie nazwisko, a potem jeszcze pracę, dom i samochód. Prywatność jest czymś, co dotyczy innych spraw – problemów małżeńskich, seksualnego pożądania, bladych przedramion żony lub siostry – ale to, co odnosi się do jego osobistego rozwoju i dwudziestopięcioletniego życia, jest publiczne, dostępne dla każdego.

Kiedy wychodzimy z cukierni, popołudniowe słońce wisi wysoko na niebie, a ulice są zacienione i opuszczone. Rodziny w Jazdzie przebywają w domach, modlą się cicho lub siedzą wokół swoich *sofreh*, jedzą gulasz z ryżem na obiad. Spacerujemy alejami, które biegną równolegle do głównej ulicy, na której buczą taksówki i rzadziej przemyka jakiś autobus.

Vahid idzie szybko, zaciska dłonie i trzyma je blisko siebie. Powrócił grymas niezadowolenia, wygląda, jakby coś go kłopotowało. Pozwalam mu się wyprzedzić; jego krótki cień unosi się obok pod ostrym kątem, idzie za nim wzdłuż kamiennych murów i wylewa się na nierówną, pełną zagłębień ziemię. Wygląda tak, jakby o mnie zapomniał i dopiero po dłuższym czasie zorientował się, że zostałam z tyłu. W końcu zatrzymuje się i odwraca z zaciętą miną.

– Dlaczego tak się spieszysz? Co się stało? – pytam.

Robi kilka kroków w moim kierunku, stąpając po kamieniach i wzbijając mały obłok kurzu. Widzę, że przygląda mi się z niepewną miną.

– Pozwól, że stąd zadzwonię – mówi, wskazując w stronę zielonej budki telefonicznej. – To zajmie tylko chwilę. Skończyła mi się kasa na karcie w komórce.

Przyglądam mu się, jak wybiera numer i chwilę czeka. W końcu odkłada słuchawkę, nic nie mówiąc.

Jego wzrok zdradza, że się waha.

– Chodźmy do domu. Na obiad – mówi.

Idziemy na przystanek autobusowy i natychmiast rozdziela nas morze czarnych sukien, palących mężczyzn i dobrze wychowanych uczniów. Przyjeżdża autobus, on wsiada z przodu, podczas gdy ja dołączam do tłumu zakrytych twarzy zajmujących miejsca z tyłu. Wyciąga szyję, żeby upewnić się, że wszystko u mnie w porządku i że stoję wśród milczących kobiet, mocno trzymających rączki swoich dzieci. Pozwalam sobie marzyć, wyglądając przez okno, bo wiem, że Vahid zawoła mnie, gdy trzeba będzie wysiąść.



## *Rozdział siódmy*



Dochodzi druga, a wydaje się, że jest już wieczór. Vahid wchodzi po schodach, jakby miał coś ważnego do zrobienia. Idąc cztery stopnie za nim, zauważam spruty kawałek nitki w podrobionym logo Adidasa na jego butach, wytłoczone litery na podeszwie już się prawie wytarły. Czuję zadowolenie, jakbym wracała do domu, gdy mijamy maty, na których stoją stosy mokasynów i gumowych sandałów, oraz ulgę, gdy dochodzimy do drzwi mieszkania jego rodziny. Suszy mnie po nadmiarze zjedzonego cukru i marzę o wodzie z kranu o metalicznym posmaku.

Zamiast zadzwonić dzwonkiem jak zawsze, Vahid wyjmuje pęk brzęczących kluczy z kieszeni. Od razu wiem, co to znaczy, ale nie wydaje mi się to dziwne. Jeśli już, to jestem zadowolona, że mamy okazję pobyć sami i uniknąć rutynowych pytań jego ojca o cenę kilograma mięsa lub butli gazu.

– Mama zaraz wróci do domu – mówi Vahid, jakby chciał mi dodać pewności, podpira się o ścianę, żeby mnie przepuścić pierwszą.

Lniana ściereczka przykrywa misę z owocami na stole. Filiżanki zostały umyte i ustawione na ociekaczu nad zlewem. Chociaż raz telewizor jest wyłączony, a my zachowujemy się jak dzieciaki bez opieki. Byłe jak rzucamy torby na dywanik, swoje płaszcze zawieszamy na oparciach krzeseł. Vahid idzie do kuchni, żeby znaleźć filiżanki i szklanki. Uderza mnie, jak zwinnie przemyka między etapami życia, szybko się starzeje i znowu szybko robi się młody. Poza domem jego zarost wydaje się ciemniejszy, a twarz poprzecinana zmarszczkami i z charakterystycznym wyrazem determinacji.

Będąc z powrotem w kuchni swojej matki, mógłby uchodzić za nastolatka. Po zdjęciu marynarki ma na sobie podkoszulek z cienkimi pomarańczowymi paskami ciągnącymi się od ramion do końca krótkich rękawów. Domyślam się, że tę koszulkę kupiła mu mama, wciąż traktując go jak chłopca.

Vahid gotuje wodę w czajniku i ustawia na tacy miseczki z daktylami i suszonymi morwami, podczas gdy ja przechadzam się po salonie, jakby to było muzeum. Bez ludzi pokój wydaje się większy, wszechobecne pamiątki sprawiają wrażenie starannie dobranych i przemyślanych. Pocztówki z okazji *Nowruz*<sup>[5]</sup> stoją pomiędzy wazonami z zakurzonymi sztucznymi kwiatami. Zdjęcia gnieźdzą się pomiędzy wykrochmalonymi serwetami. Po raz pierwszy oglądam je z bliska, przedstawiają życie Vahida i jego siostry od niemowlęstwa. Na wyblakłych od słońca i upływu czasu fotografiach leżą w ramionach różnych krewnych, ich matka rzadko znajduje się poza obrębem ramki. Stopniowo oddzielają się od rodziców oraz siebie nawzajem, wykazując się odwagą i niezależnością, jaka naturalnie przychodzi z wiekiem. Vahid pozuje z piłką do futbolu, uśmiecha się szeroko i widać, że brakuje mu przedniego zęba. Jego siostra zaś pozuje w jasnoniebieskim szkolnym mundurku, z torbą na książki i dopasowaną kolorystycznie chustą zawiązaną na węzeł pod brodą. Gdy fotografie pokazują jej wejście w wiek nastoletni, jej chusta staje się luźniejsza, kolory ciemnieją i są w odcieniach szkarłatu i fioletu. Na końcu nosi ją zarzuconą przez lewe ramię, w taki sam sposób, jak ja noszę swoją. Zaraz potem znika.

Szukam jej na pozostałych zdjęciach, ale na tych nielicznych, na których mogę ją znaleźć, wygląda jak kropka na krajobrazie, abstrakcyjna figura niczym chmura lub drzewo. Potrzebuję chwili, by rozgryźć ten schemat: kiedy się pojawia, zawsze stoi koło niej ojciec Vahida lub wujowie, którzy częściowo ją zasłaniają. Czasami widać jedynie jej ramię lub kawałek twarzy, resztę przesłaniają koszule w paski i natłuszczone włosy. Tak jakby chciano się, żeby się nie wyróżniała, i celowo stawiano ją gdzieś w tle.

Wspinam się na palce, żeby zdjąć leżący wysoko na półce nieduży stosik pękatych albumów, udekorowanych plastikowymi klejnotami i brokatem. Zdjęcia w środku zaskakują mnie nie mniej, niż gdyby wysypały się na

podłogę. Jest tam siostra Vahida, mnóstwo jej zdjęć, jedna fotografia dużej grupy kobiet otaczających panny młode w strojnych białych sukniach. Nieosłonięte włosy ma uczesane w sztywne, błyszczące loki, jej ubranie migocze cekinami. W przeciwieństwie do tego, co widać na fotografiach w ramkach, gdzie stoi z rękami skromnie złożonymi przed sobą, tutaj jest pochylona do przodu, a gołe ręce ma zarzucone na ramiona innej dziewczyny. Szeroko się uśmiecha uszmiękanymi ustami, jej oczy są obrysowane grubą kreską – wielokrotnie powieliła ten makijaż. Umalowana, z łatwością mogłaby uchodzić za dziesięć lat starszą.

Są tu takie zdjęcia, które, jak sądzę, były przekazywane potencjalnemu konkurentowi po osiągnięciu przez nią wieku dojrzałości *khaastegaari*; niezliczona liczba krewnych studiowała rysy oraz symetrię jej twarzy, zanim zdecydowano, czy występować o jej rękę. Wyobrażam sobie, że takie same zdjęcia bez końca są obracane w obcych rękach, jej twarz i ciało stopniowo pokrywa się odciskami kciuków. Chociaż nigdy jej nie spotkałam, czuję współczucie, gdy oczyma duszy widzę, że jest poddawana krytyce i oceniana.

Ma dwadzieścia trzy lata i jest prawie dekadę młodsza ode mnie; staram się wyobrazić sobie, co to musi oznaczać. Krycie się w obrębie rodziny oraz kroczenie ścieżką wymagającą totalnego i niepodważalnego zaufania. Podejrzewam, że nigdy nie kłóciła się z rodzicami tak jak ja, nigdy nie podniosła głosu na ludzi popychających ją w metrze. Że podobnie jak Vahid została wychowana tak, by spełniać ogromne, kolektywne oczekiwania, by zakończyć okres młodości w sposób satysfakcjonujący i zadowolający wszystkich.

Nie przestaję przerzucać fotografii, nie mogę się nasycić szczegółami ostatnich dwóch i pół dekady. Przypomina mi to, że jestem zaledwie punkcikiem, który niewiele lub w ogóle nic nie wniesie do tego domu. Tutaj żyło się i żyje irańskim życiem.

Sięgam po jeszcze jedno zdjęcie, które wyróżnia się spośród pozostałych – zniszczoną czarno-białą odbitkę za szkłem. Panujący na niej porządek i odświętny nastrój wskazują, że odbywa się jakaś ważna uroczystość. Dorośli są ubrani w długie, oficjalne stroje. Na bankietowym stole leży

przekładana kremem rolada biszkoptowa. Czterej chłopcy siedzą wyprostowani na twardych, podobnych do tronu krzesłach, i mają takie miny, jakby nie wiedzieli, jak się zachować. Najstarszy chłopiec próbuje się uśmiechnąć do aparatu, ale pozostali czują się niekomfortowo, będąc w centrum uwagi. Mają na sobie białe spódniczki, spod których wystają gołe, świecące kolana. Pozostałe dzieci na zdjęciu wydają się bez troski i szczęśliwe, ich niezliczone zabawki i lalki zaśmiecają całą podłogę.

– To mój ojciec i wujowie w Chuzestanie – mówi Vahid. – To zdjęcie zrobiono na ich *khatneh soori*. Babcia czekała, aż tata skończy pięć lat, następnie zabrała ich wszystkich do lekarza, żeby mniej się bali. Dzięki Bogu byłem zbyt mały, by pamiętać swój zabieg. Mama poprosiła o jego wykonanie, kiedy się urodziłem.

Na początku sędzę, że mówi o usunięciu migdałków lub wyrostka robaczkowego, ale wkrótce staje się jasne, że chodzi o obrzezanie. Jestem w szoku, podnoszę ręce do ust, ale entuzjazm w jego głosie sprawia, że nie sposób się nie uśmiechnąć.

– Wiesz, co zrobiła moja babcia? – pyta, zachęcony miną, jaką zrobiłam. – Poprosiła lekarzy, by nie wyrzucali napletków, po czym nakarmiła nimi kurczaka. Następnie zabiła go i kazała ojcu i wujom zjeść go po upieczeniu na rożnie. Ta tradycja miała zapewnić im powodzenie w życiu.

Pomysł jest tak słodki i tak perwersyjny, że zaczynam trząść się ze śmiechu, przyciskając rękę do brzucha. Przypomina mi to chichot, który towarzyszył wyjaśnieniom mojej mamy, kiedy byłam dzieckiem, na czym polega zjawisko siniaka lub tajemnica ruszającego się zęba. Pamiętam, jak jej słuchałam, oczarowana zapewnieniami, że ciało się zagoi, a ząb odrośnie. Chociaż nie należę do tego domu, jego opowieść roznieca we mnie podobną tkliwość, ogarnia mnie nostalgia; staję się częścią ich świata, tak jak wtedy, gdy dostałam swoje miejsce do jedzenia i spania na ich najcenniejszym dywanie w bogate wzory, rozciągającym się miękko pod moimi bosymi stopami.

Usta Vahida układają się w uśmiech, gdy na stoliku stawia tacę, którą dla nas przygotował. Podchodzi i staje obok mnie, tak blisko, że spodziewam się,

iż poczuję jego dotyk.

Podaje mi kolejną fotografię, która wygląda na zrobioną niedawno i przedstawia jego wraz z rodzicami w większej grupie ludzi. Siedzą wygodnie, bez butów, na dywanach w cieniu drzew, za nimi na bezchmurnym niebie świeci słońce. Jego rodzice są rozleniwieni i zrelaksowani, w sposób, jakiego jeszcze u nich nie widziałam, ich twarze wyrażają rozbawienie. Swoboda zachowania ludzi na zdjęciu sugeruje rodzinną atmosferę, obecność osób, które już wszystko widziały i nie mają przed sobą sekretów.

Kobiety zebrały się w małych grupach, siostry i kuzynki, które rozpieszczają i karmią piersią swoje dzieci, wymieniają się przepisami na mleczny pudding i sałatkę z kurczakiem. Mężczyźni pochylają się ku sobie w gorączkowej rozmowie, wskazującej na naturalnie istniejącą między nimi rywalizację. Wyobrażam sobie, że muszą w sekrecie oceniać samochody pozostałych, piękno ich żon i osiągnięcia dzieci, a jednak potrafią pokojowo współżyć ze sobą podczas wakacji, kiedy do jednego samochodu wciska się dziesięć osób, by pojechać do Mashad lub Bandar Abbas, gdzie wszyscy śpią w dwóch sypialniach, bez przerwy potykając się o siebie nawzajem.

Patrząc ponownie na zdjęcie, zauważam półmisek chrupiących główek sałaty z dwiema turkusowymi miseczkami stojącymi po obu stronach. Za nimi widać wysoki dzban złocistego syropu; promienie słońca odbijają się od kryształowego uchwyty. Vahid chwyta mnie za palec i odciąga na bok moją rękę, żebym popatrzyła.

– A... to jest specjalność południowego Iranu. Po persku nazywa się *sekanjabin*. To syrop, który powstaje z gotowania octu winnego z cukrem i miętą. Jedna z naszych sąsiadek dodaje również dzikiego miodu. Jak mama go robiła, moja siostra i ja biliśmy się o niego. Jestem pewien, że doprowadzaliśmy ją tym do szaleństwa.

Mama mówi, że syrop dodaje energii. Każe ojcu pić go z wodą i specjalnymi czarnymi nasionami. Ale głównie moczymy w nim sałatę i jemy ją palcami. Nie uwierzysz, jaki jest pyszny. W Jazdzie jest jeden rolnik, który słynie z tego, że ma najlepszą sałatę; wszystkie kobiety do niego



lecą, jak go widzą. Przychodzi do parków z osiołkiem i sprzedaje ją z drewnianych wiaderk z lodem. Sałata jest tak świeża, że jak się ją rozkrawa, to aż cieknie z niej woda. Razem z ojcem z łatwością zjadamy dziesięć główek.

Jego głos brzmi łagodnie, pochyla się, jakby chciał mnie dotknąć. Zaraz jednak się odsuwa.

– Widzisz. Twoje miejsce było puste – mówi, wskazując na niezajęty kawałek koca obok niego.

Z początku sędzę, że mówi do mnie jak do siostry, ponieważ spędziliśmy sporo czasu pod jednym dachem. Może, potrzebując jego ochrony, posunęłam się za daleko i zajęłam jej miejsce. Pewnego wieczoru, kilka dni temu, jego mama była zbyt zmęczona, by gotować, zaproponowała więc, żebyśmy poszli gdzieś i kupili sobie kebaby, a ja poczułam się tak, jakbym się do nich dopasowała. Psiknięciu wody kolońskiej i szybkiemu sprawdzeniu wyglądu w lustrze w przedpokoju oraz przepychankom po portfele i by zawiązać sznurowadła towarzyszyło to samo poczucie odświętności, jakie miałam, będąc dzieckiem, gdy z rodzicami i siostrą jechaliśmy do kina lub na stację benzynową, by kupić tam lody. Wsiadłam na tylne siedzenie samochodu obok Vahida, a jego rodzice zajęli miejsca z przodu. Z daleka każdy mógłby pomyśleć, że jesteśmy rodziną, że jego rodzice są również moimi rodzicami, i że Vahid i ja jesteśmy rodzeństwem.

W ciszy słyszę szelest jego dżinsów, gdy robi krok w moją stronę. Jest tak blisko, że czuję zapach jego potu i owczej wełny ubrań. Nie ruszam się, gdy się zbliża, jakby jakikolwiek ruch mógł go zachęcić lub odstraszyć. Chwyta mnie za rękę, jest spięty. „Spokojnie – mówi – tutaj jest bezpiecznie”.

Kręci mi się w głowie i denerwuję się, gdy on na mnie patrzy. Moje ciało sztywnieje, oparte o regał z książkami. On chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, jaką ma zaciętą minę, jak bardzo jest wycofany i niezależny. Przez te godziny, które spędziliśmy na chodzeniu po mieście, nikogo nie potrzebował, a jednak uświadamiam sobie, że nieco go zmiękczyłam w ostatnich dniach. Czuję ekscytację tym, że udało mi się dotrzeć do jego delikatności, a jednocześnie boję się wydobyć ją na światło dzienne. Ostrożnie oddaję mu

uścisk dłoni, jakby wsadził mi coś kruchego w dłoń. Coś, czego nie chcę upuścić. Jakbym, nie będąc wystarczająco ostrożna, mogła unicestwić całe życie.

– Mogę cię pocałować?

Wydaje mi się, że oszaleję, jeśli on mnie dotknie lub pocałuje, chociaż zaledwie uścisnął moją dłoń. Dysponuję nieograniczonym zasobem słownictwa, by go odrzucić. Mogę to zrobić szybko, nawet czule. Powiedzieć mu, że jest zbyt młody, zbyt niedoświadczony, zbyt doskonały, by zalecać się do mnie w ten sposób.

Vahid staje bliżej mnie, wciąż trzyma moje dłonie. Jego pierwszy pocałunek jest szybki i niepewny, wydaje się, że boi się mnie rozczarować. Całuje mnie ponownie, bardziej żarliwie i zaborczo, przyciąga mnie do siebie, obejmując moją talię. Jego usta są przyjemnie ciepłe i mają słodki smak, zarost na policzkach drapie mnie w skórę. Jego dłoń wędruje w górę, przyciska moje ciało, jakby rościł sobie do niego prawo, jakby mówił: „Jesteś moja”.

Czuję, jaki jest bezbronny i niepewny. Spina się, kiedy dotykam jego szyi. Nie zabieram dłoni, żeby się przyzwyczaił, a drżenie jego dolnej wargi zdradza, że po raz pierwszy poddaje się potrzebom swojego ciała. Instynktownie przeczesuję jego włosy palcami i jestem zaskoczona ich gęstością. Są nieprzyjemnie sztywne, niczym druty. Jego oddech przyspiesza, staje się gorący i parzy moją skórę; panikuję i odpycham go od siebie.

Vahid odskakuje, ma zatrwożoną minę. Po chwili kiwa głową, jakby dostał w twarz.

– Nie wiem, dlaczego cię całowałem – mówi drżącym, piskliwym głosem.

Patrzę w jego błyszczące brązowe oczy, widzę jego rozzłoszczoną minę, ręce złożone w obronnym geście: dziwną kombinację tego wszystkiego, co jest w nim ekscytujące, i tego, co mnie od niego odpycha.

– Sądzę, że chciałeś mnie pocałować, bo ci się podobał – mówię cicho.

– Nie, nie podobasz mi się! – krzyczy, cofając się. – Nie podobasz mi się. Czuję ból w piersi i chcę się od niego uwolnić!

Vahid osuwa się na podłogę pod przeciwległą ścianą, opierając ciężar ciała

na skrzyżowanych w kostkach nogach. Herbata, którą zrobił, już wystygła. Nieużywane filiżanki stoją jedna na drugiej.

– Może powinnam na chwilę zostawić cię samego.

– Nie, chodź i usiądź obok mnie – mówi łagodnie. – Nie wychodź.

Przechodzę na drugą stronę pokoju i kucam obok niego. Chwyta moją dłoń i przykłada ją do swojej piersi.

– Nie mogę oddychać i wali mi serce – mówi spokojnie. – Co się ze mną dzieje?

Widząc go w takim stanie, mam ochotę dotknąć jego twarzy i przyłożyć dłoń do policzka. Mimo że mój pociąg do mężczyzny jest uśpiony i dominuje we mnie wahanie i niechęć, chcę coś zrobić, by jakoś wyjść mu naprzeciw.

– Jest OK – szepczę, pochylając się, by pogłaskać go po włosach.

– Nie, nie jest OK! – zaprzecza gwałtownie. – Jesteś przeciętna. Nie jesteś brzydka, ale nie jesteś piękna. Oprócz włosów nie ma w tobie niczego ładnego. Nie podobasz mi się!

Powoli wstaje, moje policzki oblewa rumieniec. Chcę tylko wyjść z tego pokoju.

– Musisz zostać sam. – Ton mojego głosu jest bardziej lekceważący, niżbym chciała. Zaczynam krążyć po pokoju, by pozbierać swoje rzeczy.

– Nie zostawiaj mnie. Proszę, wróć. Wróć i usiądź przy mnie.

– Nie – mówię stanowczo, opierając się o przeciwległą ścianę. – Ty przyjdź. Ty przyjdź do mnie.

Wstaje i patrzy na mnie z niepewną miną.

– Jenny, przepraszam. Proszę, chodź i bądź blisko mnie.

Patrzę, jak powoli podchodzi do mnie. Chwyta moją dłoń i podnosi ją do ust.

Jego ręka lekko drży, gdy zaczyna mnie ciągnąć do siebie.

Wyłączenie światła nie powinno pogрузić nas w takiej ciemności. Jest końcówka kwietnia i środek dnia. To jasne, że się do tego częściowo przygotował, chciał się do mnie zbliżyć w ten sposób. Prowadzi mnie do sypialni, wygląda na spokojnego i beztroskiego. Popycha mnie na łóżko. Wchodzi na mnie bezceremonialnie, jakby chciał mieć to już z głowy,

w ogóle nie patrzy na moją twarz.

Jego dłonie wykonują szorstkie i agresywne ruchy, chwyta moje piersi i szarpie za guziki i sprzączki. Przez chwilę obawiam się, że może chcieć wziąć mnie siłą, ale udaje mi się go z siebie zrzucić.

– Chcę zobaczyć twoje ciało – mówi. – Niedługo wyjeżdżasz i nie chcę za tobą tęsknić. Nie chcę tęsknić. Jesteś idealna dla mnie. Chcę, żebyś była moja.

Ma udręczony wyraz twarzy, jego ręce znowu dotykają mojego brzucha. Mam ochotę leżeć bez ruchu, kiedy po raz drugi sięga do rozporka moich dżinsów. Ale przespanie się z nim znaczyłoby tylko tyle, że pozbawię go dziewictwa, a nie mogłabym zabrać ze sobą takiego wspomnienia ani wycisnąć na jego życiu tak silnego piętna.

Odpycham go po raz drugi, a on osuwa się na plecy obok mnie. Ma zamknięte oczy, wygląda na pokonanego i zrezygnowanego. Chcę coś dla niego zrobić, wykonać pojednawczy gest. Zależy mi na nim i nie chcę, by tak to się skończyło.

Wszystko zwalnia, jakbym poruszała się w gęstej mgle. Wkładam rękę w jego spodnie, oddech Vahida przyspiesza, gdy odwraca się w moją stronę. Przytulam się policzkiem do jego policzka i czuję jego ciepłe czoło przy swojej twarzy. „Joonam” – szepcze, gdy zaciskam wokół niego palce. Jego oddech jeszcze bardziej przyspiesza, ciało tężeje, ściska w garści poły mojej koszuli.

– Jest ci dobrze? – pyta raz za razem; ma szeroko otwarte, pełne troski oczy. Bierze jakąś ściereczkę, by wytrzeć moje klejące palce, bardziej myśląc o mojej wygodzie niż o sobie, leżącym w wilgotnym ubraniu i z rozpiętym rozporkiem.

Nie okazuje zażenowania ani nieśmiałości, tylko zaprasza mnie, bym położyła głowę na jego piersi. Cichutko szepcze: „Joonam, azizam”, głaszcząc moje włosy. Wydaje się wdzięczny za to, jak go potraktowałam, jakbym zamiast tego mogła go poniżyć.



Później podczas obiadu Vahid zajmuje miejsce na podłodze obok mnie, siedzimy jak czteroosobowa rodzina wokół obrusa. Jak zwykle podczas posiłku włączony jest telewizor i lecą wiadomości; pochylamy głowy, sięgając do misek i talerzy. Przyzwyczaiałam się do względnej ciszy przy jedzeniu, kiedy jesteśmy tylko we czworo i rodzice Vahida nie tracą zbyt wiele czasu na zbędne ceremonie. Bez towarzystwa wujów i kuzynów konwersacja schodzi na dalszy plan, a posiłki nie są rozciągnięte w czasie i szybko się kończą. W porównaniu do czasu przeznaczanego na duszenie i smażenie oraz wykwintne udekorowanie naszych posiłków samo siedzenie i jedzenie jest krótkie i niedbałe. Jego rodzice nie odrywają wzroku od telewizora, a Vahid poświęca mi tyle uwagi, że aż się czerwienię. Wybiera dla mnie najlepsze kawałki kurczaka. Kiedy mój talerz robi się pusty, nakłada na niego ryż. W zamian ja dolewam mu soku z cytryny do szklanki i podaję szczypiorek i miętę. Dbamy o siebie jak stare małżeństwo, przewidując swoje potrzeby. Przyglądam się twarzom jego rodziców, przekonana, że się domyślają lub są świadomi tego, co się dzieje, ale oni po prostu jedzą i oglądają telewizję, wpatrując się w ekran w zupełnej ciszy.

Po obiedzie Vahid woła mnie do okna i przytrzymuje roletę, bym mogła wyjrzeć na zewnątrz przez szparę. Przyciskam nos do ciemnej szyby i widzę, że Jazd nawiedziła burza piaskowa i przykryła miasto kredowym pyłem.

– Powiem rodzicom, że cię odprowadzę – mówi – ale chcę z tobą chwilę pospacerować. Muszę pobyć z tobą sam na sam.

Gdy idziemy, tańczą wokół nas wirujące chmury drobnego piasku. Czuję, że pył osiada mi na włosach, jest tak przyjemny jak płatki śniegu spadające na nos i policzki. Vahid się zatrzymuje, kiedy wchodzimy w cienie rzucane przez rząd cyprysów.

– Zamknij oczy – szepcze. Zamykam je i czuję jego ciepły oddech, gdy zdmuchuje pył z moich rzęs. Otwieram oczy i widzę, jak się do mnie uśmiecha.

Kontynuujemy nasz późnowieczorny rytuał i spacerujemy bocznymi ulicami miasta, jak zwykle podczas wieczornego *azoon*. Z domu jego

rodziców najbliżej jest do minaretu, z którego dochodzi pierwsze, samotne wezwanie do modlitwy. Z początku brzmiało złowieszczo i onieśmielająco, ale teraz na nie czekam. Podoba mi się formalne oddzielenie dnia od nocy, dołączanie się głosów brzmiących coraz potężniej, tworzących gęsty, nakładający się dźwięk. Słuchamy go, idąc wąską aleją; droga przed nami jest pusta, nie licząc pyłu i mgły. Słońce już zniknęło, na niebie widać tylko kilka niewyraźnych gwiazd.

– Jenny? – pyta Vahid, patrząc pod nogi.

– Tak? – mruczę, wciąż słuchając ostatnich, zanikających nut *azoon*.

– Co o mnie myślisz?

Najrozsądniej byłoby to pytanie zbyć. To nie jest dobry moment na taką rozmowę. Jakaś część mnie odczuwa frustrację, że on tego nie zauważa, ale ma tak poważną minę, że chcę powiedzieć mu prawdę.

Polubiłam go w jakiś nieśmiały, poplątany sposób, podobnie jak to dziwne zrządzenie losu, które pchnęło nas ku sobie. Jest ostatnią osobą, o której myślę, kiedy idę spać. I pierwszą, która przychodzi mi na myśl, gdy się budzę każdego ranka.

Jestem dumna, że tak skomplikowany człowiek wybrał mnie i obdarzył uczuciem. Doceniam sposób, w jaki na mnie patrzy, jak trzyma się blisko mnie. W zamian jestem wobec niego opiekuńcza: widzę, jaki jest zmęczony, każdego dnia obserwuję jego nieobecne spojrzenie.

Mimo to nie rozumiem, co on może we mnie widzieć, poza tym że czuje do mnie pociąg, jako że przeżył całe życie bez dziewczyn i seksu. Gdybyśmy spotkali się w Londynie, nie byłoby żadnego powodu, żeby się nawzajem poznać. Nie wyobrażam sobie, że podobałoby mu się moje mieszkanie. Moje betonowe ściany i sufity uznałby za zimne i sterylne. Nienawidziłby dużego drewnianego stołu, jedzenia z oddzielnych talerzy i siedzenia daleko od siebie. Byłby zdenerwowany i znudzony ciągłym napływem przyjaciół i krewnych dzwoniących do drzwi. Prawdopodobnie krzywiłby się, widząc, że nie mam żadnych pamiątek i bibelotów, a każdy pokój oświetlają tylko pojedyncze gołe żarówki.

Może teraz szukamy siebie nawzajem, ponieważ oboje czujemy się

samotni, ale w innym miejscu byłoby to niemożliwe. Wiem, że za kilka dni wyjadę z Jazdu i nigdy się już nie zobaczymy.

Dochodzimy do końca spokojnej uliczki i czuję, że niecierpliwie szarpie mnie za rękaw. Wiem, że oczekuje odpowiedzi na swoje pytanie, chce usłyszeć zapewnienie, chce mnie znowu pocałować.

Wychodzimy na jasno oświetloną, szeroką aleję, gdzie instynktownie oddalamy się od siebie i ściszymy głosy. W oddali widzę zbliżający się samochód, jego światła nas oślepiają. Gdy nas mijają, mam wrażenie, że powinnam spuścić wzrok, a jednak nie mogę odwrócić głowy. Przez zaciemnione szyby odróżniam sylwetki czterech mężczyzn.

Samochód nagle zjeżdża na bok i słychać pisk hamulców, gdy zatrzymuje się na środku prawie pustej ulicy. Serce niemal mi staje, gdy widzę, jak zakręca i podjeżdża do krawężnika tuż przy nas.

Przednie drzwi otwierają się z impetem i wychodzi dwóch mężczyzn, ich ciężkie skórzane buty tupią po chodniku. Z szerokich skórzanych pasów zwisają rewolwery i pałki. Ramiona ciemnozielonych mundurów ozdabiają równe rzędy złotych gwiazdek.

Jeden z nich patrzy na mnie uważnie i zaczyna krzyżeć na Vahida i mu wygrażać.

Vahid spokojnie sięga do kieszeni i podaje krzyżącemu oficerowi dowód osobisty oraz dokumenty potwierdzające odbycie służby wojskowej. Oficer przegląda je niecierpliwie, skrobiąc kciukiem po pokrywającym je laminacie.

Potem odwraca się w moją stronę i mierzy mnie wzrokiem z góry na dół. Ale mój płaszcz jest wystarczająco długi, chusta na swoim miejscu. Tym razem mam wzrok wbity w ziemię, bojąc się, że jak spojrzę na niego, wyczyta w moich myślach, jakie to wszystko jest niedorzeczne. Oddaje dokumenty Vahidowi i z ich interakcji zgaduję, że jest to scena, która była już wcześniej odgrywana wiele razy, a jej scenariusz zawsze pozostaje taki sam.

Oficer warczy w stronę dwóch policjantów nadal siedzących w samochodzie i każe im wysiąść. Następnie odwraca się i pokazuje nam, że mamy zająć ich miejsca. Patrzę na Vahida, by upewnić się, co robić, i widzę

na jego twarzy rozdrażnienie.

– Zadzwoń do rodziców i powiedz im, żeby przyszedli po ciebie na posterunek policji – szydzi oficer. – Będą mogli nam wyjaśnić, co tu robiłeś z dziewczyną z zagranicy.

– Do nikogo nie będę dzwonił – odpowiada stanowczo Vahid, podchodząc bliżej i kładąc dłoń na ramieniu oficera. – Rozładowała mi się bateria w telefonie. A moi rodzice bardzo się zdenerwują, że wystraszyliście kuzynkę z Londynu, która jest naszym gościem.

Policjanci rozglądają się wokół, jakby szukali świadków naszego poniżenia, ale ulice są puste i nikogo nie ma w pobliżu. Patrzą na nas jedynie pasażerowie przejeżdżających samochodów – zwalniają i wystawiają głowy przez okna. Nie wiem, po której stronie się opowiadają, a może po prostu są wdzięczni za spektakl, który się tu odbywa, za świeże plotki, którymi będą mogli się podzielić.

Stoimy na chodniku, cienie mężczyzn wiszą nad nami, co tylko podkreśla, że jesteśmy na ich łasce. Vahid odwraca się do mnie i spokojnie pyta:

– Jenny, masz przy sobie paszport?

Sięgam do torby i otwieram paszport na stronie, gdzie opieczetowano moją wizę. Podaję go oficerowi, który przegląda go z nadmiernym zainteresowaniem. Ma jakieś czterdzieści lat i przepisowy zarost. Pochyla się nade mną, zerka na fotografię, porównując ją z moją twarzą, ale nic nie mówi, tylko czeka.

Cały czas patrzę na swoje buty. Nie mam pojęcia, czy policjant umie cokolwiek przeczytać po angielsku, czy w ogóle wie, co oznaczają poszczególne pieczęcie. Jego mina trochę łagodnieje, gdy w słabym świetle ulicznych latarni studiuje kolejne strony.

– Zapytaj ją, jak policja zachowałaby się w jej kraju – zwraca się ostrym tonem do Vahida, wskazując na mnie.

– Moja kuzynka jest wolna w swoim kraju – odpowiada mój przyjaciel, patrząc prosto w oczy oficera.

Ten uśmiecha się ironicznie i oddaje Vahidowi mój paszport.

– *Bashe* – mówi. – Niech tak będzie. – Podają sobie dłonie, po czym



policjanci wsiadają do samochodu i odjeżdżają, znikając tak szybko, jak się pojawili.

Vahid odwraca się do mnie i uśmiecha.

– Naprawdę przynosisz mi szczęście. Nie zabrali mnie na komisariat.

Sprawdza, czy podzielałam jego rozbawienie, i dziwi się, że mam taką skupioną minę. Kładzie rękę na moim ramieniu i łagodnie mówi: „Nie martw się. Wszystko dobrze”. Ale ja pierwszy raz stykam się z takim bezdusznym, bezsensownym przejawem władzy i myślę o tym, jak to jest, gdy żyje się w taki sposób. Trochę mi pochlebia, że policjanci uznali mnie za interesującą, i jestem wkurzona, że mnie zatrzymali. To, co się przed chwilą stało, jest i komiczne, i przerażające, boję się, a jednocześnie czuję otuchę.

Vahid zostawia mnie i wchodzi do sklepu przypominającego jaskinię, gdzie stoją skrzynie pełne cytryn, a banany leżą w stosach na srebrnych tacach. Pokazuje coś i sięga po portfel, ale sprzedawca kręci głową, jakbyśmy byli toksyczni po spotkaniu z policją, i podnosi tylko dłoń do piersi. Vahid upewnia go, że stoję przed wejściem; jest spokojny, lecz uparty, i w końcu wraca z dwoma kawałkami arbuza.

– Wybrałem dla ciebie tę część, którą najbardziej lubimy w Iranie – mówi.

– To sam środek, jest najśłodszy i ma najmniej pestek. Nazywamy go kwiatem arbuza. Pomyślałem, że to sprawi, iż znowu będziesz szczęśliwa.

Idziemy dalej, ale między nami zapada nieznana cisza. Zniknęło skrępowanie, a jego miejsce zajęła solidarność.

– Jacy jesteśmy *porru!* – śmieje się Vahid. To perskie słowo dosłownie oznacza okrągłą twarz.

Jemy nasze arbuzy z dzikim apetytem, idąc równym krokiem, a sok zaczyna spływać nam po palcach. Vahid przystaje, by wypluć pestki na dłoń, następnie mi ją podstawią, bym mogła zrobić to samo. Ten gest sprawia, że odczuwam tkliwość, większą chyba niż podczas naszego pierwszego kontaktu fizycznego.

Jest już po północy, gdy wchodzimy w labirynt starego miasta z tak wąskimi przejściami, że nie możemy iść obok siebie. Słyszę za sobą oddech Vahida oraz szelest jego ubrań ocierających się o ściany z błota i gliny.

Nasłuchuję innych dźwięków, pragnę poczuć jego dotyk, dłoni sięgającą do moich włosów.

[5] Tradycyjne irańskie święto Nowego Roku, obchodzone w dniu równonocy wiosennej.



## *Rozdział ósmy*



Dni po naszym spotkaniu z policją są wypełnione niecierpliwym oczekiwaniem. Na pozór niewiele się zmieniło. On czeka na mnie z taką samą miną i w takiej samej niedbałej pozie, po czym idziemy przez dziedziniec, nie dotykając się nawzajem. On mozoli się, wymieniając grzecznościowe formułki z sąsiadami, kiwa głową i całuje rączki ich dzieci, utyskuje na cenę chleba i mleka. Wreszcie możemy iść w kierunku klatki schodowej, gdzie nasze buty wdeptują w beton świeży pustynny piasek. To tutaj, pomiędzy kręgami światła słonecznego padającego na ziemię, on zatrzymuje się w pół kroku, wysuwa jedną nogę do przodu i nadstawia ucha, a nie słysząc niczego niepokojącego, przyciąga mnie do siebie.

Każdego ranka jego pocałunki są pospieszne i nerwowe, jakby się bał, że moje uczucie do niego mogło wygasnąć przez noc. Całuje najpierw wnętrze mojej dłoni oraz nadgarstek, potem podwija wysoko rękaw. Rozumiem, że całowanie od razu w usta z pominięciem tych pierwszych dowodów uczucia wydaje mu się niestosowne, nawet pomiędzy butami sąsiadów i zapachami dochodzącymi z kuchni. Uważając, żeby nie odsłonić mojej głowy, wkłada dłoń pod chustę, by dotknąć włosów. Drapie mnie po karku, wiedząc, że tym mnie przyciągnie bliżej do siebie. Przytula się do mnie. Jest zaledwie tyle światła, że widzę tylko jego twarz, zanim zatracamy się w ulotnym zapomnieniu. Przez chwilę jesteśmy tylko chłopcem całującym się z dziewczyną, nie ma w tym niczego złego, nieuczciwego czy występnego, niczego, czego trzeba się wstydzić.

Od tej chwili stajemy się wyrzutkami, nawet złodziejami, znane terytorium

jego mieszkania w bloku staje się nam wrogiem. Nie chcemy ani klejnotów, ani pieniędzy, to, czego nam potrzeba, to nieuchwytny moment w czasie i przestrzeni. Niewielka odległość między naszymi dłońmi, gdy nalewamy sobie nawzajem herbaty, maleńka przerwa między naszymi kolanami, gdy siedzimy obok siebie: potrafię przez długie minuty, nawet godziny gapić się na nią, chcąc, by zniknęła. Wyczuwam szansę w skrzypieniu drzwi i zamykaniu okien, stukaniu zasłon wykończonych koralikami, które w ciepłe popołudnia lekko falują w podmuchach wiatraków. Wszystko w nadziei na krótkie chwile prywatności we dwoje.

Nasz rytuał liczący zaledwie kilka dni opiera się na moim zaufaniu do niego. Chociaż nic nie mówię i nie zdradzam się przed nim, wiem, że jest czujny na te same możliwości znalezienia się jak najbliżej mnie. Uczę się doceniać te kilka chwil w ciągu dnia, gdy rozmawiamy lub możemy zwracać się bezpośrednio do siebie, bo jestem świadoma oddzielających nas barier i uporczywej obecności przyzwoitek. W niektóre poranki prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiamy, niczym dwoje uprzejmych nieznanym, ale jestem zawsze czujna, gdy przechodzi obok. Wykrywam każde dyskretne spojrzenie w moim kierunku oraz niechętnie odwrócenie wzroku. Czasami przy życiu trzyma nas przez cały dzień ten pierwszy pocałunek, którego smakiem delektujemy się powoli, rozciągając przyjemność w czasie.

Wstydzę się tego, jaka byłem na początku, czuję zażenowanie tym, że tak niewiele rozumiałam. Siadałam zawsze na najwygodniejszym krześle, nie wstawałam, gdy starsi wchodzili do pomieszczenia, przyjmowałam zawstydzająco drogie słodczyki kupowane specjalnie dla mnie i rozkładane na srebrnych tacach. Opromieniał mnie fałszywy blask zagranicznej sławy, nosiłam chustę, jakby to była tylko zabawa. Ale im dłużej tu przebywam, tym więcej zaczynam rozumieć i tym dziwniejsze wydaje mi się moje postanowienie, że wyjadę z Jazdu i powrócę do mojego pustego domu, który jest dla mnie za duży, do spartańskich pokoi i szaf wypełnionych dzinsowymi spódnicami, różowymi i zielonymi koszulkami oraz gumowymi klapkami, do życia wraz z jego normalną rutyną polegającą na zawiązywaniu fartucha w pasie, przynoszeniu, zdobywaniu, organizowaniu i planowaniu. Do chwil,

kiedy zerknę ponownie na kalendarz wiszący obok biurka i spokojnie policzę dni do kolejnej podróży, kiedy znowu pozamykam okna, umyję lodówkę i jeszcze raz porzucę dom, od czasu do czasu przypominając sobie coś tak niezwykłego i doskonałego jak stanie na ciemnej klatce schodowej i rękę chłopaka, która głaszcze moje włosy.

Jak mogłabym wyjechać teraz z Jazdu, kiedy moja praca polega na obieraniu bobu ze skóry, ponieważ ręce jego mamy, zniszczone podczas chemioterapii, już nie mogą tego robić? Kiedy tylko ja dosięgam miedzianego garnka potrzebnego do gotowania dzikich nagietków z cukrem na syrop, który zimą ukoi bolące gardła? Kiedy zaledwie wczoraj dowiedziałam się, gdzie się trzyma skrzynkę z narzędziami i który śrubokręt podać jego ojcu, kiedy trzeba zmienić plastikową osłonę na warczącym wiatraku wiszącym nad łazienką?

Nawet dźwięk mojego imienia w ich ustach, wymawianego w czasie terazniejszym i w dopełniaczu – Jennifere, Jennifero, Jenniferemun – rezonuje w mieszkaniu na trzecim piętrze w sposób, który potwierdza, że mam tu swoje miejsce. Zatem kiedy Vahid mówi do mnie: „Jenny, już czas”, brzmi to całkiem naturalnie. Oddzieleni zielonym stołem, moglibyśmy równie dobrze być nieznajomymi liczącymi resztę i siadającymi do posiłku. Na bazarze jest głośno, nawet w tej bramie słychać podawane ceny i stukanie miedzi.

– Wiem, że to wielkie ryzyko, ale chcę to zrobić – mówi. – Obserwowałem cię. Widziałem cię z moją rodziną i przyjaciółmi. Patrzyłem, jak się zachowujesz. Chcę, byś była moją pierwszą miłością.

Kluski z mąki ryżowej stają mi w gardle, ciemnoczerwony syrop nagle robi się zbyt gęsty, bym mogła go przełknąć.

Od kilku dni chcę tego samego i również go obserwowałam, marzyłam o tym, by poczuć jego dłonie poznające moje ciało. Wyobrażałam sobie, że jestem przedmiotem jego pedantycznej, skrupulatnej uwagi, z jaką wykonuje codzienne czynności, skupienia podczas namydlenia rąk nad kuchennym zlewem czy wyraźnego wymawiania słowa *salaat* przed dotknięciem głową ziemi.

W tym niegościnnym miejscu, gdzie wszystko jest takie kategoryczne i pod kontrolą, coś delikatnego potrzebuje teraz dziennego światła i wody, by wyrosnąć. Ale kiedy patrzę na mijający nas głośny tłum, niewyraźne kłębowisko kończyn ubranych na czarno i brązowo, niosących torby z zakupami oraz prowadzących dzieci, serce mi się kraje, bo przecież wszystko już wiem.

Nie chodzi o to, że jego propozycja jest niebezpieczna czy nielegalna, albo że zostaniemy aresztowani, jeśli nas przyłapią. Postawię go w sytuacji, którą tak trudno mu zaakceptować, roztrzaskam wszystkie ideały, które mu wpajano od dzieciństwa. Vahid zawsze zakładał, że będzie pierwszym mężczyzną dla kobiety, żadna inna możliwość nie przyszlaby mu do głowy. Został nauczony, że powinien oczekiwać, iż ona będzie równie niewinna jak on, że „otworzy” ją dla siebie, ona będzie jego odkryciem i zdobyczą.

Nieważne, czy akceptuję jego poglądy, czy uważam je za staroświeckie, cokolwiek zrobimy, będzie nowe tylko dla niego. Będzie poruszał się w cieniu rzeczy, które już się wydarzyły, dotknięć i pieszczot, które miały swój czas w przeszłości. Boję się, że naznaczenie go w ten sposób może być okrutne, ale boję się też, że i ja zostanę przez niego naznaczona.

Cisza między nami jest delikatna i dziwna. Czuję, że rękaw mojego płaszcza dotyka stopionego na stole lodu. Ale się nie przesuwam. Nic nie mówię. Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić – odzywa się. Jego spokój wprawia mnie w zakłopotanie. Jak to się stało, że wsiąknęłam w to nowe życie, gdzie wszystko, co robię, jest obserwowane i zapamiętywane, gdzie każdy zdaje się chcieć coś ze mnie wyciągnąć?

Przez chwilę mam przygnębiające wrażenie, że go tracę, tracę nawet samą siebie z czasów, gdy byłam młodsza. Myślę o tym, jak czułam się ignorowana przez chłopaka z Irlandii, z którym jako pierwszą poszłam do łóżka, jak wiele zmartwień przysporzył mi ten mój pierwszy związek. Najbardziej raniła mnie jego przeszłość, świadomość, że sposób, w jaki przestał być prawiczkim, uważałam za prymitywny. Był pijany, jak powiedział mi ze śmiechem, i podczas imprezy ktoś zamknął przed nim

i jakąś dziewczyną drzwi do domu. Uprawiali seks w szopie na narzędzia po tym, jak obsikał krzaki róż. Później, kiedy zaczęłam myśleć rozsądniej, w skrytości ducha potępiłam to całe zdarzenie, zawsze żałując, że nie poczekałam na kogoś lepszego, i uważając to za pomyłkę.

Przyglądam się, jak Vahid uderza czubkiem buta w szeroki otwór odpływowy pośrodku podłogi. Chociaż jest poważny, wydaje się pozbawiony trosk. Może przygodny charakter naszego związku sprawił, że wyrzucił z głowy te kwestie. Może tak jest lepiej.

– Za dwa dni wyjeżdżam. – To jedyne, co mogę powiedzieć. Te słowa niosą nieodwołalność, od której aż ściska mnie w żołądku. – Jeśli teraz to zrobimy, wszystko jeszcze bardziej się skomplikuje.

– Ale ja chcę tych komplikacji – mówi. – Chcę podjąć ryzyko.

Odwracam się, by spojrzeć na niego, i kręcę głową. Składane metalowe krzesło, na którym siedzi Vahid, szura po podłodze, gdy on pochyla się ku mnie.

– Mam ukształtowane przekonania, Jenny – ciągnie, sięgając po moją dłoń. – Chciałem uprawiać seks tylko z żoną. Ale ty jesteś dla mnie kimś innym. Po raz pierwszy w życiu czuję smak miłości i nie chcę, by to się skończyło. Wiem, że wyjeżdżasz i nigdy cię już nie zobaczę. Ale nie chcę cię tracić. Chcę mieć chociaż wspomnienia.

Nabieram kolejną łyżkę *faloodeh* i trzymam lodowatą miksturę przy ustach. Lód sprawia, że podczas przełykania czuję ostry ból gardła. Nawet bez patrzenia na drugą stronę stołu wiem, że moja odmowa musiała go zranić.

Właściciel straganu miesza zawartość miedzianej kadzi. Wydaje polecenie swojemu pomocnikowi, młodemu chłopakowi, by przyniósł talerzyki w różany wzór z sąsiednich kruzganków, gdzie zostawili je inni klienci. Stoi do nas tyłem, częściowo zasłaniając nas, gdy układa na wystawie plastikowe tubki z cukrowym syropem i bloki słodzonej pasty sezamowej.

Jemy, nie odzywając się do siebie. Nasze łyżeczki stukają o miski. Mimo że cenię Vahida i czuję do niego pociąg, w żaden sposób nie jesteśmy sobie równi. On jest dwudziestopięcioletnim muzułmaninem mieszkającym

w państwie, w którym można zostać aresztowanym za trzymanie się za ręce. Nie mogę nawet brać go pod uwagę ani mieć nadziei na coś, czego nie da się zmienić.

Przygląda się mojemu zakłopotaniu, widzi, że mówienie sprawia mi trudność. Jego brązowe oczy sondują moją twarz, puszcza moją dłoń.

– Jenny – mówi łagodnie. – Wiesz, kim dla mnie jesteś, Jenny? Jesteś *ba namak*.

– Co to jest *ba namak*?

– To perskie słowo. Oznacza słony smak. Kiedy potrawa jest *ba namak*, jest doskonale dosolona do indywidualnego smaku. Komuś innemu może wydawać się zbyt słona. Jeszcze ktoś inny może chcieć więcej soli. Ale ta właściwa osoba uważa, że jedzenie ma najwysmienitszy smak. Jesteś dla mnie *ba namak*, Jenny. Cały twój charakter – pewność siebie, twój pogodny nastrój i wszystkie twoje doświadczenia. One sprawiają, że jesteś dla mnie perfekcyjna. Tylko dla mnie.

Odwracam się, by na niego spojrzeć, jego oczy lśnią nadzieją, słowa są proste i niewydumane. Przypominam sobie, jak niewzruszona byłam, kiedy go poznałam, i jak wiele mam teraz dla niego ciepła. Dziesięć dni temu ten opryskliwy chłopak zapisał dla mnie swoje imię i adres, i byłam przekonana, że nigdy do niego nie zadzwonię i nie zobaczę go ponownie. A teraz on chce ode mnie czegoś więcej, prosi mnie o pozostawienie niedającego się zatrzeć wspomnienia, chce zatrzymać część mnie.

Szybko ocieram napływające do oczu łzy. On ponownie bierze mnie za rękę. Tym razem jego uścisk jest silny i dodający otuchy, przywraca mi grunt pod nogami i pozwala zebrać się w sobie.

Patrę w dal i widzę nasze odbicie w lustrze wiszącym na ścianie nad umywalką w kącie. Głowa Vahida pochyla się lekko w moją stronę, nasze twarze są obramowane surowymi białymi kafelkami. Podczas tej pierwszej formalnej prezentacji tego, jak widzi nas świat, pod każdym względem wyglądamy jak swoje przeciwieństwa. On ma czarne włosy, moje oczy są zielone; jego śniade ręce kontrastują z moimi bladymi dłońmi i twarzą. A jednak jestem zaskoczona, widząc, jak ładnie, a nawet imponująco, razem



wyglądamy, wcale nie niestosownie. Różnica wieku między nami stała się niewidoczna, rozbieżności gdzieś zniknęły. Jeśli już, to ja wyglądam na tę niewinną, a Vahid na tego, który tu rządzi.



Vahid zna jakąś aptekę w drodze do domu. Parkuje naprzeciw i zostawia mnie w samochodzie. Nawet o dziewiątej wieczorem jest w niej mnóstwo klientów, a długa kolejka ciągnie się na zewnątrz. Z miejsca, gdzie siedzę, widzę ludzi podwijających rękawy, by zaprezentować skórne dolegliwości i wysypki, dyskutujących o przyczynie i rodzaju kaszlu. Vahid zniknął gdzieś w tłumie ludzi tłoczących się przy ladzie, gdzie dziewczyny sprzedają wszystko, od drogich butelek szamponu L'Oréal do proszku z penicyliną w papierowych kopertkach. Kiedy wraca do samochodu, jest czerwony na twarzy, zawstydzony i cicho wzdycha z ulgą.

Wyjmuje z torby pomarańczowe pudełko. Biorę je i czytam złote literki wydrukowane na kartoniku: „Prezerwatywy Rocket Love”. Wyprodukowane w Malezji. Jest też rysunek przedstawiający balon w kształcie dużego penisa z płomieniami pod spodem. Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, co rozbawia również Vahida. Ten obrazek zupełnie nie przystaje do naszego cnotliwego, wyzbytego seksu otoczenia. Vahid znowu się czerwieni, kładąc rękę na moim ramieniu, jaskrawe pudełko jest dziwacznym symbolem tego, co planujemy zrobić.

W drodze do hotelu przemierzamy ciemne ulice bez słowa. Radio jest wyłączone, a auto głośno pracuje podczas zmiany biegów. Vahid bębni palcami o kierownicę, kładąc na niej dłoń po każdym przzerwyceniu dźwigni biegów.

– Myślałem, że jesteś chudsza i masz większe piersi – mówi nagle. – Wtedy w moim pokoju nie mogłem przestać na ciebie patrzeć. Kiedy dotykałem cię ręką i poczułem owłosienie między twoimi nogami, byłem zaszokowany, że jesteś taka brudna.

Mówi to bezceremonialnie, jakby komentował pogodę czy mecz piłki

nożnej. Po raz pierwszy w jego głosie pojawia się wulgarność. Patrząc na niego oniemiała i cała się usztywniam. Nie mówiąc tego wprost, daje mi do zrozumienia, że jestem kimś mniej wartościowym od niego i w jego mniemaniu nie ma między nami równości.

Jestem mu wdzięczna za to, że przywrócił dystans i postawił dzielący nas mur. Zrobił to za mnie, za mnie podjął decyzję, pozwolił mi zabrać mu coś cennego. Nasza ostatnia noc razem będzie więc korzystną wymianą: on poczuje się jak mężczyzna, a ja przeżyję niebezpieczną przygodę. Może kiedyś w przyszłości, która jest mu pisana, przypomni sobie o mnie z sympatią. Za dziesięć lat, gdy będzie już miał obok siebie miłą żonę i dwoje lub troje dzieci, może przelotnie pomyśli o naszej jedynej wspólnej nocy. Krótki czas spędzony w tym kraju nauczył mnie już kilku rzeczy.

Jego słowa wciąż dzwonią mi w uszach, gdy odwozi mnie do domu; raz mnie uspokajają, innym razem sprawiają, że jestem na krawędzi. Wymykam się, kiedy nadchodzi pora pożegnania, nieco poirytowana, że on się zatrzymuje i próbuje mnie przytulić. Gdy wraca do samochodu, łapię się na tym, że moje myśli wkraczają na zdradliwą, samozachowawczą ścieżkę, i zastanawiam się, czy może on już to robił wcześniej. Rozmyślam nad tym, czy przypadkiem nie jest ekspertem od wyszukiwania odpowiednich momentów do całowania się z dziewczynami i czy ten talent nie jest efektem ubocznym mieszkania w Iranie.

Czekam, aż zniknie mi z oczu, i ponownie wchodzę w ciemność, kierując się w stronę pustego bazaru. Głowę przepelniają mi pytania bez odpowiedzi, sprawy, które chcę zrozumieć. Znajduję kafejkę internetową, do której zazwyczaj chodzę. O tej późnej godzinie jest tu tylko kilku chłopców ze słuchawkami na uszach, grających w gry wideo, głośno krzyżących i strzelających z dużych, podłączonych do komputerów zabawkowych pistoletów. Nie ma problemu z zajęciem biurka stojącego w rogu, tego, które nie jest pilnowane.

Nie wiem, co chcę znaleźć i czy to w ogóle ma coś wspólnego ze mną. Ale zastanawiam się, jakie mogą być konsekwencje. Nie mam pojęcia, czy to, co planujemy, jest powszechne i czy będziemy mieć kłopoty, jeśli zostaniemy

przyłapani. Kara za seks pozamałżeński jest dla mnie czymś niewyobrażalnym, ale wiem, że kiedyś, gdzieś coś takiego się zdarzało. W tym narodzie honoru i posłuszeństwa, nadzoru i reguł sprawa niebezpieczeństwa i wolności jest nierozwiązywalną zagadką. Może ze względu na to, że pochodzę z zagranicy i jestem kobietą, Vahid zostanie po prostu poklepany po plecach i złajany za zły gust.

Kiedy ostatnio tu byłam, jakiś student pochylił się nade mną i pokazał mi sekretny adres, który pozwala ominąć irańskie restrykcje i daje dostęp do „New York Times’a” i BBC. Stawiam krzesło jak najbliżej monitora i zaczynam pisać, nie będąc pewna, czy znajdę to, czego szukam. Są tam niezliczone filmiki i zdjęcia o okropieństwach, o których już kiedyś czytałam. Widzę mężczyzn, kobiety, chłopców w wieku dwunastu, trzynastu lat, skazanych na śmierć za złamanie prawa irańskiego. Mają skrepowane za plecami ręce, pętle są już na właściwym miejscu. Tłumy ludzi zbierają się wokół nich, widać nawet dzieci; niektórzy trzymają lody, wielu filmuje telefonami komórkowymi. Dźwigi podnoszą ich powoli z ziemi, podczas gdy zgromadzeni wiwatują i krzyczą, że Bóg jest wielki.

Większość umiera w ciszy, ich twarze są pozbawione wyrazu, bez życia już w chwili, gdy są zmuszeni do stawienia się na placu. Niektórzy młodzi mężczyźni wymachują buntowniczo i uśmiechają się, kiedy ściągają im z głów worek, głośną klną i zachęcają swoich krewnych do skandowania. Jedna z kobiet jest ubrana w długi, pokryty kurzem czador, jej jedyną cechą wyróżniającą są buty do biegania na nogach. Zamyka oczy, gdy pięciu mężczyzn krząta się wokół niej i wykrzykuje: „Tamaam e!”, co ma znaczyć, że jest już gotowa. Nawet jak dźwig zaczyna jechać do góry, jeszcze do niej podchodzą, zmniejszają i poprawiają pętlę na szyi. Kiedy jej stopy odrywają się od ziemi, nogi zaczynają wierzgać, a buty desperacko pragną dotknąć twardego gruntu.

Ręce mi drżą, gdy wkładam je pod kolana, opuszczam głowę, wstydząc się tego, co właśnie obejrzałam. Zastanawiam się, czy Vahid kiedykolwiek widział coś podobnego, czy poszedł zobaczyć taką okropną scenę. Staram się wyobrazić sobie, jak przeciska się do pierwszych rzędów lub roztrąca ludzi,

by mieć lepszy widok. Ale wiem, że podobnie jak ja uznałby to za okropne widowisko, i ta myśl pociesza mnie, gdy ocieram łzy z policzków.

Odwracam się, by wyłączyć monitor, i zauważam coś, co wcześniej umykało mojej uwadze. Grupa wyprostowanych policjantów stoi w kręgu, podczas gdy stopy powieszonych zwisają ponad ich głowami. Mają na sobie ciemnozielone mundury, których zaczęłam się obawiać, takie same zacięte miny jak mężczyźni, którzy zatrzymali nas i zastraszaali kilka dni temu, których złość i ironiczne uśmiechy sprawiły, że czuliśmy się tacy malutcy.

Od tej pory jeszcze trzy razy zostaliśmy zatrzymani przez policję, raz nawet wyskoczyli na nas z krzaków w parku. Za każdym razem Vahid i ja byliśmy rozdzielani, ustawiani w pewnej odległości od siebie, a oni wypełniali swoje rutynowe zadania. Czekaliśmy sfrustrowani przez dwadzieścia minut lub jeszcze dłużej, podczas gdy oni przekazywali przez telefon dane z dowodu osobistego Vahida oraz jego adres. Ale mój strach nie przybierał na sile, wręcz przeciwnie, za każdym razem był odrobinę mniejszy. Teraz zaczęłam ich już postrzegać jako małą niedogodność. Ostatnim razem poczułam przypływ odwagi i nie chciałam oddalić się od Vahida. Odwróciliśmy się do nich plecami, gdy wyrzucali z siebie ostrzeżenia i łajali nas za uchybienie ich godności.

Nie chcę być spokojna i posłuszna. Nie chcę zachowywać się w sposób rozważny.

Wstaję z krzesła, potykam się o kable i pospiesznie nasuwam szal na swoje miejsce. Z początku to śmierdzące stęchlizną pomieszczenie z zielonkawymi plakatami na ścianach przedstawiającymi Chomeiniego oraz huk strzelających pistoletów dezorientuje mnie. Ale w drodze powrotnej do hotelu zbieram się w sobie dzięki wiatrowi, który szarpie wiszące nad głowami pajęczyny. Znow mam jasny umysł, znow stąkam twardo po ziemi i podążam znaną drogą.

To nie tak, że chcieliśmy skorzystać z mojego pokoju. Mój pokój był najgorszym, najgłupszym wyborem. Zamierzaliśmy pojechać w znane Vahidowi miejsce za miastem, do małego domku w pobliżu gór w Tafcie. Sam budynek był w ruinie, pozostało z niego niewiele więcej ponad goły

kamień i przechylony dach. Ze studni w ogrodzie można zaczerpnąć lodowato zimnej wody i przyrządzić pyszną herbatę. Pamiętałam to miejsce z pikniku, na który pojechaliśmy. Zbierałam dzikie zioła z jego mamą, podczas gdy ojciec zarzynał kurczaka na grilla i obmywał go w zimnym strumieniu. Ale gdy Vahid zapakował koc i świece do plecaka i miał wysadzić swoich rodziców pod domem doktora, oni w ostatniej chwili zmienili zdanie. Ojca nawet przestały boleć plecy. Matka natarła mu obolałe mięśnie pastą z kurkumy i cytryny. Nie było potrzeby jechać do lekarza, wysiedliśmy więc z samochodu i wróciliśmy na górę.

Powoli idziemy przez bazar, jeszcze raz omawiając nasz plan. Jest już prawie ciemno. Ludzie spieszą do domu po wieczornej modlitwie. Sprzedawca kurczaków wyłącza nieosłonięte żarówki i wyrzuca do śmietnika zakrwawione, zwinięte w rulon gazety. Przed drzwiami mieszkań kobiety leją na chodnik wodę z butelek po coli, żeby ochłodzić powietrze i sprawić, by pachniało jak po deszczu.

– Schody do mojego pokoju znajdują się za kuchnią – powtarzam. – Jeśli podejdziesz od tyłu, możesz się na nie dostać niezauważony. Musisz przejść przez małą jadalnię, ale tam nigdy nikogo nie ma.

Mija nas grupka dzieci toczących przed sobą wielką oponę. Wykrzykują słowa zachęty i ponaglenia, chcąc ją jeszcze bardziej rozpędzić. Jeden z chłopców potyka się i pozostałe dzieci również tracą równowagę, przez co opona wpada na front sklepu. Dzieciaki pokładają się ze śmiechu, gdy opona odbija się i upada, ich łobuzerska radość jest zaraźliwa. Normalnie Vahid uszczypnąłby je w policzki lub podkasał rękawy, by pomóc im ustawić ją pionowo, ale tego wieczoru jest skupiony i mija je, patrząc przed siebie.

Wczoraj w nocy, gdy leżałam w łóżku, próbując zasnąć, zastanawiałam się nad tym, czy będzie się spieszył. Czy powinnam potraktować go ze szczególną uwagą? Czy najpierw będzie chciał zobaczyć moje (brudne, nieczyste) nagie ciało i czy sama proszę się o kolejne poniżenia?

Skupiam się na tym, by stawiać równe kroki i się nie spieszyć. Vahid czeka przy drzwiach, podczas gdy ja stoję przy recepcji. Wyobrażam sobie, jak personel szczyliłby się tym, że nas nakryto, i chętnie poinformowałby o tym

policję w nadziei na nagrodę. Odwracam się i macham Vahidowi, by szedł za mną. Słyszę jego powolne, ostrożne kroki, jego przyspieszony oddech. Wymieniamy szybki uścisk dłoni. Od tej chwili nie ma już odwrotu.

Gdy się rozstajemy, idąc w różnych kierunkach, zastanawiam się, czy podobnie jak ja ma świadomość tego, że właśnie tutaj się poznaliśmy, w tym miejscu poświęciliśmy sobie tak niewiele uwagi. Kilka stóp stąd wszystko zaczęło się tak niewinnie, od słowa „cześć” i szklanki herbaty z odrobiną cukru.

Przechodzę przez dziedziniec, gdzie zauważają mnie kelnerzy. Są przyzwyczajeni do moich późnych powrotów. Lubią się ze mną przekomarzać i mówić mi, że powinnam wyjść za jednego z nich. Że to niebezpieczne, by taka ładna dziewczyna chodziła sama po mieście. Często zatrzymuję się, opowiadam o przepisach, według których gotowałam, i przysłuchuję się z przyjemnością zacieklej wymianie zdań, która potem następuje. Kłócą się i krytykują, tupią i popychają się nawzajem, mówią, jak gotowały to ich matki, upierają się, że tylko oni znają właściwy sposób przyrządzania kury z nadzieniem lub słodkiego mlecznego puddingu.

Ale dziś wieczorem jestem zadowolona, widząc, że na dziedzińcu panuje spory ruch; jakaś grupa turystów spożywa kolację i słysząc głośne śmiechy, muzykę i stukanie sztućców. Kelnerzy biegają w tę i z powrotem z talerzami i szklankami, mogą co najwyżej uśmiechnąć się i mi pomachać.

Rozkładając szeroko ręce, macam po omacku ścianę i dotykam dłońmi chłodnego kamienia. Wyciągam ręce, mając nadzieję, że dotknę jego torsu, znajomych gęstych włosów. Brnąc na oślep, uderzam w coś twardego, następnie czuję jego dłonie obejmujące mnie w talii i przyciągające do siebie. „Joonam azizam” – szepcze i rozpoznaję pieśzcotliwe słowa, którymi zwraca się do niego matka. Obejmujemy się, jego ciepły, wilgotny policzek dotyka mojego, nasłuchujemy, nie jesteśmy pewni, co moglibyśmy usłyszeć. Może biegnących mężczyzn, krzyzących: „Poszli w tamtą stronę!” i wskazujących na chłopaka i dziewczynę, którzy weszli razem na ciemną klatkę schodową.

Udaje mi się wymacać zimną metalową kłódkę, która zamyka moje drzwi,

a Vahid przyświeca mi telefonem. Skrzypienie drzwi jest ostatnią rzeczą, jaką słyszę, zanim przekraczamy próg i zamykamy się od środka. Z początku stoimy nieśmiało, mrugając w ciemnościach, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Pustka i całkowita prywatność, w jakiej się znaleźliśmy – dwa małe, ciepłe łóżka i schludny rząd gumowych kłapek na podłodze – są wstrząsające.

Wszystko zmieniło się, gdy on wszedł do mojego pokoju. To ja teraz wskazuję mu miejsce do siedzenia. Nalewam nam wody z plastikowego dzbanka. Po raz pierwszy, odkąd tu przyjechałam, odwracam drugi kubek, który już pokrył się cienką warstewką kurzu. On rozgląda się, patrzy na moje rzeczy, podnosi książki, plastikowe opaski na ramię i DVD z ćwiczeniami, którego nawet nie tknęłam. Każdy przedmiot ostrożnie bierze do ręki i odkłada na miejsce, jakby nie chciał zostawić żadnych dowodów swojej obecności. W taki sam uważny sposób zbliża się do mnie od tyłu. Kładzie ręce na moich ramionach, przyciska czoło do włosów.

– *Joonam azizam* – szepcze ponownie, jego głos brzmi jak westchnienie. Opiera policzek w zagłębieniu mojej szyi. Sięgam ręką do tyłu, by objąć go w pasie. Stoimy, przytulając się jak dzieci. Nieśmiałość, ostrożność, nieporadność i warczenie na siebie gdzieś zniknęły. Łagodnie odwraca mnie i stoimy naprzeciw siebie, czując się pewnie i śmiało, świadomi tego, co możemy sobie dać.

Wyjmuje z kieszeni szczoteczkę do zębów i pyta, czy możemy najpierw umyć zęby. Wsuwamy stopy w sandały i stajemy obok siebie przy umywalce z ustami pełnymi piany. Zwyczajność takiego zachowania jest pokrzepiająca. Przez minutę zdaje się, jakbyśmy wrócili do jego domu. Nawet spodziewam się usłyszeć jego matkę wołającą mnie, bym zaczęła kroić kalafiora, lub jego ojca chrząkającego i szeleszczącego gazetą.

Bez zapalonych świateł powinno być ciemniej. Normalnie potrzebowałabym lampy, by móc poczytać. Ale dziś wieczorem dodatkowe światło wsącza się z hotelowego dziedzińca, przenika przez grube zasłony i arkusze papieru przyklejone do okien. Pomimo głosów dobiegających z zewnątrz czuję, że jesteśmy zupełnie sami, zapominam o problemach wynikających z jego obecności w tym miejscu. Łatwiej jest stać przodem do

niego, patrzeć mu w oczy i widzieć kształt jego ust. Uwiadamiam sobie, że wciąż tak niewiele wiem o nim i o nas razem. Tylko tyle, że tutaj mężczyźni powinni przebywać z mężczyznami, a kobiety z kobietami. I wiem, jakie słowa zaraz wyszepcze.

To dziwne, że uważam je za prawdziwe. Przecież on w sensie fizycznym potrzebuje mnie i pożąda, ale jest to coś innego niż miłość. Nie jestem w stanie ocenić, ile dla siebie nawzajem znaczymy. Wiem tylko, że coś w tym jest; coś się właśnie dzieje. Oboje potrzebujemy, by spojrzeć na nas ktoś z zewnątrz, by to ocenił i opisał. W tej jednej chwili, zanim zewnętrzny świat wkroczy między nas i wszystko przerwie, chcemy trwać w wierze, że możemy się ze sobą spotykać jeszcze tysiąc razy i zrobić to ponownie.

Podaję mu swoje usta, a on kładzie mnie na materac. Mówię różne rzeczy, żeby go zachęcić. Szepczę jego imię i słyszę swoje, wyszeptane żarliwie do mojego ucha. Mogę dotykać jego skóry, chowanej pod ubraniami od niemowlęctwa, wąchać zapach wody kolońskiej, czuć ciepło jego długich palców – robić rzeczy, o których myślałam od kilku dni. Każdy kawałek jego ciała jest mi znany, a jednocześnie inny i nowy.

– Dziękuję, że mogę wejść w twoją prywatność – szepcze, wciskając mi prezerwatywę do ręki. Muszę go poinstruować i powiedzieć, co ma zrobić. Ale oprócz tego drobnego gestu, który nas oddziela i daje nam pewność, że nie pozostawimy po sobie trwałego śladu, wszystko inne, co robi, wypływa z niego samego, woli jego rąk, jego ciała.



Boję się spojrzeć na zegarek, uświadomić sobie, że na zewnątrz zapadła cisza, że świat spieszy się, by nas rozdzielić. To, że on musi wyjść, nie podlega żadnej dyskusji, bo jego rodzice nabiorą podejrzeń. Musi jeszcze wyjść stąd niezauważony. W innym miejscu byłoby to teraz tak proste, żeby zasnąć obok siebie. Zamiast tego ciemność przypomina mi, że on jest mi tylko od kogoś pożyczony, że jedyne, co musi zrobić, to wrócić do domu. Przyglądam mu się, gdy wstaje i zaczyna się ubierać. Nie okazuje



zażenowania swoją nagością w przytłumionym świetle, zakłada dzinsy i koszulę.

Owijam się kocem, na którym leżeliśmy, cicho podchodzę z nim do drzwi.

Głaszczę mój policzek, odwraca mnie delikatnie, bym patrzyła na niego.

Po jego minie widzę, że uważa, iż nie powinien mnie zostawiać, żegnać się i iść własną drogą. Doświadczam tej samej co zawsze beznadziejnej udręki. Ale jesteśmy na ostatnim przystanku, dalej nie możemy jechać. Chcę mu powiedzieć: „Nie idź. Zostań ze mną”, ale tych słów nie mogę wymówić. „Proszę, bądź ostrożny” – to najwięcej, co mogę zaoferować.

Odwraca się w stronę schodów, znika w ciemności, by wrócić do domu. Uważnie nasłuchuję odgłosu jego kroków na kamiennej podłodze i słyszę ciężkie uderzenie zamykających się za nim frontowych drzwi.

Siadam i wygładzam powierzchnię łóżka. Na prześcieradłach i poduszce są jego krótkie ciemne włosy. Z początku nie rozumiem ich znaczenia i zaczynam je strącać ręką. Ale teraz jesteśmy dla siebie kimś więcej niż kiedykolwiek mogliśmy sobie wyobrazić, w miejscu, gdzie nie ma dla nas przyszłości. Patrzę na jego włosy, wciąż przyklepione do mojej poduszki, i zastanawiam się, czy powinnam kilka z nich zachować na pamiątkę. Ale nie potrzebuję ich, by mi go przypominały. I tak nigdy tego nie zapomnę.



Nadszedł tu dla mnie koniec. Wszystko mam już spakowane. Moja torba zrobiła się nieporęczna przez trzy dodatkowe cynkowe puszki ze słodyczami z wodą różaną, które zostały do niej wepchnięte. Vahid wkłada moje rzeczy do bagażnika samochodu swojego ojca i otwiera dla mnie tylne drzwi. Jedziemy po raz ostatni, oddzieleni od siebie, ja siedzę sama z tyłu.

Mijamy ulice, które oglądałam już wiele razy, lub bardzo do nich podobne. Kredowe szosy, które od miesięcy nie widziały kropli deszczu. Wszystko jest w odcieniach brązu i beżu. Znaki są dla mnie nadal niezrozumiałymi zawijasami i hieroglifami, oprócz liczb, których nauczył mnie Vahid. Szóstka wygląda jak zwinięty sztywny wąż, a rozwidlony symbol czwórki

przypomina średniowieczną broń.

Jeżeli Vahid ma świadomość tego, co się dzieje, nie daje po sobie poznać. Z natury zachowuje kamienną twarz. Nie spodziewam się po nim wylewnych uczuć. Publiczna obojętność zawsze przychodziła mu z łatwością.

Robię zdjęcie Vahida w ostatniej chwili przed wyjazdem z Jazdu. Siedzi obok mnie na ławce przed dworcem autobusowym, w ręce trzyma bilet, który pomógł mi kupić. Jego brązowe oczy wyglądają na zadumane, a policzek podpira na dłoni z długimi paznokciami. Mówię mu, że gdybym została dłużej, zrobiłabym to, co widziałam, jak jego mama robiła ojcu: obciąłabym mu paznokcie. On odpowiada:

– Nie jedź. Zostań ze mną.

Ostrzega mnie, bym zbyt pochopnie nie ufała ludziom w Szirazie. Że nie każdy będzie taki jak on. Potem mówi, że ma krewnych w Isfahanie. Że jeśli chcę, mógłby przyjechać i spotkać się tam ze mną.

Wciska mi do ręki jakiś nawoskowany papier.

– Kupiłem ci chałwę na podróż. Jest zrobiona z pasty sezamowej i cukru, doda ci energii.

Odprowadza mnie do autobusu i podaje moją torbę kierowcy, by wsadził ją do bagażnika. Potem wchodzi do autobusu i pomaga mi znaleźć miejsce.

Patrzy na mnie, a ja nie wiem, co mu powiedzieć. Kilka dziewczyn już siedzi, obserwuje nas i coś szepcze między sobą.

Pyta dziewczynę siedzącą obok mnie, czy mówi po angielski i czy dotrzyma mi towarzystwa podczas podróży.

– Jenny, nie podam ci ręki – mówi. – Nie mogę tego zrobić, bo nie chcę przysparzać ci kłopotów. – Zostaje jeszcze chwilę, patrzy na mnie i próbuje się uśmiechnąć. – Do widzenia, Jenny – rzuca, odwraca się i powoli wychodzi z autobusu.

– To był jej chłopak? – pyta jedna z szepczących dziewczyn. – Dlaczego zostawia ją samą?

Dziewczyna obok mnie częstuje mnie ciastkiem. Odwijam chałwę na rozkładanym stoliku i dzielę się z nią. Opieram głowę o grubą zasłonę ciągnącą się przez całą długość okien i wtedy zaczynają działać silniki

autobusu.

Przez zaciemnione okna nic nie widzę. Nie mam szansy zobaczyć jego twarzy i pomachać mu na pożegnanie. Wszystko, co zostało niewypowiedziane, takim pozostanie. Wszystko, co miało jakieś znaczenie, już minęło.



## *Rozdział dziewiąty*



Po tym, jak przywykłam do pedantycznego spokoju gospodyń domowych, muszę się przyzwyczaić do tego, że jestem w kuchni z nieznanym mężczyzną. Kiedy pukam do drzwi Alego o godzinie, którą pokazał mi na palcach, otwiera ubrany tylko w jasnozielone slipy. Wydłubuje brud spod paznokci kuchennym nożem, podczas gdy ja pochylam się nad umywalką, by umyć ręce. Gdy próbuję się dowiedzieć, ile mam mu zapłacić za lekcje gotowania, tylko wzrusza ramionami i patrzy w górę na wysoki, ciemny sufit w kształcie kopuły.

Na rynku idę kilka kroków za nim. Wyczuwam, że jest trochę zażenowany moją obecnością. Raz czy dwa robię zdjęcia maleńkich, skręconych karczochów hiszpańskich i mechatych pigw, tak miękkich, że można je jeść na surowo, a kiedy później oglądam fotografie, widzę go w tle, jak patrzy na mnie bez uśmiechu, trzymając ciasno owinięte wokół dłoni plastikowe siatki pełne zakupów. W kuchni stoimy w takich samych niebieskich gumowych sandałach, opierając się niezdarnie o turkusowe kafelki, i próbujemy zaplanować nasze menu, co od razu staje się przyczyną niezgody. On preferuje kiszki i wnętrzności, które możemy rzucić na węgiel drzewny i jeść z surową cebulą; ja wolę powolne, skomplikowane przepisy na dania weselne. Kebaby z serc przeciwko ryżowi z kurczakiem i kandyzowanej skórce z pomarańczy. Ozory w sosie jogurtowym albo cała ryba nadziewana granatami i ziołami. Każdy ranek w Isfahanie zaczyna się tak samo. Szarpie mosiężną kołatkę na drzwiach Alego, otwiera mi potargany, w spranych bokserkach, po czym następują trudne negocjacje i męczące uzgodnienia.

Nie śmiem mu przypominać, że to ja tu płacę. Że kiedy tylko zapagnę, mogę sama nadziewać skrzydełka kurczaka na rożen. Zamiast tego wypróbuję technikę, której nauczyłam się, obserwując mamę Vahida: wzruszam ramionami i kręcę głową. Efekt jest taki, jakbym została okrutnie zraniona lub obrażona, zmuszona do czegoś, czego nie mam zamiaru robić. Jestem zaskoczona, że to działa.

Jedną ręką wybierając numer na swoim telefonie komórkowym, a drugą wkładając do pochłapanego tłuszczem kompaktu płytę z jakąś skrzekliwą muzyką, Ali każe mi iść na dziedziniec i zająć się pęczkami ziół przyniesionych z rynku. Siedząc na niewygodnym drewnianym krześle, odrywam od łądyg po jednym listku. To zajęcie zabiera mi prawie dwie godziny, podczas gdy on swoimi owłosionymi rękoma uciera delikatny pyłek szafranu z kostkami cukru i przepiłowuje mięso na mniejsze kawałki.

Te zajęcia zorganizowała mi Azadeh, która jest właścicielką pensjonatu w Isfahanie. Kiedy przyjechałam, otworzyła przede mną drzwi na oścież, nie mając na głowie szala, i na powitanie wykrzyknęła: „Odkryłam, że jesteś kucharką!”. Nie chciałam, by mnie tak witano, ale przypomniałam sobie pełnego desperacji mejla, którego wysłałam do niej kilka tygodni temu z Londynu. Wiem, że uczucie nostalgii było niemądre, nie chciało mi się jednak wchodzić do kolejnej kuchni z dala od Jazdu i gotować, wolałam ograniczyć się do tego, czego się tam nauczyłam. Uśmiechnęłam się więc i starałam się okazać swoją wdzięczność.

Azadeh nie przypomina Iranek, które poznałam. Podoba mi się jej leniwy sposób toczenia rozmowy, gdy siedzimy na dziedzińcu, paląc papierosy. Prosi mnie, żebym zrobiła pesto z bazylii rosnącej dziko w jej ogródku, bo chyba umrze, jeśli będzie musiała znowu zjeść „ten cholerny ryż”. Ma chłopaka z Armenii, który przynosi koniak, kiedy przyjeżdża na noc, a jego wuj przychodzi codziennie, by nauczyć ją mówić po ormiańsku. Ona chce spędzić lato w Erywaniu, gdzie odbywa się festiwal jazzowy, a czerwone wino leje się strumieniami. Nie przejmuje się formalnościami i ograniczeniami, których się spodziewałam, bez problemu narzuca swoją wolę i wyraża żądania. Wchodzi do mojego pokoju bez pukania, by zaprosić

mnie na kawę do miejsc, w których dominuje ciemne drewno, spis dań sporządzony jest odręcznie, a na ścianach wiszą obrazy. Ogląda mój szampon, moje mydło i kremy, podstawia je sobie pod nos i rozsmarowuje odrobinę na ręce, by je przetestować. Jednego ranka rzuca mi na kolana kolorowy magazyn, włoskie wydanie „Vogue’a”, które zostawiła jakaś inna turystka, po czym wkłada mi w ręce nożyczki. Pokazuje zdjęcie modelki z krótkimi włosami obciętymi na boba i prosi, bym zrobiła jej podobną fryzurę. Chyba powinnam uznać, że jej zachowanie w stosunku do osoby, której prawie nie zna, jest niegrzeczne i narzucające, ale pochlebia mi, że jestem angażowana w codzienne prywatne sprawy i mogę spełniać jej prośby. Obcinam jej długie czarne włosy i nerwowo patrzę, jak spadają na kafle podłogi niczym ciemne obłoki.

Z początku chodzę na lekcje do Alego tylko dla niej; jak dziecko podążam za nim i wykonuję jego polecenia. Ale z czasem zaczynam lubić jego szorstki, męski styl bycia i miłość do mięsa i ścięgien, a on wydaje się szczęśliwy, że nadążam z ucieraniem i siekaniem, które bezustannie mi zleca. Marchew kroimy po przekątnej w długie, grube plastry. Smażone na wolnym ogniu bakłażany ucieramy na papkę płaską stroną filiżanki. Kozieradkę, szczypior, pietruszkę i miętę, które skubię i siekam godzinami, wrzucamy do garnka z gorącą oliwą i podsmażamy, aż się zeszkłą i stracą dwie trzecie swojej objętości.

Dowiaduję się od Azadeh, że Ali gotuje zawodowo dla bogatych rodzin w Teheranie, gdzie ma żonę i troje dzieci. Ponieważ matka Azadeh jest bliską przyjaciółką jego rodziny, poczuł się zobligowany do przyjechania tutaj, gdy usłyszał, że Azadeh jest sama. Wróci do domu pod koniec lata, ale na razie zgodził się tu mieszkać i pomagać.

W niezwykle sposób Ali i ja jesteśmy do siebie podobni. Ustawia swoją okrągłą deskę do krojenia pod takim samym kątem w stosunku do dwóch plastikowych durszlaków, których używa na zmianę – do jednego wrzuca to, co trafi do garnka, drugi jest pełen obierek i ścinków. Po tym, jak się porusza, widzę, że przyzwyczaił się do tego, iż jest sam w kuchni. Jego wejścia i wyjścia sprawiają, że muszę czmychać mu z drogi, a kiedy sięga po jakieś

przybory, często trąca mnie w twarz. Kiedy pracuje, jego twarde łokcie sterczą na boki, przez co nie mam za wiele miejsca dla siebie, gdy stanę obok. Rozumiem, że jestem na drugim miejscu, a moje terytorium jest ograniczone do niewielkiego kawałka wolnego blatu z drugiej strony kuchni.

Lecz Ali potrafi być serdeczny, nawet czarujący. Bywa dumny, gdy nasze potrawy, które z wielką pompą wnosi na tacy, ułożone w bursztynowych miskach i na ceramicznych talerzach, smakują. Każdego dnia jemy posiłki w tej samej zacienionej wnęce, pod czujnym spojrzeniem szwadronu kotów. Podoba mu się, że mam apetyt, czasem śmieje się z pełnymi ustami, gdy we dwoje zjadamy porcje przeznaczone dla czterech, a nawet sześciu osób. Uczy mnie ostukiwać łyżką smukłe, długie kości, by uwolnić ze środka galaretowaty szpik. Rozsmarowujemy go na kawałkach chleba i zjadamy z resztką ryżu.

To Azadeh zachęca mnie, bym spróbowała przedłużyć wizę. Mówi, że mogę dalej zajmować pokój bez opłaty, nalega, bym była jej gościem. Od teraz, zamiast dzwonić dzwonkiem, kiedy wchodzę i wychodzę, mam używać klucza, który zawiesiła na wstążce. Ale szczerze mówiąc, rzadko gdzieś wychodzę, wolę bowiem zacisze jej domu oraz rutynę zajęć, które zajmują moje dni. Rankiem widuję się z Alim, siekam i mielę w oparach oleju unoszących się w kuchni. Popołudniami, bez umawiania się, chodzę do Azadeh.

Czasami siedzimy godzinami w słońcu na dachu, popijając świeżą lemoniadę, ubrane tylko w koszulki, z rozpuszczonymi włosami. Przez Internet ściągnęłyśmy muzykę flamenco i jazz, i gdy się ściemnia, palimy świece, owijamy się w wełniane koce i zanurzamy palce stóp w fontannie, która ciągnie się przez całą długość jej podwórka. Jeśli Ali uważa, że nasze zachowanie jest ekstrawaganckie lub niewłaściwe, nie daje tego po sobie poznać. Albo może przyzwyczał się do Azadeh i jej zachowania przy wybranych przez nią gościach. Poza tym my jesteśmy dwie, a on jeden, co, jak sądzę, jest jednym z powodów, dla których ona chce mnie zatrzymać na dłużej.

Kiedy Azadeh patrzy na mnie, nie widzi kogoś z określonym planem dnia

i listą zabytków do zwiedzenia, kogoś z jasnym rozkładem zajęć. Widzi osobę, która jej towarzyszy, kogoś, kto tak samo jak ona się nie narzuca, z podobnym poczuciem luzu i wolności, kto może wypełnić jej dzień.

Daje mi adres człowieka, do którego mam się zwrócić z prośbą – jakiś kontakt w rządzie, który jest jej winien przysługę. Na wspomnienie jej imienia, jak sądzi, podbije mi nową datę wyjazdu w paszporcie, pozwalając mi zostać dłużej, niż wstępnie zamierzałam.



Nazwy ulic w Iranie są wszędzie podobne. Upamiętniają ważne daty z islamskiej rewolucji lub istotne wydarzenia wojenne. Każde miasto ma ulice, których nazwy wiążą się z wolnością i męczeństwem; największy i najważniejszy plac nosi imię imama Chomeiniego. Czasem ulice biorą swoje nazwy od nazwisk pisarzy i poetów, jak szerokie, wysadzone drzewami drogi Hafeza lub Sa'adięgo.

Vali Asr to ulica nazwana imieniem proroka czasu, na której mieści się komisariat dla obcokrajowców. W tym szarym czteropiętrowym budynku przyznawane i przedłużane są wizy dla obcokrajowców, wydaje się zgody na pobyt lub nakazy deportacji.

Ochroniarz stojący przy drzwiach warczy na mnie, bym poprawiła chustę, zanim wejdę. Zabiera mi telefon i zamyka go w szufladzie. W środku są co najmniej cztery oddzielne kolejki ludzi czekających do okienek, w których zasiadają urzędnicy w mundurach, nieco podobni do staroświeckich kasjerów w banku.

Chociaż Azadeh nie wspominała nic o pieniądzach, jestem przygotowana. Mam świadomość tego, jaka jest ich moc. Nawet w taksówce, którą tu jechałam, kierowca odmówił wydania mi reszty z dwudziestotysięcznego banknotu, jak już go dostał do ręki. Patrząc na jego zaciśniętą pięść, można by pomyśleć, że trzyma w niej dzienny zarobek albo co najmniej równowartość ceny paczki papierosów. A to oznacza, że tutaj przywiązuje się wagę do obrotu pieniędzmi: to lekcja, z której dowiedziałam się, co jest



dopuszczalne, a co nie.

W pomieszczeniu jest mało naturalnego światła, tylko tyle, ile przenika przez poźółkłę, zakurzone rolety. Jest ciepło i duszno od ciał tak wielu ludzi. Ilość druczków, które przynieśli – od dokumentów ze zdjęciem po całe pliki papierów – wskazuje na to, że istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie tego, w której kolejce stoją, jest tu jakiś porządek i cel. Stają w najkrótszej kolejce, mając nadzieję na szybkie załatwienie sprawy; mężczyzna w okienku wydaje się podenerwowany, ale pracuje sprawnie.

Prawie wszyscy urzędnicy to Afgańczycy. Rozpoznaję ich po akcencie. Ich dialekt dari jest bardzo stary i sformalizowany. Ich perski wywodzi się ze starożytnych tekstów literackich, języka, którym kiedyś mówiono na dworach królewskich. Posługują się otwartymi, zaokrąglonymi samogłoskami, które zanikły w języku Irańczyków. Ich słownictwo i składnia są bogate i zawile. W ich mowie nie słyhać typowego teherańskiego rozleniwienia. Nigdy nie powiedzieliby *Iroon* zamiast Iran, tak jak mówią Irańczycy, nie nazwaliby swojej stolicy *Teheroon* ani nie wymówiliby *e* zamiast *ast*.

Mimo eleganckiego dialektu, a może właśnie przez niego, urzędnicy są zachwyceni, mogąc ogłupiać Afgańczyków długimi, skomplikowanymi słowami. Podają im dokumenty pełne arabskiej terminologii, bardziej odpowiedniej do umów prawniczych niż instrukcji pouczających, jak zdobyć pozwolenie na pobyt. Chociaż rząd wprowadził program ochrony języka zwany *Farsiro pas bedarim*, w którym słowa arabskie są wyróżnione i zastąpione perskimi, tutaj widocznie się tego nie praktykuje.

Afgańczycy przyjmują dokumenty z roztargnieniem. To mężczyźni mówią, podczas gdy kobiety zdają się być niemowami. Stopniowo wszyscy, jeden po drugim, odchodzą w cieniu porażki i niezrozumienia.

Kiedy docieram na początek kolejki, urzędnik na mój widok robi zaskoczoną minę, ale szybko zmienia wyraz twarzy i znów wygląda na znużonego. Za nim stoją półki i gabloty wypełnione papierami i kartonowymi teczkami; gabloty trzeba otwierać kijem, żeby móc przejrzeć ich zawartość. Stoi tam też odłączona od prądu, oszklona z przodu lodówka

na kółkach, z rodzaju tych, których używa się do wystawiana mięsa na grilla w miejscach sprzedających fast foody. Ale w środku nie ma skrzydełek kurczaka, mielonej jagnięciny, szaszłyków z kawałków wątroby i cebuli. Chcę zażartować na ten temat, czy jest może jakiś biurokratyczny powód tłumaczący obecność lodówki w tym biurze. A może jest to pomysłowy mebel do katalogowania dokumentów lub przyrząd przerzucający teczki z miejsca na miejsce. Ale wiem, że jakikolwiek żart prawdopodobnie by go zirytował, więc spuszczam wzrok i patrzę na swoje ręce.

– Czego pani chce? – pyta opryskliwie, zwracając się do mnie z pominięciem form grzecznościowych. Przypominam sobie, że Vahid powiedział mi kiedyś, iż niektórzy Irańczycy starają się traktować osoby z zagranicy z wyjątkową obojętnością, by pokazać, jacy są zblazowani i jak bardzo obcokrajowcy nie robią na nich wrażenia.

W rezultacie czuję, że zapomniałam języka w gębie. Nie mam szans na wypowiedzenie składnego zdania po persku. Mieszam czasy i zamiast słowa oznaczającego „przedłużenie” mówię coś w stylu „przeciągnięcie” wizy.

Nie ma to żadnego znaczenia, nie zatrzymuje mnie na długo. Popycha w moją stronę pod zakratowanym okienkiem skserowany formularz po angielsku. Wzrusza ramionami, gdy powtarzam nazwisko osoby, którą zna Azadeh. Już patrzy ponad moim ramieniem na rosnącą kolejkę ludzi za mną i wskazuje mi okienko numer dziewięć.

Kobieta w okienku numer dziewięć wygląda na zmęczoną, jakby każda sprawa sprawiała jej problem. Rzuca okiem na mój formularz, jak gdyby przedłużenie wizy było niezwykle i mało prawdopodobne. Prosi o mój paszport i wkłada formularz w środek. Wskazując na rząd krzeseł, mówi, żebym usiadła i poczekała, chociaż wszystkie miejsca są zajęte. Nie uśmiecha się do mnie, a ja nie spodziewam się tego po niej.

Pod kwadratowym zegarem na ścianie stoi cała kolejka czekających. Niektórzy usiedli na podłodze na zwiniętych marynarkach. Podają sobie worek sucharów. Stoję, wpatrując się w miejsce, gdzie położono mój paszport. Jest ledwie widoczny na dole stosu teczek i pospinanych formularzy. Przez kolejną godzinę nieznacznie przesuwa się do góry.

Obserwuję zdezorientowanych ludzi przesuających się powoli z końca na początek kolejki i z powrotem na koniec kolejnego, nowego ogonka. Czasem ludzie rozbiegają się w poszukiwaniu długopisu, by złożyć pospieszny podpis lub wypełnić następny formularz. Czasem rozlega się głośny krzyk i dochodzi do przepychanek, kiedy wracają i chcą zająć swoje poprzednie miejsce. Jakaś para z małą córeczką zarzuca mężczyźnie, że próbuje wepchnąć się przed nich w kolejkę, twierdząc, że już wcześniej tam stał. Niewiele osób interweniuje, by załagodzić kłótnię, która trwa kilka minut, aż do momentu, gdy wszyscy zostają wyprowadzeni na zewnątrz przez ochronę.

Personel zaczyna się zmieniać. Kończą się jedne zmiany i zaczynają następne. Ochroniarz, który zabrał mój telefon i kazał mi poprawić chustę, też już sobie poszedł. Jego miejsce zajął młodszy, gładko ogolony mężczyzna. Pracownicy jedna po drugiej zamykają swoje okienka, opuszczają metalowe żaluzje i wychodzą do małego pokoju, by się pomodlić. Kolejki zaczynają się rozpadać i tworzyć grupki, grupki zmieniają się w las ludzi. Muszę przesuwać się wzdłuż ścian, żeby widzieć, co się dzieje i czy mnie przypadkiem nie wzywają.

Jakaś kobieta przebiera w stosie teczek, pod którymi zakopane jest moje podanie. Mniej więcej co godzinę bierze kilka formularzy z góry i gdzieś je niesie. W końcu mój paszport zostaje przełożony do metalowego koszyka. Potem nareszcie kładą go na dużym drewnianym biurku, za którym zasiada jakiś mężczyzna. Obrzuca go pobieżnym spojrzeniem, a potem próbuje wyłowić mnie wzrokiem z tłumu. Kilka minut później jestem wezwana z powrotem do okienka numer dziewięć, by zabrać paszport, i cała sprawa dobiega końca. Piętnaście dodatkowych dni – w przeliczeniu na warunki przyznawania irańskich wiz to jak całe życie.

Tego wieczoru Azadeh chce to uczcić. Przynosi dwa kieliszki i wiaderko z lodem. Przygląda się nowej pieczęcie w moim paszporcie, która zajmuje całą stronę. Mówię jej, że mężczyzna, którego nazwisko mi podała, był dla mnie nieosiągalny. Ale nie jest tym ani zmartwiona, ani zakłopotana, jakby nie spodziewała się niczego innego. Przechyliła paszport, by odczytać podpis urzędnika. „Pan Hemmatipour” – czyta na głos.



## Rozdział dziesiąty



Ali tego nie wie, ale jego akceptacja sprawia, że jest mi trochę łatwiej, czuję się mniej rozdarta niż wcześniej. Ciągłe wyobrażam sobie Vahida, jak stoi sam na środku drogi, gdzie go opuściłam, i patrzy na odjeżdżający autobus. Widzę, jak śpi sam na podłodze z mamą i tatą w pokoju obok, nie mogąc nic powiedzieć, jako że oni nie mają o niczym pojęcia. W tej chwili jestem dla jego rodziców tylko wspomnieniem, ich życie wróciło do normy, podczas posiłków na obrusie stoją już tylko trzy, a nie cztery talerze.

Zanim przyjechałam na Isfahanu, starałam się o tym nie myśleć. W Shirazie, gdzie czekałam na kolejny etap podróży, próbowałam odnaleźć nową rutynę dnia i nie oglądać się za siebie. Kupiłam sobie nowy płaszcz w modnym, jak zauważyłam, stylu, z cienkiego materiału podobnego do krepy, który obejmuje mnie w talii i układa się jak sukienka. Chodziłam na spacer do grobowca poety Hafeza, gdzie każdego wieczoru z głośników wiszących na drzewach dobiegały grube męskie głosy czytające jego wiersze. Siadałam na ławkach w ogrodach intensywnie pachnących kwiatami pomarańczy i jadłam sorbet z cytryny z kluseczkami, które strzelały mi w zębach.

Vahid codziennie do mnie pisał. Krótkie mejle, czasami dwa bądź trzy jednego dnia. Pomiedzy zdaniami wyrażającymi troskę o moje zdrowie i wyrazami czułości zachęcał mnie również do próbowania różnych smakołyków. Namawiał, bym stanęła w długiej kolejce przed lodziarnią Mahdi po lody z korzenia orchidei i masy, która może ciągnąć się na kilka stóp. Opisywał sklepy *torshi* na placu Bistodoh Bahman, gdzie w wiadrach

z ziarnami kminku i octu marynuje się warzywa, korzenie, a nawet małe sosnowe szyszki. Kupiłam kalafior, pędy kaparów i małe rzepy w przezroczystych plastikowych woreczkach, podlane chochlą kwaśnej zalewy. Sprawił, że jedząc je, słyszałam jego głos w mojej głowie, tęskniłam za jego obecnością przy każdym posiłku. Czułam go przy sobie, dodającego soku z cytryny lub soli, ostukującego kostkę cukru lub kruszącego w palcach cierpki sumak.

Chociaż wiem, że już go nie zobaczę, staram się ładniej wyglądać. Kupiłam pumeks, by zetrzeć suchą skórę z popękanych pięt, balsam, by ochronić usta przed słońcem. Któregoś dnia dla kaprysu usunęłam pod prysznicem wszystkie włosy z ciała. Stałam potem przed lustrem i przyglądałam się sobie, myśląc, że będę zadowolona z rezultatu, ale poczułam się tylko samotna i opuszczona, przygotowana na intymne spotkanie, do którego nigdy nie dojdzie.

Dziwnie było znów być samą. Nie byłam przygotowana na mężczyzn w Shirazie, którzy syczeli i zaczepiali mnie na ulicy. Nie dało się przejść nawet krótkiego dystansu, aby nie być śledzoną, nie przyciągać ich spojrzeń, nie prowokować trąbienia klaksonów. Pewnego wieczoru naliczyłam, że przez trzydzieści przecznic jakiś biały samochód jechał powoli obok mnie, zatrzymując się i trąbiąc klaksonem co kilka kroków. Z całych sił starałam się nie zwracać na niego uwagi, patrzyłam przed siebie, zaczerwieniona i zirytowana, ale daleka od tego, by się poddać i go zbesztać. W końcu się zламаłam, gdy pewnego popołudnia dwóch nastolatków zapuściło się za mną w wąską aleję, szeptem powtarzając nieprzyzwoite słowa i plując mi pod nogi łupinkami słonecznika. Przygotowałam się, że narobię krzyku, jeśli spróbują mnie dotknąć, ale wokół nie było nikogo. Gdy podeszli, złapałam za aparat i zaczęłam im robić zdjęcia, co sprawiło, że uciekli.

Dźwięk głosu Vahida przynosił mi ulgę. Każdego wieczoru siedziałam w pokoju hotelowym i wyczekiwałam na telefony od niego. Jego niecierpliwość i pospiesznie zadawane pytania nie brzmiały już obcesowo. Podobało mi się, że tak energicznie domaga się informacji. Chciał słuchać o tym, co zwiedziłam i gdzie jadłam. Śmiał się i zdawało mi się, że jest

dumny, iż wszystko to zrobiłam sama. W tle słyszałam jego rodziców przekazujących pozdrowienia; czasami jego ojciec podchodził do telefonu. Powiedział mi, że tęsknią za mną, że powinnam wrócić, ale zakłócenia na linii sprawiły, że jego słowa były ledwie słyszalne.

Vahid dzwonił zawsze około dziewiętej wieczorem, ale nagle jednego dnia nie zadzwonił. Czekałam ponad godzinę, mówiąc sobie, że tak naprawdę nie czekam i że najlepiej będzie, jeśli wszystko między nami stopniowo wygaśnie. Już zasypiałam, kiedy rozległo się głośne stukanie do drzwi mojego pokoju. Zrzuciłam chustę i otworzyłam. Na progu stało dwóch mężczyzn, nerwowo przestępujących z nogi na nogę. Wyglądali na zażenowanych i trzymali w rękach śrubokręty i taśmę izolacyjną. Powiedzieli, że ktoś próbował się do mnie dodzwonić przez cały wieczór i nalegał, by przyszli sprawdzić kable. Uklękli, wykręcali coś śrubokrętami, skręcali kable, ale najpierw podparli drzwi krzesłem, by się nie zamknęły. Pięć minut po ich wyjściu zadzwonił telefon i to był Vahid. „Jak się masz?” – zabrzmiało jego powitanie, zastępujące mu zwykłe „cześć”.

Wiem, że zbeształ personel hotelowy, czym prawdopodobnie wzbudził ich podejrzliwość, więc odnotowali sobie moje nazwisko. Ale od dawna nikt tak uparcie nie próbował się ze mną skontaktować. Była wzruszona tym, jakie kroki podjął.

Oprócz tego gdy rozmawialiśmy, czułam, że zachodzi we mnie zmiana, że moja postawa staje się bardziej racjonalna. W skrytości serca na zmianę strofowałam siebie za to, co stało się w Jazdzie, i przebaczałam sobie. Za to, że grałam na uczuciach tam, gdzie nie było nikogo, kto mógłby osądzić moje zachowanie.

Ale tego wieczoru on otworzył nowy rozdział. Zaproponował, że przyjedzie do mnie, żeby się spotkać w Isfahanie. „Nie chcę ci się narzucać” – powiedział, a ja usłyszałam swój głos zachęcający go do przyjazdu: „Nie, proszę przyjeźdź, po prostu przyjeźdź”. Tymi kilkoma zdaniem udało mu się rozwiać moje wszystkie obawy i to, co zaczynałam kwestionować, znowu ożyło. I zamiast zamknąć drzwi przed tym, co według mnie było nie do pomyślenia, zaczęłam się zastanawiać, jak szybko znowu będziemy razem.

Gdy się rozłączyliśmy, próbowałam wyobrazić sobie, jakie restrykcje nas czekają, i wszystkie te rzeczy, których nie będziemy mogli otwarcie robić. Było jasne, że należy rozdzielić to, jacy byliśmy w Jazdzie, i jacy możemy się stać w nadchodzących dniach. Pod dachem jego rodziców – mimo że trzymaliśmy wszystko w tajemnicy – mieliśmy bezpieczne miejsce, aby się schować. Teraz zabraknie nam schronienia, będziemy wystawieni na obce spojrzenia, zmuszeni do przebywania na otwartym terenie, będą na nas zwracać uwagę i badawczo na nas patrzeć, a nasz nieformalny związek znajdzie się na niepewnym gruncie.



Na spotkanie wybraliśmy plac Imama, duży *meidan* o wielkości piętnastu boisk do futbolu amerykańskiego. Mamy się spotkać gdzieś w pobliżu fontann pośrodku placu, naprzeciw zapierających dech w piersi, wysokich, wykładanych mozaiką ścian meczetu Szacha. Przechodzę pod kamiennymi kolumnami zachodniej bramy wejściowej, wkraczam pod krużganki ochraniające mnie przed słońcem. Wysokie łuki z kamienia koloru miodu odbijają dźwięk taksówek jeżdżących na jałowym biegu oraz śmiech uczniów. Słyszę ciężkie kroki mułłów w turbanach, nazywanych przez Irańczyków „kapuścianymi głowami”. Ich gburowaci ochroniarze torują im drogę, spychając ludzi na jedną stronę. Młodzi mężczyźni mający nadzieję na romans z dziewczynami z zagranicy wypatrują niemieckich turystek, czekają na nie, żeby im powiedzieć, że mają piękne oczy.

Wymarzyłam sobie tę chwilę. Wiem, jaka powinna być. Mam nadzieję, że zauważy mój nowy płaszcz, to że jego kolor sprawia, iż moje oczy zdają się bardziej zielone. Wystające spod chustki włosy spięłam z boku spinką, by było widać blond pasemka, które zrobiły mi się dzięki popołudniom spędzonym na podwórku Azadeh, kiedy wystawiałam głowę i ręce na słońce.

Widzę pewną śmieszność w tym, jak się staram w ten jasny, błękitny poranek, idąc na plac, by spotkać się z chłopakiem. Na samą myśl o tym czuję ucisk w żołądku, zdenerwowanie sprawia, że kręci mi się w głowie.

Gdybym mogła o tym komuś powiedzieć, pewnie by się ze mnie śmiał, że tak chętnie daję się poderwać tutaj, w tym jednym z najbardziej beznadziejnych miejsc na świecie.

Wiem, że rodzina Vahida zgodziła się na to, by przyjechał tu za mną; w przeciwnym razie nie mógłby tego zrobić. Kiedy ojciec pożyczył mi pięćdziesiąt dolarów, a matka zapakowała do podróźnej torby *lavosh* na obiad, ogórka, miętę i ser, uważali, że jest moim gospodarzem i opiekunem. Podobało im się słodkie tymczasowe gniazdko, które uwiłam sobie w ich podmiejskim domu w Jazdzie, i pobłażliwym uśmiechem kwitowali moje zachodnie wychowanie, postrzegając mnie jako odważną w sytuacjach, gdy ich córka i siostrzenice były zamknięte w sobie i nieśmiałe, ale nigdy nie wyobrazili sobie tego, co niewyobrażalne.

Dla tradycyjnej jazdyjskiej rodziny związek był wzorem matematycznym: wprowadzano odpowiednie zmienne dotyczące wieku, urody, moralności i zamożności, a wynikiem było udane, bezkonfliktowe małżeństwo. Zatem nie mogło tak być, że ich irański syn poczuł pożądanie do kogoś starszego o sześć lat, kogoś, kto nie był cnotliwy i nietknięty. Byłam zabawnym gościem z innego świata i wkrótce powinnam do niego powrócić, pozostając jedynie tematem anegdot powtarzanych nad herbatą lub pocztówką przyklepioną do lodówki, fotografią trzymaną w pudełku po butach. Nie musieli się obawiać, ponieważ Vahid nigdy nie mógłby pokochać dziewczyny takiej jak ja.

Dostrzegam go w tłumie, zanim on mnie zobaczy. Siedzi na kamiennej ławce ze spuszczoną głową. Brązowe oczy wyglądają na zmęczone, ubranie ma pogniecione po sześciogodzinnej podróży autobusem z Jazdu. U jego stóp leży stara wojskowa torba oraz zwinięty w rulon irański namiot. Powiedział, że ma wuja w Isfahanie, ale przybył przygotowany do spania w pobliskim parku, pomiędzy podróżnymi bez pieniędzy na hotel, rodzinami, które pieką kurczaka na rożnie lub gotują wodę w czajnikach nad otwartymi płomieniami z butli gazowej. Rozpala się we mnie nieznane poczucie odpowiedzialności za niego. Znajdujemy się w nowym mieście: razem, sami.

– Cześć, Jenny – mówi, patrząc w drugą stronę, kiedy siadam obok niego.



– Wszystko w porządku?

Szybko przesuwa palcami po mojej dłoni, by dać mi znać, że jest szczęśliwy, że mnie widzi. Minęło sześć dni, odkąd spotkaliśmy się po raz ostatni. Rumienimy się i wymieniamy nieśmiałe spojrzenia, lekko dotykając się kostkami. Nigdy wcześniej nie widziałam Vahida tak zdenerwowanego. Twarz ma bardziej spiętą niż zwykle, usta zaciśnięte w cienką kreskę. Mówi mi, że starał się ubrać jak *baazgashteh*, irański emigrant powracający jako turysta. Ma na sobie o dwa numery za dużą koszulkę polo z nadrukiem logo firmy konsultingowej, którą dostał w prezencie od wuja z Ameryki. Na ramieniu zawiesił płócienną torbę z napisem „National Geographic”, wokół talii obwiązał się wiatrówką firmy Nike. Prosi, bym podała mu swój przewodnik, by cały czas mógł go nosić w ręce okładką do przodu. Ma nadzieję, że może zostawią nas w spokoju, jeśli również będzie wyglądał na obcokrajowca.

Gdy ruszamy z miejsca, uświadamiam sobie, że on tutaj nie pasuje. Czuję wyrzuty sumienia, bo zachęcałam go do przyjazdu i odnalezienia mnie, manipulowałam jego niewinnym i zaplanowanym życiem. W Jazdzie zawsze był aktywny i miał wszystko pod kontrolą, przechodził gładko z lokalnego dialektu, którym posługiwał się w rozmowie z *bazaaris* i taksówkarzami, na teherański akcent ludzi wykształconych. Był całkowicie wyluzowany, chodził, gdzie chciał, znał każdą uliczkę. Teraz musi bez przerwy pytać o drogę, przystawać na co drugiej lub co trzeciej ulicy. Rozmawia ze mną głośno po angielsku, co ma zmylić innych i przekonać ich, że jesteśmy cudzoziemcami, którzy przyjechali razem z tej samej strony świata.

Zabieram Vahida do pensjonatu i przedstawiam jako swojego kuzyna. Wkładam jego namiot pod łóżko i przynoszę mu mydło i ręcznik, by umył twarz. Nie mam pojęcia, jak mam to załatwić, wstydzę się, że Azadeh dokładnie go wybada. Kiedy przychodzi, widzę, że szkoda jej czasu dla niego, że jest kimś, kogo ona w lekceważący sposób nazywa „tradycjonalistą”. Jego formalne kurtuazyjne słowa i gesty interesują ją w minimalnym stopniu. Jej mina mówi, że mi współczuje, iż zostałam uszczęśliwiona towarzystwem takiego krewnego, i że toleruje jego obecność

na werandzie przed moim pokojem jedynie przez wzgląd na mnie.

Przygotowuję dla Vahida tacę z resztkami tego, co ugotowałam z Alim, i jemy razem lunch. Nie całujemy się ani nie dotykamy nawzajem, lecz w ciszy zanurzamy łyżki w tej samej misce i odrywamy kawałki chleba. Wystarczy mi, że siedzę obok niego i wspólnie jemy posiłek.

Isfahan powinien być romantycznym miejscem na ponowne spotkanie; to miasto z pięknymi ogrodami, drewnianymi pałacami pomalowanymi w pawie i słowiki oraz rzeką płynącą zygzakiem pod oświetlonymi mostami. Lecz w Iranie, w tym nowym mieście, zaczynamy zachowywać się jak nieznajomi.



## Rozdział jedenasty



To piąte miejsce, w którym zatrzymujemy się w przeciągu ostatniej godziny – brzeg rzeki Zayand e Rood. Kilka minut odpoczywamy pomiędzy gęstymi zaroślami *shemshod* i morwy, ale zaraz musimy znów ruszać. Siedzimy, patrząc na rzekę, i liczymy, czy jest między nami odległość pięciu rozstawionych dłoni, odległość, jaką musimy zachować za każdym razem, gdy gdzieś się zatrzymujemy. Naciągam chustę na czoło, by ukryć blond pasemka, i staram się nie wymachiwać rękoma, kiedy mówię, bo to zdradza moje europejskie pochodzenie. Rozmawiamy, patrząc na moje czarne baleriny z czubkiem lub sznurowadła jego brązowych mokasynów, dodając do tego miny niewyrażające żadnego zainteresowania. Nie wydaje mi się, żeby udało nam się kogoś nabrać.

Rzeka wyschła – nie była tak sucha od pokoleń – i zmieniła się w pofałdowaną równinę błota. Bezpańskie psy ganiają się w miejscu, gdzie powinna być woda sięgająca nam do pasa, a ptaki dziobią w kilku ostatnich kałużach, szukając robaków. Most Si o Seh normalnie odbijałby się w tafli wody, ale teraz wygląda jak wielki mur przedzielający na dwie części jakiś sporny ląd. Postacie widoczne na jego trzydziestu trzech przesłach z łatwością można wziąć za przygranicznych strażników, choć są to rodziny, które wymijają się, przechodząc na drugą stronę.

W ciągu tych kilku dni, które spędziliśmy w Isfahanie w swoim towarzystwie, doszliśmy do wniosku, że wolimy wieczory od dni, ponieważ te są dla nas ciężkie. Kiedy słońce stoi wysoko, czujemy największą presję, by się tłumaczyć przed innymi i coś im wyjaśniać. Zachody słońca są

punktem zwrotnym, po którym wszystko staje się prostsze, kiedy możemy wreszcie poczuć się odrobinę bardziej swobodnie. W narastającej ciemności rozróżniam mocno zarysowaną linię brwi Vahida oraz wyraźny zarost na jego policzkach, chociaż z rana ogolił się brzytwą.

– Zostawmy sobie resztę na jutro – mówi Vahid, a ja uśmiecham się i nieco odprężam, słysząc, że odzywa się w taki sposób.

Ociera okruszki z twarzy, podaje mi lepką reszkę figowo-miodowego ciasta, które kupiliśmy w ormiańskiej cukierni w Jolfa. Stopniowo moje uszy przyzwyczajają się do tej dziwnej perskiej gramatyki. „Ulica Ferdosi? Tam jest straszny ruch!” – wykrzykuje taksówkarz pomiędzy długimi zaciągnięciami cierpkim papierosem. „Teheran? Ludzie są tam chamscy, a miasto brudne!” – powtarzają matki swoim dzieciom, które tęsknią za atrakcjami stolicy.

On używa tej samej składni, by mówić o tym mieście i jego rzece, jego nocnych rytmach, których częścią jesteśmy. Tak samo mówi o mieszkających tu ludziach, isfahańczykach, wśród których przebywamy. Chadzają do tych samych miejsc, kupują te same przekąski – pieczoną cieciorkę i ziarna melona w rożkach z gazety, płacą za nie taką samą zawyżoną kwotę pięciu tysięcy riali. Wychodzą z domu każdego wieczoru, podobnie jak my, by zająć dla siebie kawałek brzegu rzeki.

Długie wybrukowane nabrzeża są idealne, by przyciągać legiony niezamężnych dziewczyn; chodzą w tę i z powrotem, chichocząc i zakrywając rękawem mocno umalowane twarze. Młode pary wyszukują zacienione miejsca, aby móc trzymać się za ręce. Studenci przychodzą tutaj, aby zagrać w szachy i poczytać francuskie powieści, wydrukowane z Internetu i przewiązane sznurkiem. Na trawie za nami leży na kawałkach dywanów grupka kobiet w czadorach i bez butów, ale w czarnych pończochach. Patrzą na nas z dezaprobatą, komentują coś złośliwie, podnosząc i opuszczając jardy czarnej tkaniny osłaniającej ich twarze.

Wiemy, że nie możemy zostawać zbyt długo w jednym miejscu. Boimy się nadejścia wioskowych chłopaków w połatanych koszulach i z postrzępionymi brodami, z których składają się szeregowie oddziały policji

religijnej. Wieczorami przeszukują brzegi rzeki, chcąc nakryć innych na nieprzystojnym zachowaniu i wymusić łapówki w zamian za uniknięcie wizyty na posterunku policji. Jedynym sposobem na zdobycie odrobiny prywatności i uniknięcie aresztu jest ciągle przemieszczanie się: kawiarnie, małe zacienione parki i spokojne herbaciarnie. Każdy dzień składa się ze skradzionych chwil, szeptanych rozmów i sekretnie dotykających się rąk.

Czasami mamy szczęście i udaje nam się zdobyć całą godzinę. Człowiek, który prowadzi *halim*, pozwala nam na zawłaszczenie stolika z tyłu na tak długo, jak chcemy, i jedzenie jego gęstego *purée* z kurkumą z płaskiej styropianowej tacki. W lokalu podającym *beyrooni* mieliśmy mniej szczęścia; jego właściciel spojrzał na mnie podejrzliwie znad osmolonego garnka i powiedział Vahidowi, że nie życzy sobie żadnych kłopotów. Wpychając nam do rąk ciepłe, tłuste zawiniątko składające się z owczego żołądka smażonego z cynamonem i migdałami, wyprosił nas ze sklepu; musieliśmy jeść na schodach jakiegoś zrujnowanego, zapomnianego budynku. Szczęśliwie dla nas w Isfahanie jest dużo takich miejsc. Rozkładamy gazety i jemy posiłki w blasku nokii Vahida niczym przy świecach. Jeśli się nie ruszamy, możemy spokojnie liczyć na to, że starsi mężczyźni i kobiety ze słabym wzrokiem, mieszkający w tej okolicy, przejdą obok nas.

Najgorsze są pożegnania, fakt, że musimy spędzać noce osobno, spać bez siebie. Idę po jego torbę, jedną z tych, które trzymam pod łóżkiem – z czystą koszulką, szczoteczką do zębów, *barbari* z miodem z kuchni Alego – i spotykamy się w bocznej uliczce obok ciężkich drewnianych drzwi domu Azadeh. Wydaje się, że mijają całe godziny, gdy się całujemy i żegnamy, zanim Vahid wyruszy w dwugodzinną podróż taksówką dzieloną z innymi do mieszkania wuja położonego na przedmieściach. Wiem, że dom wuja znaczy dla niego niewiele więcej niż hotel, że nie mają nic przeciwko temu, iż wchodzi i wychodzi, że użyczają mu miejsca na swojej podłodze. Ale każdego dnia rano czuję się winna, widząc, że wygląda na zmęczonego pokonywaniem dużych odległości ode mnie i do mnie.

Obawiając się o jego bezpieczeństwo, odradzam mu rozbijanie namiotu

w alejce za domem, kiedy nie chce marnować czasu i pragnie być blisko mnie, gdy się budzę. Odczuwamy już uciekające dni, pamiętamy, że za dwa tygodnie nadejdzie koniec. Nie rozmawiając o tym, wiemy, że noce przygotowują nas na to, co przyniesie przyszłość. Przypominam sobie to, co napisał mi w jednym z mejli, kiedy wyjechałam z Jazdu: „Spędzam piękne chwile w samotności, mając tylko wspomnienia”. Uświadamiam sobie, że zakochałam się w nim, że w jakiś dziwny sposób należę do niego, a on do mnie.

Zaskakuje mnie jego apetyt na seks, otwarcie się go domaga i stawia żądania. „Muszę być teraz romantyczny” – mawia ze wzrokiem przepełnionym pożądaniem. Niezgrabnie sięgamy po siebie i tulimy się jak nastolatki. Czochram dłońmi jego włosy. Chociaż jest jakieś poczucie desperacji w tym, jak się zachowujemy, pozostaje również element oficjalnego ceremoniału. Najpierw pyta o pozwolenie, wszystko zaczyna się niewinnie. Jest ostrożny, nastawiony na odmowę w przypadku, gdybym poczuła się skrępowana lub wystraszona. Ale nigdy nie odmawiam, nie mówię „nie tutaj”. W alejkach, obok rdzewiejących rowerów, pod sklepieniem bram bardziej odpowiednich dla kotów w rui i gołębi, oddaję mu się, niczego mu nie odmawiam, prawie przed niczym się nie powstrzymuję.

Czasami, gdy jesteśmy spragnieni siebie, ale na ulicach jest zbyt wielu ludzi i zbyt wiele razy musimy pospieszyć, niezgrabnie odskakiwać od siebie, przyglądając włosy i ubrania, szukamy schronienia w spokojnym korytarzu u Azadeh, gdzie opieramy się o ścianę pomiędzy wiszącymi płaszcami. Raz śmiertelnie się wystraszyłam, słysząc zbliżające się kroki Alego, wstydziłam się tego, co sobie pomyśli, gdy nas tam nakryje. Ku naszej uldze zawrócił w ostatniej chwili i usłyszeliśmy skrzypienie drzwi jego pokoju, gdy zgasił światło na korytarzu. Vahid spędził tę noc w mojej sypialni, na materacu rozłożonym na kamiennej podłodze.

Z dala od Jazdu, z dala od rodziców Vahida, budzimy podejrzenia i prowokujemy do wścibskich pytań. Ludzie przepytują go, jakby był ich synem lub członkiem rodziny, a ja czuję, że się rumienię, gdy wskazują na mnie. „Kim jest ta dziewczyna? Czy jest twoim gościem? Co wiesz o jej

przeszłości?” – pytają nieznani ludzie tłoczący się przy naszym stoliku i patrzący na mnie, jakbym była muzealnym eksponatem. Uwaga, jaką mi poświęcano, najpierw mi się podobała, ale teraz mam wrażenie, że to jest jedno wielkie nieporozumienie. Czuję się głupio i nieswojo, że początkowo brałam za podziw to, z czym naprawdę się zetknęłam: chorobliwą niechęć. Okazują mi ją w herbaciarni, gdzie pijamy schłodzone mleko z wodą różaną; w autobusie, gdy opieramy się o barierkę oddzielającą kobiety od mężczyzn. Ludzie podchodzą, by podsłuchać naszą rozmowę, poszturchują się nawzajem i szepczą na nasz temat, gapią się, gdy korzystamy z ograniczonej wolności. Udaję, że tego nie zauważam, ale wszędzie to czuję.

Zadają pytania, na które nie umiemy odpowiedzieć, poza tym nie mamy zamiaru się tłumaczyć. Tym bardziej że nie ma takiego słowa, które określałoby to, kim dla siebie jesteśmy. Nie możemy stać obok siebie w autobusach ani trzymać się za ręce w parku. Ale dbamy o siebie, chronimy się i karmimy niczym prowizoryczna rodzina, uwięziona w przedłużających się, niekończących restrykcjach. Udaje się nam zorganizować pełne czułości i seksu noce na zimnej podłodze mojego pokoju, gdzie śpimy jak jagnięta na cienkim piankowym materacu, pijemy jogurt z miętą z plastikowej butelki, w której dojrzeła i fermentuje podczas dnia. Opiekamy kebaby z serc i wątroby nad malutkim grillem, jemy flaczki owcze zatopione w misce bulionu z cynamonem i sokiem z cytryny. Gdy o świcie Vahid wymyka się z pokoju, odwraca moje buty w stronę drzwi, w stronę ciepłego isfahańskiego słońca, by w ten sposób ułatwić mi wejście w nowy dzień. Jest tak, jakby od urodzenia był przygotowywany na to, by delektować się bliskim związkiem z kobietą, i chce obdarzyć mnie swoim całkowitym oddaniem.

– Wczoraj śniłem twój sen – mówi, gdy siadamy nad rzeką, gdzie słychać śmiech irańskich dziewcząt, które powinien był wybrać zamiast mnie. Cztery lub pięć razy przeszły już wzdłuż brzegu, ich pociągłe twarze wyglądają na znudzone, zaczyna im się rozmazywać tłusty cień do powiek.

– Posłuchajcie, jak romantycznie ze sobą rozmawiają – mówi jedna z nich, patrząc na nas, przez co Vahid robi się zły i czerwony na twarzy.

– To nie wasza sprawa! – krzyczy, dodając epitet, który można

przetłumaczyć jako „gówniane dziewczyny”. Zaczynam rozumieć, skąd bierze się to, że Irańczycy tak gwałtownie i bez ostrzeżenia naskakują na siebie, nawet nieznajomi obrzucają się wyzwiskami na ulicy.

– Wczoraj śniłem twój sen, że jesteś moją żoną – mówi Vahid, odwracając się do mnie – że kochałaś mnie najmocniej na świecie i żyliśmy ze sobą w zgodzie.

Przerywają mu krzyki dochodzące z góry rzeki, po których następuje ostry, syczący dźwięk, który rozumiemy nadzwyczaj dobrze. Przejeżdżający na motorowerach chłopcy kręcą wyciągniętym palcem kółka w powietrzu, a my wraz z innymi pospiesznie zbieramy swoje rzeczy. Mężczyźni gaszą *qalyuns* i przeklinają, wyrzucając do rzeki tabakę wartą całą dniówkę. Pary rozdzielają się i dołączają do krewnych, ustawiając się w grupkach tej samej płci. Usztywnione żelem włosy są przygładzane, podwinięte rękawy opuszczane poniżej łokci. Grupa mężczyzn w oliwkowych mundurach przechadza się wzdłuż brzegu, sprawiając, że wraz z ludźmi nikną kolory i radość. Uciekamy na jasno oświetloną ulicę; idziemy równym krokiem, kilka stóp od siebie.

– Mam pomysł, by uregulować to, co jest między nami – mówi, kiedy zatrzymujemy się na placu, na którym się umówiliśmy, gdy tu przyjechał.

Słucham go, widzę blask jego oczu, gdy robi się poważny, jego skupienie i sroga mina nawet teraz mnie przytłaczają i trzymają na dystans. Zaczyna opisywać coś, o czym gdzieś czytałam, jakiś dziwny islamski zwyczaj, który położy kres wszystkim niedogodnościom. Po prostu musimy otrzymać pewien dokument, by zdobyć pozycję i zyskać wiarygodność, wyjaśnia, by móc swobodnie poruszać się po ulicach. Od razu się zgadzam, bez wahania, rozdarta pomiędzy rozbawieniem a odurzeniem jego propozycją. Mimo że zależy nam na sobie, jest to coś tak abstrakcyjnego, niemal mitycznego, jak wtedy, gdy dziewczyny zakochują się w sławnych mężczyznach w wieku swoich rodziców lub chłopcy uganiają się za popularnymi dziewczynami, które są dla nich nieosiągalne. Wciąż jesteśmy tylko żartem, brakuje nam solidnej podstawy, a wokół nas aranżuje się śluby, które mają przetrwać całe życie.



Ale ten magiczny papierek pozwoli mi korzystać z życia w pełni, otwarcie, wraz z nim, spać w tym samym pokoju hotelowym, bez strachu siedzieć na tej samej ławce. Pozwoli mi upajać się naszym nieposłuszeństwem, spróbować wspólnego życia bez ograniczeń. Wyobrażam sobie, że popycham go w żartach, podobnie jak niektóre odważniejsze pary, które trzymają się za ręce na ulicy, a nawet że kładę głowę na jego ramieniu. Dałoby nam to poczucie normalności, zanim wszystko dobiegnie końca. Bo chociaż on mawia: „Musisz do mnie wrócić,” a nawet naciska na to, byśmy zaplanowali nie tylko najbliższe dni i tygodnie, lecz również cztery lata, nie wierzę, że jak już wyjadę, uda nam się jeszcze kiedykolwiek zobaczyć. Łatwiej jest po prostu go kochać i robić to, co mi proponuje. Ale podobnie jak bywa w przypadku choroby z wysoką gorączką lub ochoty na takie samo jedzenie każdego dnia, wszystko trzeba w pełni przeżyć, zanim ostatecznie się to porzuci, zanim wejdę do samolotu i znajdę się w miejscu, gdzie nie trzeba nosić chusty na głowie, nie ma strachu, ograniczeń i żalu.

– Musisz do mnie wrócić – mówi ponownie i kiedy odpowiadam, że wrócę, czuję, że mój głos robi się bardziej szorstki, może ze smutku, może ze wstydu. Nie istnieją żadne proste słowa, by to opisać, ale obawiam się, że jest dla mnie zbyt dobry i zbyt nieskazitelny. Doświadczam tego, gdy prosi przechodzącą parę, by zrobiła nam zdjęcie, i dumnie staje obok mnie; nie obejmuje mnie ramieniem, ale daje jasno do zrozumienia, że coś dla siebie znaczymy. Rumienię się z zażenowania, niechętnie patrząc na ich sceptyczne twarze; wiem, że niechybnie zaczną nas oceniać.

Okręca kawałek drucika wokół mojego palca, by pobrać miarę, i nalega, że pójdzie na bazar beze mnie. Wiem, że nie chce, bym mu towarzyszyła, bo taki jest przesąd, a ponadto pragnie uniknąć kolejnych pytań. Wraca, wydawszy resztę swoich pieniędzy, i niesie prosty srebrny pierścionek w kształcie litery v. Wysadzany jest rzadkiem małych diamentów, zapewne z plastiku, ale podoba mi się uczucie nowości i niezwykłości, które pojawia się, gdy go przymierzam. Obracam go, tak by kamienie znalazły się z przodu, rozkoszując się jego symboliką, po czym wkładam go do kieszeni. Chociaż to wszystko jest na serio, niewiele znaczy, jest częścią rytuału, do

którego zostaliśmy zmuszeni, jedyną sensowną rzeczą w miejscu, z którego nie ma żadnej innej drogi wyjścia.

Gdy idziemy z Vahidem ciemną aleją, w której zwykle się żegnamy przed rozstaniem, zadaję pytania, ale nie czuję lęku. Finalizujemy nasze plany na jutro („Zabierz paszport, zdjęcie i pierścionek, który ci kupiłem”) i zanim się rozchodzimy, wymieniamy uścisk dłoni.

Gdyby ktoś nas obserwował, moglibyśmy uchodzić za przewodnika i turystkę ustalających trasę do pałacu Chehel Sotoon lub całodzienną wycieczkę do Ramsar, gdzie na polach uprawia się róże damasceńskie. Jedynym kluczem do zdemaskowania naszej intymności jest to, że niechętnie się rozstajemy i utrzymujemy kontakt wzrokowy, oraz szybki, niespokojny całus na dobranoc. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, jeśli odnajdziemy właściwych ludzi, ta noc może być ostatnią, którą musimy spędzić oddzielnie.

Jutro ustalimy warunki umowy, wyznaczymy czas, a nawet cenę. Jutro będę miała męża i zostanę tymczasową żoną.



## *Rozdział dwunasty*



Martwię się, że może coś źle zrozumiałam. Co będzie, jeśli on chce mnie jedynie dla seksu? A jeśli to jakaś pułapka? Ale jak już się pożegnaliśmy, ani razu nie pomyślałam o tym, by uciec lub go zostawić. Czuję się zobowiązana, żeby przez to przejść.

Pozwolę Vahidowi wskazać, którą z moich trzech chust chciałby, żebym założyła. Wytarłam ściereczką buty z kurzu, przyłożyłam się do uczesania. Nigdy jeszcze nie czułam się tak daleko od domu. Wygląda na zmęczonego, gdy się spotykamy, i widzę, że on też się denerwuje, trzymając cienką plastikową teczkę z dowodem i dokumentami z wojska. Unosi moją dłoń do ust i szybko ją całuje. „Oddaję się jej” – mówi, jakby w pokoju był jeszcze ktoś poza nami.

Fascynuje mnie to, co chce zrobić: podpisać się na dokumencie obok mojego nazwiska. Dzisiaj określi, ile czasu pragnie spędzić w moim towarzystwie, poda, ile pieniędzy zapłaci za spanie w moim łóżku. Chociaż nie dojdzie do żadnego płacenia, a czas jest umowny – pozostał nam najwyżej tydzień – z przyjemnością myślę o tym, że będzie określał te szczegóły, i uważam, że ta pieczołowitość jest romantyczna.

Gdybym musiała przełknąć krew lub związać sznurem nogi w kostkach albo skoczyć z wysokiego budynku, zrobiłabym to. Zawsze bowiem wyobrażałam sobie, że jestem stworzona do takich czynów. Prawda jest taka, że zrobiłabym to nie dlatego, że go kocham, lecz dlatego, że zawsze chciałam się tu znaleźć, dotrzeć do takiego miejsca. Być w związku, który wymaga całkowitego oddania i wielkiej intensywności.

W ogóle nie rozmawiamy, gdy wyruszamy w drogę, jedynie od czasu do czasu ocieramy się łokciami. Z początku przypadkiem, potem staram się coraz dalej wystawiać łokieć, by zderzał się z jego ręką. Wydaje się, że on tego nie zauważa, nie zwraca uwagi na to, czy się dotykamy, i po kilku minutach nie mogę tego dłużej znieść. Część mnie chce się zatrzymać i poprosić: „Popatrz na mnie”, podczas gdy reszta chce zrobić się malutka, bezbarwna i nigdy już nie przejmować się ocieraniem o niego.



Vahid jest zupełnie nieprzygotowany. Z nikim się nie umówił, nie ma pojęcia, co robić. Po godzinie mamy przepisany z książki telefonicznej tylko jeden adres miejsca, w którym powinien się odbyć nasz ślub. Po drodze kilka razy się gubimy, bo on woli pytać o drogę co dwadzieścia sekund, niż spojrzeć na moją mapę. Kiedy coś do mnie mówi po angielsku, robi to pośpiesznie, nerwowo, popełniając przy tym mnóstwo podstawowych błędów. Mimo że mam świadomość, iż to naturalne, bo oboje jesteśmy zirytowani i zniecierpliwieni, wkurzają mnie te drobiazgi. Wydaje mi się, że zagrażają realizacji naszych planów, przypominając nam, że pochodzimy ze światów, które nie powinny się ze sobą mieszać.

Kiedy zatrzymujemy się na śniadanie, żeby zjeść kawałki chleba z dżemem, które zabrałam ze sobą, mówi: „To niemożliwe”. Opowiada mi, że chciał zadzwonić do rodziców, by wyjaśnić ojcu, co zaplanował. Kręci tylko głową, bo stracił odwagę i postanowił, że najlepiej będzie, jeśli na razie zachowa to dla siebie. Rodzicom powie później, kiedy poczuje się bardziej pewny siebie. Dziś jest wystarczająco dużo do zrobienia.

Czuję przypływ zniechęcenia, gdy wspomina swoich rodziców. Nie mogę sobie wyobrazić, co powiedzą. Powtórzył mi ostatnie słowa swojej matki, zanim wsiadł do autobusu jadącego do Isfahanu: „Bądź ostrożny. Boję się, że się zakochasz”.

Kiedy docieramy do urzędu stanu cywilnego, jest tam zupełnie ciemno. Okna zasłonięto zakurzonymi roletami. Jedyne, co widzę, to duże biurko

zarzucone teczkami, które w każdej chwili mogą spaść na podłogę. Na drzwiach wisi kartka z napisem: „Jestem poza biurem”, ale nie ma żadnych dodatkowych informacji, żadnego numeru telefonu. Vahid pyta mężczyzn z sąsiedniego biura, a oni rozdziawiają usta, jakby napchali je jajkami na twardo. Ze sposobu, w jaki pochylają się, by ponad nim spojrzeć na mnie, podejrzewam, że jestem pierwszym obcokrajowcem, który dotarł w to miejsce.

Mam świadomość, że to, o co prosimy, jest postrzegane jako haniebne i tanie, wielu Irańczyków skwitowałyby to pogardliwym spojrzeniem. Religijne rodziny uważają, że *sigheh* dotyczy tylko prostytutek lub dziewczyn, które proszone są o rękę przez chłopców niemających żadnych poważnych planów względem nich. Godzą się na to jedynie dziewczyny nastawione na zabawę, takie, które pozwalają, aby chłopcy zabierali je do moteli nad Morzem Kaspijskim. Przysłuchując się rozmowom, nauczyłam się, że są dziewczyny do „zabawy” i dziewczyny do małżeństwa. Przypomina mi się kreskówka, którą kiedyś widziałam, porównująca młode Amerykanki i Iranki podczas seksu. Amerykanka zwraca się do mężczyzny: „Szybciej, wolniej, bardziej w lewo”, podczas gdy Iranka szepcze: „Nie mów nikomu. Nie mów nikomu”.

Ale nie wszyscy Irańczycy się z tym identyfikują, dla niektórych ta umowa jest kreatywnym sposobem na ominięcie przepisów. „Możecie po prostu zawrzeć tymczasowy ślub” – radzą swoim przyjaciółom, postrzegając go jako banalną formalność. To pasuje parom, których nie interesują tradycje, które wolą koncerty rockowe i oszczędzają na zagraniczne wyjazdy, zamiast wpłacać na mieszkanie lub rodzić dzieci. W dużych miastach, gdzie czynsze są wysokie, studenci korzystają z tego prawa, by móc dzielić mieszkanie z przeciwną płcią. Jedna dziewczyna, o której czytałam, miała zamieszkać z dwoma chłopakami i podpisała oddzielną umowę z każdym z nich.

Spodziewam się, że zostanę potraktowana podejrzliwie, że otrzymam najmniejszą możliwą pomoc lub wsparcie, dlatego też jestem zaskoczona, gdy jeden z mężczyzn z biura goni za nami po schodach przez trzy piętra.

Kiwa głową i uśmiecha się do mnie, po czym wciska zgnieciony papierek w dłoń Vahida. Zanim zawraca, przez chwilę zwleka i klepie Vahida po ojcowsku po ramieniu. Ten gest przywraca mi pewność, że nawet obcy ludzie postrzegają go jako niewinnego i odważnego. Przypomina mi nie tylko, dlaczego chętnie wikłam się w tę sprawę, lecz także ożywia w pamięci te jego cechy, które pierwotnie mnie pociągały, a teraz trzymają przy nim, chociaż mężczyźni naśmiewają się z Vahida, gdy rozdzielamy się w autobusach. Chociaż kpią z niego, gdy podróżuje sam. Śmieją się z jego dziwnych ubrań i wyglądu podróżnika, z wystających z jego kieszeni długopisów i kawałków papieru. Głośno przezywają go, gdy idzie środkiem autobusu, niosąc namiot: „Zaefro bebin!”. Pokazują go palcem i gapią się. „Widzicie, jak ten wieśniak się stara? Przyjechał aż do Isfahanu, tak jest napalony na dziewczyny!”. Chociaż wiem, że Vahid jest zły, gdy tak kpią, z powodów, których nie umiem wyjaśnić, za każdym razem, gdy tak się dzieje, zakochuję się w nim jeszcze bardziej.

To, że się nawzajem wybraliśmy, nie wynika z logiki myślenia. Nie przypominamy żadnych wschodnio-zachodnich par, które znam. Ani romansów zapoczątkowanych w Egipcie, Tunezji, w islamskich nadmorskich kurortach, gdzie Francuzki i niemieckie rozwódki obnażają się przed miejscowymi mężczyznami. Romansów, do których doszło przy okazji targowania się o kilimy i miedziane ozdóbki, rozpoczętych od przejażdżek na tylnym siedzeniu motoroweru na obrzeża miasta, by posłuchać muzyki Beduinów, a potem na pustynię z kocem z wielbłądziego włosia i paczuszkami kondomów.

Czasami granica nie jest dość wyraźna i kobiety biorą kunsztownie zaplanowane schadzki za miłość, za coś trwałego i głębokiego. Obietnica powrotu, zamiast zostać zapomniana, z czasem jeszcze bardziej przybiera na sile. W grę wchodzi emigracja oraz zakup mieszkania. Może powinniśmy razem otworzyć hotel? Prowadzić kawiarnię dla turystów? Okazjonalnie kobiety wracają z dwiema lub trzema walizkami, wysiadają z autobusu, ponieważ nikt na nie nie czekał na lotnisku. Pomiedzy paczuski z żytnim chlebem i musztardą, którymi chcą się żywić, zapakowały swoje marzenia

o nowym, czarującym życiu. Wyobrażają sobie egzotyczne gniazdko miłosne z batikiem i lampkami solnymi, z wirującym wiatrakiem na suficie. Targają swoje walizki przez zapyłone ulice, starając się przypomnieć sobie, na której mieszkał, i szukają Mohammada, Fouada czy Fakhira. Ale drzwi otwiera pulchna żona w chuście, z twarzą zaczerwienioną od gotowania czy prania. Jej nóg i pasa czepia się trójka lub czwórka dzieci zerkających zza długich spódnic. Na chwilę oczy kobiet się spotykają i już jest wszystko jasne, chociaż nie pada ani jedno słowo.

Podejrzewam, że Vahid, tak samo jak ja, odczuwa swoistą dumę wynikającą z przekonania, że nasza sytuacja jest wyjątkowa. Dziwnie pociągającego przekonania, że powoli otwieramy się przed sobą, przekraczając linię, która nigdy nie miała być przekroczona.

Podejrzewam, że Vahid, tak samo jak ja, uważa, że nawet wzmianka o naszym ślubie wywołuje skandal. Ale chociaż jest to ekscytujące i lekkomyślne i może nie powinno się tego brać na poważnie, Irańczycy uwielbiają tego rodzaju dramaty. Właściciele straganów, panie na zakupach i wysocy rangą oficerowie sięgają do kieszeni i wyjmują telefony komórkowe, skwapliwie wykorzystując szansę na bycie współwinnymi. Dzwonią do swoich mężów, sióstr, sąsiadów – każdego, kogo znają – próbując nam pomóc. Przyglądam się im, zerkając ponad ramieniem Vahida, gdy zapisuje nazwisko lub adres, który mu podają, lub numer telefonu osoby, która obiecała pomoc. Ich twarze promienieją szczęściem, kiedy widzą, że otrzymane od nich namiary zostają zapisane w coraz większym pliku kartek z notatkami, skreślanymi jedna po drugiej, gdy okazuje się, że prowadzą w ślepy zaułek.

Mam świadomość tego, że połowa informacji, które uzyskujemy, jest fałszywa. Że Irańczycy wolą raczej wskazać zły kierunek, niż wydawać się niegościnni i powiedzieć: „Nie wiem”. Ulice i aleje, którymi powinniśmy iść, dematerializują się, skręt w prawo, którego na pewno nie przegapimy, w ogóle się nie pojawia. Połowa numerów telefonów jest niewłaściwa, niektóre wcale nie istnieją. Czasem ludzie przywołują nas do siebie, a ja wiem, że po prostu chcą sobie na nas popatrzeć: na chłopaka z Jazdu

zachowującego się jak uczeń i zagraniczną *teflaki*, którą wszędzie ze sobą prowadzi. Praktycznie nie mam co dodać do tych rozmów, jedyne, co mogę zrobić, to uśmiechać się i poklepywać po sercu, okazując wdzięczność, tak jak nauczyłam się, przyglądając się Vahidowi, gdy dziękuje ludziom, którzy nas karmili, szli z nami przez kilka metrów, by wskazać nam drogę, mówili, żebyśmy się nie martwili, pokrzepiająco kiwali głowami. Mówię długie perskie podziękowania znaczące „nie bądź zmęczony” i życzę im, by nie bolały ich dłonie. Sączę ich słodką herbatę, martwiąc się, że tracimy za dużo czasu.

W końcu Vahidowi udaje się dodzwonić do kogoś, kto piastuje jakiś urząd. To krok bliżej do dokumentu, którego potrzebujemy, by zalegalizować nasz związek. Kobieta przy telefonie pyta, czy mamy dokumenty tożsamości i czy możemy dotrzeć na spotkanie po południu. Vahid odpowiada, wyraźnie literując nasze nazwiska, a kiedy dochodzi do mojego, następuje długa pauza. Dwa lub trzy razy powtarza słowo „Kanadyjka”. Po wyrazie jego twarzy widzę, że jego rozmówczyni używa słów, które słyszeliśmy dziś już kilka razy – wyjaśnia mu powody, dla których „jest to niemożliwe”.

Mówi, że nic nie może dla nas zrobić, ale daje mu numer telefonu do kogoś innego, kto według niej może pomóc. Twarz Vahida zachmurza się, kiedy powtarza słowa „specjalny mułła” i zaczyna zapisywać numer telefonu.



Ustalamy z mułłą, że spotkamy się z nim pod adresem znajdującym się na obrzeżach miasta, dokąd musimy pojechać taksówką. Budynki w tej okolicy są pozbawionymi wdzięku, brzydkimi wysokościami. Woda tryska przez otwarte kanały biegnące przez całą długość ulic. Vahid sprawdza adres, mrużąc oczy, by przeczytać to, co sam napisał. Idziemy w dół alei, gdzie nad naszymi głowami łopoczą rozwieszane na balkonach prześcieradła i ręczniki.

Podążam za Vahidem przez zakurzone pasáže aż do małego placu, gdzie w plamie słońca leży wychudzony pies bez ogona. Pies spina się, jest gotów do ucieczki, kojarząc nadejście ludzi z nadlatującymi w jego stronę



kamieniami.

Vahid dzwoni do mułły, by powiedzieć mu, że jesteśmy na miejscu, i zaraz potem mężczyzna wychodzi z jednego z budynków. Jest otyły i porusza się ociężale, jego długa broda jest postrzępiona i zaniedbana. Długie, ponure szaty prawie ciągną się po ziemi, a na czubku jego głowy spoczywa turban. Na palcu ma pierścień, od którego odbija się promień słońca: szeroką srebrną obrączkę z kwadratowym czarnym kamieniem. Gdy się zbliża, nie umiem powiedzieć, czy wygląda dobrodusznie, czy złowieszczo. Zerkam na Vahida, szukając podpowiedzi, spodziewając się, że i jemu udzielił się mój niepokój, ale on ma jakieś specjalne moce; z jego postawy można wyczytać niezachwianą pewność siebie. Dlatego stoję jak przyrośnięta do miejsca, wciągam dużo powietrza i wstrzymuję oddech, przygotowując się na złośliwości i pogardę.

Vahid wyjmuje z marynarki i podaje mi mały bukietek białych kwiatów, które wyglądają zaskakująco świeżo po długich godzinach spoczynania pomiędzy warstwami jego ubrania. Ten gest czyni tę chwilę niezwykłą, rekompensuje nam kurz, muchy, ściek płynący tuż przy naszych stopach. Vahid nie musi się martwić; wszystko doskonale mi pasuje, ten pośpiech, to praktyczne podejście do sprawy, które znam od zawsze – tutaj, w miejscu, gdzie żadne z nas prawie nikogo nie zna, gdzie nie patrzy na nas ani jeden członek rodziny.

Widzę, że rozpira go duma, i wszystko zdaje się jaśniejsze i wyraźniejsze. Chcę mu powiedzieć: „Kocham cię” – tych słów nigdy wcześniej ode mnie nie słyszał – ale wiem, że teraz nie pora na takie rzeczy. W tym, co zamierzamy zrobić, jest coś beznamiętnego i oficjalnego. Z naszej strony pada tylko kilka słów. Tak właśnie manifestowaliśmy naszą zażyłość w miejscach publicznych. Jesteś głodna? Chcesz usiąść? Mam to wziąć od ciebie? Te pytania są dowodem na to, że troszczymy się o siebie, że przestaliśmy występować w liczbie pojedynczej. Okazywanie sobie uczucia w niebezpośredni sposób ma sens: miłość skrywa się za troską. Podejrzewam, że nawet gdybyśmy byli gdzieś indziej – w Rzymie lub Paryżu, gdzie pary całują się w parkach i na ławkach – pozostalibyśmy w tej

kwestii powściągliwi.

– Nie zajmie nam to dużo czasu – zapewnia nas mułła – tylko kilka minut.  
– Pyta o nasze nazwiska i podaje rękę Vahidowi. Mówi mu, że ładnie razem wyglądamy. – Ładna z was para. Bardzo ładna. – Stajemy blisko siebie. Ja zajmuję miejsce przodem do niego, a Vahid stoi z boku. Mułła jest tak blisko, że widzę pory na jego twarzy, błyszczącą w mocnym słońcu tłustą skórę na nosie.

Mówi tonem mniej poważnym, niż się spodziewałam, ale brzmi dość sympatycznie. Zwraca się do mnie jak pocieszający pacjenta lekarz, który danego dnia widział już dziesiątki takich przypadków. Prosi mnie o powtarzanie po arabsku słów, które są dla mnie niezrozumiałe. Niczego nie wyjaśnia. Vahid też niczego nie tłumaczy. Po prostu stoi blisko mnie i uśmiecha się zachęcająco, przyglądając się, jak wykrzywiam usta.

Najpierw myślę, że to nasza przysięga małżeńska, ale potem Vahid próbuje coś powiedzieć. Z mieszkań nad nami słychać jakiś hałas, otwierają się dziesiątki okien, co odbija się echem po ulicach.

– *Haji Agha* – przerywa wreszcie Vahid i pyta, ile ta ceremonia będzie kosztowała. Wtedy dopiero rozumiem, że zdania, które powtarzałam, dotyczyły uznania Boga i Mahometa jako jego proroka; było to szybkie nawrócenie na islam. Jestem zaskoczona i upokorzona, że nie domyśliłam się, co się dzieje. W duchu godzę się z tym, co się stało, wiedząc, że później i tak to odrzucę, jako że przez całe życie odrzucałam wszystkie religie.

– Ile chcesz za... pomoc? – powtarza Vahid, posługując się najbardziej uprzejmą formą gramatyczną. Mułła i Vahid odchodzą na bok, liczą na palcach i na zmianę wznoszą ręce do góry, by podkreślić swoje racje. Vahid ponownie zostaje poklepany po ojcowsku po plecach, a potem żartobliwie szturchnięty. Ale tym razem już mi się to nie podoba. Uświadamiam sobie, że jesteśmy bezbronni i zdesperowani.

Stoję na ulicy, poddaję się doniosłości i dziwności tego, co się dzieje. Dzieci zaczynają się gromadzić wokół nas, pokazują palcami i się śmieją. Nie miałam do tej pory okazji, by się rozejrzeć, moją uwagę pochłaniało poprawianie szala, by znajdował się na właściwym miejscu. Nie chciałam

zostać odesłana przez taki szczegół, gdy wreszcie udało nam się tu trafić. Po raz pierwszy zauważam, że na rogu jest sklep rzeźnika. Czuję zapach surowego mięsa, widzę wiadra wypełnione porąbanymi kawałkami kości. Wiszą tam też tusze, wokół których latają muchy, i kołyszą się na wietrze w przód i w tył.

„Kobiety są jak morwy – powiedział mi raz jakiś człowiek – przyciągają muchy i osy. Musisz sobie znaleźć pszczołę – dodał, pochylając się nad stołem i przewiercając mnie wzrokiem – żeby odgoniła muchy i osy”.

Przed sklepem rzeźnika stoją dwie przywiązane do słupa kozy. Patrzą na mnie swoimi prostokątnymi oczami w paski. One będą jedynymi świadkami mojego dziwnego, byle jak zawartego małżeństwa, co potwierdzają, srając ciepłą, na w pół strawioną trawą. Mam ochotę rozwiązać ich sznurki lub przynajmniej podrapać je pod brodą, okazać im odrobinę dobroci w tym oszałamiającym dniu.

Głosy przybierają na sile. Słyszę śmiech muły. Mówi Vahidowi, że jeśli pochodzi z Jazdu, to musi być bogaty. Za dokument, który da nam wolność, chce dostać pięćset dolarów, równowartość przeciętnej miesięcznej pensji. Długo rozwodzi się nad tym, jak naraża na szwank swoją reputację, ale po chwili przestaje go słuchać.

– Jeśli ona popełni jakieś przestępstwo, to ja zostanę pociągnięty do odpowiedzialności – mówi i wskazuje na mnie. – Na akcie ślubu będzie moje nazwisko. Nie mogę tego zrobić za mniej niż trzysta dolarów, to i tak o dwieście mniej, niż normalnie sobie liczę: daję wam specjalną zniżkę, bo jesteście miłą parą i oboje tacy młodzi.

To, o co Vahid się sprzecza, nie jest związane ze mną, no, może dotyczy mnie w niewielkim stopniu. Jego duma każe mu to załatwić osobiście, postarać się, by nie zabrano nam tego czasu, który możemy spędzić razem.

„Ilu ludzi stało tu przed nami – zastanawiam się – odpędzając te same muchy w tym samym gorącym wietrze? Młode pary, które wymknęły się z Teheranu, wdowy, które doraźnie zajmują się prostytutką, samotni biznesmeni przybywający z południowych portów, pragnący seksu. Ilu z nich przekazało temu człowiekowi koperty zawierające pięć tysięcy tomanów<sup>[6]</sup>

w nowych banknotach, w zamian za jego specjalne zniżki dla ponoć wyjątkowo miłej pary?”.

Oboje chcemy tylko jednej rzeczy: by przestał się upierać i rzucać nam kłody pod nogi. Wciąż mam nadzieję, że jego oblicze złagodnieje, że podniesie ręce w geście poddania i powie: „No dobrze, niech będzie trzydzieści dolarów”. Chociaż mam przy sobie taką sumę, to nie ja decyduję, nie mogę sama zapłacić za ślub. To byłoby gorsze dla Vahida, niż gdyby miało w ogóle nie dojść do ślubu.

Nie pada już ani jedno słowo, negocjacje dobiegają końca. Skręcamy za róg i z powrotem znajdujemy się na ruchliwej ulicy. Widzę, że Vahid jest zły, a jego godność została nadszarpnięta. Mam sucho w ustach, bo zbyt długo nic nie mówiłam. Oczy robią mi się czerwone od słońca i kurzu.

Zapewne nie pasujemy do tego miejsca. Nie wyglądamy jak ludzie, którzy chcą się pobrać. Zamiast nadszarpnąć z klasą, idziemy piechotą. Zamiast sprawiać wrażenie wyelegantowanych i zadbanych, jesteśmy zgrzani i przybrudzeni. Czuję się idiotycznie, jak naiwna nastolatka zaślepiona nic nieznaczącymi gestami i wyobrażeniem miłości. Ruch na drodze, obolałe nogi, włosy, które ułożyłam inaczej niż zwykle, oszołomienie, poniżające dobijanie się i wydzwanianie – wszystko po to tylko, by znowu usłyszeć: „To niemożliwe”.

Przez chwilę myślę, że chyba go straciłam, że zacznie się ode mnie odwracać. Mam ochotę płakać ze zmęczenia i rozpacz, twardy grunt, na który zaczęliśmy wchodzić, osuwa nam się spod nóg.

– Może świat nie jest na nas gotów – mówię mu.

– Albo może to nie musi tak wyglądać – odpowiada. – Ciągłe chcę wszędzie z tobą chodzić i stać u twojego boku. Będę trwał przy tobie, dopóki stąd nie wyjedziesz.

Żadna para nie wygląda bardziej smutno i bojaźliwie. Podnoszę rękę i dotykam jego policzka. Stoimy pośrodku chodnika, obok nas przechodzą ludzie i pędzą samochody.

– Kocham cię – mówię. Uśmiecha się i lekko potakuje. Po jego policzku płynie łza. Zakładam pierścioneł, który cały czas miałam w kieszeni. Jeden

z diamentów już się obłuzował i może zaraz odpaść.

Obok nas zatrzymuje się jakiś samochód i trąbi klaksonem. Młody człowiek opuszcza szybę i się wychyla.

– Podwieźć was do miasta? – pyta. – Mogę was zabrać. Jadę w tamtą stronę. – Z grzeczności Vahid siada obok niego na przednim siedzeniu, a ja zajmuję miejsce z tyłu. Mężczyzna uśmiecha się do mnie w lusterku, po czym odwraca się i zaczyna rozmawiać z Vahidem.

– Byłem u rzeźnika – mówi. – Widziałem was u tego duchownego. Wszyscy w okolicy go znają. Dorobił się nawet przezwiska Haji Poolaki. Interesują go tylko pieniądze. Słynie z tego, że domaga się łapówek. Widujemy tu pary płacące nawet po osiemset dolarów, a i wtedy próbuje ich przekonać, by dali mu więcej.

Mówi, że dobrze, iż mu nie zapłaciliśmy, że pewnego dnia tacy ludzie znikną z Iranu na zawsze. Proponujemy mu pieniądze za przejazd, zanim wysiadziemy z samochodu, ale nie chce o tym słyszeć i uśmiecha się, kręcąc głową. Ponownie Vahid zostaje poklepany po ramieniu niczym młodszy brat. Mężczyzna życzy nam powodzenia i odjeżdża.

Jest już prawie trzecia po południu, gdy znowu wracamy na ulicę. Jesteśmy spokojni, ale czujnie się rozglądamy, jakby miał nam się ukazać jakiś znak. Mijamy warsztaty samochodowe, skąd na chodnik lecą pomarańczowe iskry. Piłują tam metalowe części i uderzają nimi tak głośno, że odskakujemy i zatykamy sobie uszy. Przywykłam do chodzenia za Vahidem, który prowadzi w określonym kierunku, ale po raz pierwszy odnoszę wrażenie, że nie mamy dokąd pójść. Oboje milczymy i jesteśmy źli, bo uparliśmy się na coś, co nam nie wyszło. Zostaliśmy pokonani, próbując się zbuntować, i upadliśmy na twarze z poczuciem niespełnienia.

Unikamy rozmowy o tym, jak poradzimy sobie dziś wieczorem. Lub jutro. I co zrobić z biletami autobusowymi do Kaszanu, które trzymam w ręce. Dokonaliśmy rezerwacji dziś rano, by zatrzymać się w jakimś rodzinnym pensjonacie. Nazwa tego domu, Noghli, oznaczająca słodzone migdały, które Irańczycy rzucają na ślubie, wydawała nam się doskonała. Pensjonat leży w pobliżu różanych pól, na których uprawia się odmianę damasceńską.

Sądziłam, że to idealne miejsce na początek.

Burczy mi w brzuchu. Nie jedliśmy nic od śniadania. Dzień był zbyt intensywny, by myśleć o jedzeniu. Ale gdy mijamy stragan, przy którym na chodniku stoi kilka drewnianych stołków, zatrzymujemy się i postanawiamy kupić sobie coś do zjedzenia. Jestem rozczarowana, dowiadując się, że sprzedaje się tu tylko puddingi, coś, na co nie mam apetytu. Ale gdy się pochylam, by zobaczyć, co sprzedawca ma w bulgoczącym garnku z ryżem i zagęszczonym mlekiem, poddaję się i wskazuję palcem na gorące *fereni*. To mieszanka mleka, kardamonu i wody różanej zagęszczonej skrobią ryżową, którą nauczyłam się gotować od matki Vahida. To była pierwsza potrawa, którą Vahid i jego siostra jedli jako dzieci. Gotowała ją prawie codziennie. Pamiętam, że łzy napłynęły jej do oczu, gdy mieszała ją widelcem i pokazywała, jak otwierali swoje małe buzie, widząc zbliżającą się łyżeczkę. Zajęłam jej miejsce przy kuchence, gdy ocierała oczy rękawem.

Wyczerpani, opadamy na stołki. Jemy zachłannie, prawie nie podnosząc oczu znad potrawy. Szybko docieramy do dna naszych plastikowych filiżanek i Vahid wstaje, by kupić drugą porcję. Popołudniowe słońce opada i niemiłosiernie grzeje. Drzewa nad nami dają niewiele cienia. Rząd sklepów sprzedających „fashen”, czyli modne ciuchy, otwiera się ponownie po przerwie na lunch, manekiny niesione są w pozycji horyzontalnej i ustawiane na ulicy. Opięte koszulki z wymyślnymi logo dla mężczyzn. Różowe trencze i *rousaris* dla dziewczynek. Z głośników umiejscowionych wewnątrz sklepów ryczy głośny remiks utworów disco i *bandari*, granej na bębnach z koziej skóry. Zbliża się końcówka dnia. Kilka matek z dziećmi przechodzi pomiędzy starszymi mężczyznami, którzy rzucają pety papierosów na chodnik.

– *Salut!* – dochodzi mnie rozentuzjasmowany głos. Widzę, że macha do mnie jakiś człowiek stojący po drugiej stronie ulicy. Jest ubrany w takie same długie szaty jak muła, który nas wcześniej odprawił, ale musi być co najmniej o dwadzieścia lat od niego młodszy. Ma rumianą, okrągłą twarz.

Energicznie przedziera się przez tłum. Nie ma w nim arogancji typowej dla innych przywódców religijnych, których widziałam. Mimo grubych ubrań,

które ma na sobie, jego krok jest lekki i idzie wyprostowany. Przypomina mi studenta w drodze na wykład.

– *Vous parlez français?* – pyta, uśmiechając się do mnie. Kiedy potakuję, rzuca torbę na ziemię i zajmuje miejsce Vahida.

Mówi do mnie w sposób nadmiernie poufały. Poklepuje mnie po ramieniu. Patrzy głęboko w moje oczy. Czy znam Paryż? Czyż nie jest to najpiękniejsze miasto świata? Czy stałam przed Notre Dame o zachodzie słońca i widziałam światło odbijające się od tysięcy kawałków szybek witraży? Minęły lata, odkąd po raz pierwszy znalazłam się na kontynencie europejskim i podziwiałam miejsca, które on opisuje. Czuję irytację, że przypomina mi o nich właśnie teraz, podaje informacje i szczegóły, które nie mają nic wspólnego z tym, co jest tutaj. Pochodzą ze świata, który opuściłam tymczasowo, lecz w pełni. A teraz znowu jestem w niego wciągana.

Przypuszczam, że to jego naturalne zachowanie, że nie byłby inny, gdyby został fryzjerem lub jednym z kupców na bazarze. Przechodnie zerkają na nas, ale on ich nie zauważa albo się nimi nie przejmuje.

Tak naprawdę nie dziwi mnie jego sposób bycia. Wielu ludzi, których poznałam, będąc za granicą, zachowuje się w ten sposób. Jest pewna liczba europejskich symboli – katedr, kanałów, wiosek z drewnianymi chatkami i czerwonym geranium kwitnącym w skrzynce na każdym parapecie – które odróżni cenią, wspominając je z nostalgią.

Jego zainteresowanie moją osobą jest powierzchowne, więc i ja tylko potakuję i kręcę głową w odpowiedzi na jego pytania. W najmniejszym stopniu nie interesuje go to, co myślę. Głośno wciąga powietrze, łączy palce i kciuki, przewraca oczami, jakby się rozmarzył.

Mrowienie zaczyna się w moim brzuchu i rozchodzi na całe ciało. W tłumie szukam twarzy Vahida. Już do mnie wraca, w rękach niesie kubeczki ze słodkim przysmakiem. Kiedy nas zauważa, przystaje. Młody muła wciąż się uśmiecha omdlewająco niczym nastolatka. Nie potrzebuje instrukcji. Wiem, co robić. Ostrożnie pochylam się w jego stronę.

– Chcesz wyjść za mąż! – wykrzykuje. – Ale dlaczego? Za kogo?

Vahid występuje do przodu, wyciąga rękę, pozdrawiając go: „Niech Pan

będzie z tobą”, a na twarz młodego mułły pojawia się uśmiech zrozumienia.

– Aha! – krzyczy. – Rozumiem. To okropna sytuacja dla człowieka. Pamiętam, że i ja się z nią zmagalem podczas studiów w Paryżu. Przez wiele miesięcy byłem otoczony pięknymi Europejkami, moje ciało płonęło z pożądania seksualnego, które musiałem zaspokoić.

Słucham zaskoczona, patrząc raz na niego, raz na Vahida. Mina Vahida uświadamia mi, że nic z tego nie rozumiał. Przechyliłam głowę i uśmiecham się do niego. Ostrożnie przysuwa sobie trzeci stołek.

– Pomógłbyś nam? – pytam mułłę wciąż po francusku. – Potrzebujemy pomocy, by mieć jakąś ochronę.

Głośno przełykając, wyjaśniam, że mieliśmy mnóstwo problemów z policją w Jazdzie, że chcielibyśmy być w zgodzie „z Bogiem”.

– Oczywiście! – odpowiada i ponownie się uśmiecha; wygląda na zachwyconego. Sięga po swoją torbę, ale Vahid jest już gotów i podtyka mu swój notes i długopis.

– Na jak długo chcecie się pobrać? – pyta mułła. – Mówiłaś, że wyjeżdżasz za tydzień?

Odwracam się do Vahida i mówię do niego po angielsku, po czym przekładam mułle jego odpowiedzi na francuski. Podoba mi się fakt, że siedzę pomiędzy nimi i tłumaczę, oraz jego przychylny uśmiech z jednej strony i wyraz zaskoczenia na twarzy Vahida z drugiej.

– Cztery lata – odpowiadam.

Mułła patrzy na mnie, jakbyśmy stracili rozum.

– Weźcie cały rok, starczy wam – mówi. – A potem możecie przedłużyć o następny.

Nasza sytuacja jest wciąż niepewna, nie chcę niczego zepsuć, więc zgadzam się na te warunki.

– Ile ci zapłaci? – pyta, a długopis tylko śmiga po kartce.

Patrzę na Vahida.

– Tu naprawdę nie chodzi o pieniądze. Nie musi mi niczego dawać.

– Oj. Musisz zażądać co najmniej tysiąca dolarów – naciska.

– *D'accord* – zgadzam się. Widzę, że Vahida zżera ciekawość, aż



przygryza wargę.

Muła zwraca się do Vahida i podaje mu długopis, pokazując, gdzie powinien złożyć podpis, miejsce obok czeka na mnie. Poniżej muła zapisał swoje nazwisko i adres *madresseh*, szkoły teologicznej, gdzie studiuje islam, oraz swój numer telefonu. Tłumaczy nam, że gdyby ktoś kwestionował autentyczność naszego związku, musimy mu powiedzieć, żeby się z nim skontaktował bezpośrednio.

Wokół nas zbiera się grupa ludzi, gdy Vahid podpisuje dokument. Wielu przechodniów zatrzymuje się na ulicy. Kilku innych gapi się na nas z samochodów. Staram się zachowywać nonszalancko, powstrzymać ulgę i radość, by się nie zarumienić. Ludzie desperacko starają się zajrzeć mulle przez ramię, by się dowiedzieć, co się dzieje.

Nagle wszystko dobiega końca, dokument jest starannie złożony i schowany, cała ceremonia kończy się tak szybko, jak się zaczęła. Muła pochyla się, by pozbierać swoje rzeczy. „Bonnes relations sexuelles” – życzy nam i macha do nas; jego szaty powiewają, gdy odchodzi. Zostajemy my, niespodziewanie jako małżeństwo, z plastikowymi kubeczkami wciąż spoczywającymi na naszych kolanach. Obok mnie siedzi mój nowy mąż. Obok niego jego nowa, tymczasowa żona.



Kaszan jest pierwszym miejscem, w którym naprawdę nikogo nie znamy. Nie ma tam żadnych wujków ani cioć. Żadnych podłóg u kuzynów, na których sypiał Vahid. Kiedy rozmawiał ze swoją matką, powiedział jej, że zatrzyma się w tanim schronisku dla podróżujących studentów; chętnie zaakceptowała to kłamstwo, nie zadając żadnych pytań. Jestem zaskoczona, że o nic nie podejrzewa swojego syna i wierzy, że wróci do rodziców mniej więcej taki sam, jak wyjechał. Świadomość ta sprawia, że momentalnie czuję przypływ siły, zdolnej rozsadzić ich uśpiony od dekad układ.

Ledwie co zdążamy. Żeby złapać autobus, musimy przebiec kładkę dla pieszych i zbiec na dół po schodach. Martwię się, że Vahid uderzy kogoś

swoim czerwonym namiotem, który w pewnym momencie niemal spada mu z ramienia na ziemię. Machamy rękoma jak wariaci i zdyszani dobiegamy na miejsce w chwili, gdy silniki autobusu już pracują.

Szybko wstawiamy plecaki do luku bagażowego, a kierowca głośno trzaska klapą. Pokazuje nam, że mamy wsiadać, rzuca na ziemię papierosa i rozgniata go nogą.

Autobus o tej porze jest już pełny, w przeciwieństwie do prawie pustego, którym jechałam z Jazdu. Siedzą tam starsi ludzie oraz studenci. Niektórzy z nich już śpią z głowami przyciśniętymi do szyby, inni są pogrążeni w świecie słuchawek i gier wideo.

Znajdujemy dwa wolne miejsca obok siebie i siadamy z ulgą i nadal bez tchu. Podciągamy kolana w tej niewielkiej przestrzeni i czujemy, że to wcale nas nie ogranicza – choć raz świat możliwości stoi przed nami szeroko otwarty. Chociaż nie nazywamy tego miesiącem miodowym, oboje czujemy, że zmienił się nasz status, mamy to samo poczucie, że stanowimy jeden zespół.

Trzymamy bilety, by kierowca mógł je sprawdzić, a on kilkakrotnie przechodzi wzdłuż rzędów. Jego wahanie zdradza, że ma zamiar nas rozdzielić, i zastanawia się, w jaki sposób usadzić innych pasażerów. Uważa, że chroni moją reputację, nalegając, by Vahid zajął miejsce z tyłu. Normalnie Vahid bez słowa ruszyłby na koniec autobusu, ale nasz kawałek papieru sprawia, że jesteśmy odważni, bardziej pewni siebie, więc Vahid zostaje przy mnie, broniąc swojego miejsca. Kierowca przemierza całą długość autobusu, a Vahid sięga po plecak, przygotowując się do wyjścia.

Kierowca wraca, staje, przygląda nam się przez chwilę. Może wyczuł już naszą poufałość i bliskość. Mamrocze coś do Vahida i gestem wskazuje, że może zostać tam, gdzie jest.

Słońce zachodzi, niebo jest ciemnoróżowe. Dwugodzinna podróż upływa w ciemności. Po tym trudnym dniu nawet jazda autobusem zdaje się dużym osiągnięciem. Vahid pochyla się i słyszę, że śpiewa; zwykle robi to w nocy, gdy jesteśmy sami.

Jego śpiew jak zawsze napełnia mnie mieszanką tęsknoty i oddalenia,

nostalgia, której pochodzenia nie umiem określić. Rzeczy, które definiowały moje życie w Londynie, nabierają tutaj takich cech, które sprawiają, że stają się kruche. Wydaje się, że gdybym nigdy nie miała do nich wrócić, nie pozostałby żaden ślad po tym, że kiedykolwiek tam byłam.

[6] Nieoficjalna jednostka irańska równa 10 riali.



## Rozdział trzynasty



Vahid uczy mnie przekleństw. Zachęca, bym była agresywna, bym nawet krzyczała. Moje uprzejme zagajenia, jak twierdzi, muszą być wyrażane w formie rozkazującej, w trybie, którego nigdy nie miałam powodu używać.

Kiedy próbuję odpowiadać, łypie na mnie okiem i zapisuje coś w notesie. Macha lekceważąco ręką, cmoka i zadziera nosa.

Ledwie go poznaję, gdy tak się zachowuje, jest stanowczy i podnosi głos. Nieważne, co mówię, jest zimny i nieczuły, odzywa się ze złością, wyrzucając z siebie niekończące się zdania pełne tajemniczych literackich zwrotów.

Całe godziny sprawdza mnie i prowokuje w języku perskim. Testuje moją wytrwałość, moje słownictwo potrzebne do stawiania żądań i obrażania. Poddaję się jego ciągłej krytyce i szukam w pamięci odpowiednich słów, by móc się odgryźć.

– *Chera!* Bzdura! – protestuję, kiedy stwierdza, że nic więcej nie może dla mnie zrobić. – Wiem, że możesz, ale ci się nie chce. – Normalnie nie przyszłoby mi do głowy, żeby tak się do kogoś zwracać, ale w Iranie przekonuję się, że to często jedyny sposób.

Przyczyną tego jest porażka przy próbie otrzymania drugiego przedłużenia wizy w Raszcie. Powiedziano nam, że tam jest najłatwiej w kraju, że powodzenie gwarantowane i że to jedynie kwestia dziesięciu dolarów i godziny załatwiania. Że tamtejszy urzędnik jest emerytowanym oficerem marynarki, który lubi pomagać nieczęstym gościom z zagranicy. Żeby tam dotrzeć, jechaliśmy przez osiem godzin ściśnięci z tyłu taksówki, po szosach,

które niebezpiecznie przytulały się do górskich stoków. Dwa razy musiałam poprosić kierowcę, by się zatrzymał, żebym mogła wyjść i zwymiotować na skraju drogi.

Nie wiem, co poszło nie tak. Zaczęło się bardzo przyjemnie. Ten człowiek, pan Ehmadi, uśmiechnął się, kiedy przyszedliśmy, i zaprowadził nas do swojego biura. Niemal odetchnęliśmy z ulgą, gdy usiedliśmy na skórzanych fotelach; kolanami dotykaliśmy ławy z palisandru na wysoki połysk. Na ścianach wisiały mapy i plakaty przedstawiające ten region – niekończące się zielone wzgórza i plantacje herbaty. To właśnie tu Irańczycy przyjeżdżają, gdy mają ochotę na duchotę i deszcz; ten region w uproszczeniu nazywają *shomal*, co oznacza „północ”.

Kiedy wspomniałam o chęci przedłużenia wizy, tylko zamasyście machnął ręką. Wziął mój paszport i zapytał, czy chciałabym dodatkowy miesiąc, czy może sześć. „Nie stanowi to żadnego problemu – powiedział – nie ma się czym martwić, wszystko da się zrobić”. Następnie podszedł do czajnika i porcelanowej zastawy do herbaty i powiedział, że za chwilę przejdziemy do właściwej sprawy. „Najpierw – upierał się – muszę spróbować herbaty z nowego sezonu, uprawianej na wzgórzach za Rasztem”.

Ale ostatecznie nie doszło ani do jednego, ani do drugiego. Po prostu nagle zatrzymał się z na wpół uniesioną dłonią. Odstawił czajnik, nie napełniając go, i przeniósł uwagę na Vahida; momentalnie się usztywnił, jakby przypomniał sobie coś nieprzyjemnego. W jego spojrzeniu było coś potępiającego.

– Skąd pan zna tę kobietę? – zapytał podejrzliwie oziębłym tonem.

Wtrąciłam się i zaczęłam opowiadać o planie podróży, fałszywym powodzie, dla którego chciałabym pozostać tu jeszcze kilka tygodni. Wspomniałam Morze Kaspijskie oraz nazwy wsi w Dolinie Alamut, o których czytałam, że można tam zobaczyć tradycyjne domy z kamienia pokryte strzechą.

Oszukując go, czułam się żałośnie. Ale nie wykazał większego zainteresowania tym, co do niego mówiłam. Wbijał wzrok w Vahida, oceniał, rozważał coś w głowie.

Z początku Vahid udawał, że jest moim tłumaczem, przygodnym towarzyszem, który chce mi pomóc i wypowiada się w moim imieniu.

Co jeszcze mógł powiedzieć? Że jestem jego dziewczyną? Jego żoną? To było takie nieprawdopodobne, że nawet nie dało się tego wyrazić.

Zaczęli rozmawiać tak szybko, że nie mogłam za nimi nadążyć. Vahid zachowywał spokój, choć był nieco onieśmielony. Ich głosy brzmiały łagodnie, więc byłam pewna, że nie ma się czego bać.

Potem pan Ehmadi niespodziewanie zwrócił się do mnie.

– Chcesz poślubić Irańczyka? – spytał. Spojrzałam na Vahida. Przypuszczałam, że coś mi umknęło podczas ich rozmowy, że Vahid zdradził się z naszą zażyłością.

– Którego Irańczyka chcesz poślubić? – dodał, nie czekając na moją odpowiedź. Poczułam, że policzki mi płoną. A potem idiotycznie, bezmyślnie, sądząc, że właśnie to powinnam zrobić, wskazałam na Vahida.

– Nic tu na to nie poradzimy – odpowiedział beznamiętnie urzędnik, oddając mi paszport; jego „nie stanowi to żadnego problemu” rozplynęło się jak dym w powietrzu. – Będzie pani musiała zwrócić się do tego urzędu, który uprzednio zgodził się przedłużyć pani wizę. Ja nie jestem w stanie pomóc. Przykro mi.



Perspektywa powrotu do miejsca, w którym już raz byłam, jest przerażająca. Poza tym nie ma wątpliwości, że muszę tam iść sama. Boję się już na myśl o tym, że będę musiała patrzeć na posępne twarze urzędników w Isfahanie i prosić ich o jeszcze dwa tygodnie. To nie jest kwestia proszenia i czekania, nie chodzi o zwykłe wypełnienie kolejnego formularza. Mam już dwie pieczątki w paszporcie, prośba o trzecią na pewno wzbudzi podejrzenia, dlatego muszę teraz nauczyć się, jak nie dać się zbić z tropu.

Wiem, że jestem coraz bliżej ideału, kiedy zacięta mina Vahida zmienia się w dumny uśmiech. Potakuje z entuzjazmem, kiedy mówię mu, że nigdzie nie pójdę bez przedłużenia, że mam już wykupiony bilet na samolot i nie mogę

zmienić rezerwacji. Przejęłam niektóre jego gesty, przyswoiłam pewne jego cechy, jak szybkie kręcenie głową, kiedy próbuję coś udowodnić, sposób, w jaki krzyżuję ręce na piersiach. Łapię się na tym, że bębnię palcami w łokcie, co, jak zauważyłam, wyróżniało jego matkę i ojca, a teraz i ja tak robię, by pokazać, że się spieszę.

Niemniej jednak ta sprawa wywołuje we mnie niepokój. Wiem, że w tym, co słyszałam, jest sporo prawdy: niegdyś w Iranie panowały sztywne etykieta i jasno określone zasady, teraz jednak wiele się zmieniło. Dawna uprzejmość, która wyznaczała standardy codziennych interakcji międzyludzkich, jest obecnie postrzegana jako słabość. Oficjalny elegancki język przeszedł do historii. Bezcelność i obcesowość oznaczają władzę w tym nowo powstającym Iranie.

Tego dnia ubieram się, jakbym szła na wojnę. Chusta przylega ciasno do mojej głowy i szyi. Zakładam najciemniejsze ubrania i obciążam rękawy poniżej nadgarstków. Naciągam na stopy czarne skarpetki, a dopiero potem zakładam przewiewne buty na płaskim obcasie; jest to tak okropne połączenie, że chyba tylko moja babcia mogłaby się tak ubrać. Moją torbę wypełnia zapas wody i ziaren słonecznika na cały dzień. Idę sama na koniec ulicy, gdzie w poszukiwaniu pasażerów skręcają taksówki wynajmowane na spółkę, i wołam: „Vali Asr!” w nadziei, że jedna z nich się zatrzyma.

Kierowca, który mnie zabiera, nie zatrzymuje się po jeszcze innych pasażerów. Przez całą drogę wiezie tylko mnie. Z uprzejmości, jak przypuszczam, pozwala mi zająć całą szerokość tylnego siedzenia bez dodatkowych sześciu pasażerów, którzy normalnie dosiadają się gdzieś po drodze.

Kiedy widzi, dokąd się udaję, robi współczującą minę i mówi cicho: „Powodzenia, niech Bóg będzie z tobą”, oddając mi resztę.

Budynek wygląda tak, jak go zapamiętałam z poprzedniego razu. Te same białe, kwadratowe ceramiczne kafelki. Te same drewnopodobne panele na ścianach. Witam strażnika przy wejściu, którego też rozpoznaję, mówiąc mu „dzień dobry” po persku, a on patrzy na mnie, jakbym zrobiła coś zaskakującego i efektownego.

Mimo że znam już tę procedurę, waham się, kiedy nalega, bym oddała mu telefon. To moja jedyna lina ratunkowa łącząca mnie z Vahidem, gdybym wpakowała się w kłopoty. Teraz jestem naprawdę zdana tylko na siebie.

Przypominam sobie, że byłam tutaj zaledwie dwa tygodnie temu – całe życie temu – a to, co czekało wewnątrz, było zupełnie nieznane. Na tym etapie moja niezależność nie podlegała dyskusji; Vahid należał do przeszłości. To, że poruszałam się w obcym mieście bez niego, udało mi się do biura rządowego bez jego pomocy i obecności, tylko potwierdzało ten fakt.

Na samą myśl o tym czuję gulę w gardle. Wówczas nie wiedziałam o sobie tak wielu rzeczy. Nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z tego, jak bardzo chciałam, a nawet pragnęłam, zostać częścią rodziny, jak spodobał mi się harmider i ciągłe wymagania. Jak polubię dom pełen pamiątek i przedmiotów stapiających się z życiem, które nie było tylko moim życiem. Wzruszało mnie zaangażowanie Vahida i sprawiało mi przyjemność, że byłam pożądana. To wszystko udowodniało – nawet bardziej niż pierścionek na moim palcu, bardziej niż nasza dyskrecja i ukrywanie się – jak wiele się zmieniło od tamtej pory.

Jednak mimo że wszystko zdaje się satysfakcjonujące i ekscytujące, wiem, że od samego początku w naszej sytuacji tkwił błąd. Może ten bałagan związany z moją wizą jest znakiem, że powinnam wyjechać. Tak naprawdę Vahid nigdy nie będzie całkowicie mój. Zawsze przede wszystkim będzie czyimś bratem, siostrzeńcem, wujem i synem. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek potrafię przystosować się do takiego życia, czy nauczę się dzielić nim z innymi.

Przychodzi mi do głowy, że to może być idealna wymówka, by się z tego wyplątać, że może lepiej nie walczyć. Łatwo będzie to ukryć, zrzucić na nieprzychylny los. A jednak, może właśnie dlatego, myśl o poddaniu się jeszcze bardziej mnie przygnębia.

W głównej sali czuję ten sam zapach kurzu i brak światła. Niespodziewaną ciszę, w jakiej stu ludzi tłoczy się na małej przestrzeni. Chociaż przyszedłam wcześniej, dziś jest tu więcej ludzi niż poprzednio, kolejki rozpadają się na grupki oczekujących.



Podchodzę do jednego z okienek i stukam w szybę, kobieta za nią wzdryga się podczas sortowania stosu papierów. Wygląda na poirytowaną, ale pochylam się i kładę dłonie w szparze pod okienkiem, by nie mogła go zatrzasać. Wsuwam paszport przez kratę i mówię: „Przedłużenie o dwa tygodnie”, a potem nie mogę się powstrzymać i dodaję: „Proszę”. Mam świadomość, że moje zachowanie jest bezczelne, ale wydaje się skuteczne, ponieważ urzędniczka bierze mój paszport i zapisuje kilka szczegółów bez patrzenia na mnie. Następnie woła jakiegoś mężczyznę i coś mu szepcze do ucha.

On zaczyna przeglądać mój paszport, dotykać każdej strony, przyglądać się każdej wizie. Wreszcie znajduje tę, którą wbito w tym biurze kilka tygodni temu, zatrzymuje się i uważnie ją studiuje.

Przypominam sobie, co Vahid powiedział mi o pracujących tu urzędnikach: powinnam zwrócić uwagę na ich stopień. Osoba, której potrzebuję, powinna mieć co najmniej trzy gwiazdki wyszyte na ramieniu. Ten mężczyzna ma tylko dwie.

– Żadnego przedłużenia – warczy na mnie. Ale nie wie, z kim ma do czynienia. Zaczynam recytować nauczone na pamięć słowa żądania i odmowy odejścia, wiedząc, że zachowuję się absurdalnie. Afganki gapią się na mnie oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia i błyskają złotymi zębami. Mężczyźni patrzą na siebie nawzajem i drapią się po głowach. Ale wstyd to coś, co zostawiłam za drzwiami, i powtarzam sobie, że muszą choć odrobinę mi kibicować.

Okazuje się, że młody żołnierz z dwiema gwiazdkami szybko ma dość. Podaje mi paszport i wskazuje kolejną kolejkę. Czuję zdenerwowanie i ekscytację postępem. Może uda mi się stąd wyjść przed obiadem. Wyobrażam już sobie, co Vahid i ja zjemy, by to uczcić. W pobliżu parku ma stragan człowiek, który piecze buraki ze skórką, bezpośrednio na rozżarzonych węglach. Jeśli ładnie się go poprosi, może je obrać, pokroić na ćwiartki i wycisnąć na nie sok z połowy cytryny. W myślach zatapiam drewnianą łyżeczkę w drugiego buraka, kiedy uświadamiam sobie, że zostałam wystrychnięta na dudka. Po dwudziestu minutach czekania okienko,

do którego stoję, jest wciąż puste i ciemne. Żołnierz odesłał mnie do kolejki donikąd. Podejrzewam, że jest to taktyka, którą stosują, by zmęczyć awanturników, a przynajmniej oddzielić ziarno od plew. Nigdy wcześniej nie pomyślałam o sobie, że mogę być uciążliwa. Teraz nadeszła pora, by się taką stać.

Sięgam do kieszeni po złożoną kartkę. Jest zapisana słowami, które mogą mi się dzisiaj przydać. Czytam je kilka razy, choć znam je już na pamięć, i układam sobie kolejny plan ataku.

Przez okna przesącza się brudne światło. Wielu ludzi chodzi bez celu, siedzi lub stoi w niezorganizowanych grupkach. Wszyscy wydają się skazani na czekanie. Po lewej znajduje się pokój, który wygląda na nieużywany, wejście do niego osłonięto byle jaką kotarą z czarnego aksamitu. Podchodzę bliżej i zaglądam do środka, odsuwając kotarę na bok. Pokój jest pusty, stoi tam tylko jedno opuszczone biurko. Serce mi zamiera na chwilę. Nie mam więcej pomysłów. Wtedy ją zauważam: starą lodówkę na mięso. Tę samą, którą widziałam dwa tygodnie temu.

Prawdopodobnie zepsuła się kilka tygodni lub miesięcy wcześniej i została tu wepchnięta, by nie zagrażała drogi. Warstewka kurzu świadczy o tym, że od dłuższego czasu czeka na naprawę lub wyniesienie do śmieci.

Dywersja. To coś, czego potrzebuję. Słyszę przesuwanie krzeseł, a potem głębokie męskie głosy dochodzące z góry. Delikatnie odwracam lodówkę. Skrzypi, trzęsą się szklane panele. Odciągam ją tak daleko w tył, jak to możliwe, chcąc nadać jej odpowiednią trajektorię, po czym przesuвам kilka razy, by sprawdzić kółka. Jeśli mi się poszczęści, oczyszczę co najmniej pół sali. Biorę wdech i pcham z całej siły, po czym wychodzę zza kotary i przyglądam się z boku.

Lodówka na mięso mija okienko numer dziewięć, osiem, siedem i sześć, szyby się trzęsą, za nią po podłodze ciągnie się kabel. Lodówka z hukiem uderza w ścianę między okienkami cztery i pięć, po czym odbija się z równie zadziwiającą prędkością.

Pięknie się na to patrzy; ludzie uskakują z drogi, rzucają się na bok. Różnice między nimi zatarły się, stali się jedną głośną masą czarnych ubrań

i plastikowych toreb.

Pojawiają się opaleni mężczyźni w mundurach z gwiazdkami i próbują opanować rozszalałą lodówkę. Tłum zaczyna się śmiać, gdy wiążą ją sznurami niczym wściekłe zwierzę. Krzyki i chaos sprawiają, że czuję się jak na rauszu. Udało mi się wywołać zamieszanie, ale nie tak wielkie, bym zapomniała, jaki jest mój cel. Po kolei lustruję ramiona żołnierzy, szukając takiego, który będzie mógł mi pomóc.

Zaczynam się poważnie martwić, że to, czego pragnę, jest niemożliwe, że nie mam żadnej szansy. I wtedy go zauważam w kącie, wygląda na zmęczonego i nieco zirytowanego ostatnimi zakłóceniami. Biorę głęboki oddech i podchodzę do jego biurka.

Mija dłuższa chwila, nim spogląda na mnie znad papierów. Nie rozpoznaje mnie i z początku nie wie, o co chodzi. Potem przegląda mój paszport i znajduje miejsce, w którym się podpisał: Mr Hemmatipour.

Kręci głową i otwiera usta. Chce powiedzieć, że nic nie może dla mnie zrobić. Ale tym razem jestem na to gotowa.

– Oczywiście, że może pan dać mi więcej czasu! Wiem, że pan może! – protestuję.

– Czego pani ode mnie oczekuje?

Odwołuję się do jego władzy, do tego, że jest człowiekiem na stanowisku.

– Niech pan pomyśli o swojej reputacji! – wykrzykuję.

Domyślam się, że jest to najbardziej niegrzeczna odmiana perskiego, jaką kiedykolwiek usłyszał od obcokrajowca. Hemmatipour patrzy, jakby nie był pewien, czy powinien się złościć, czy roześmiać. W kąciku jego ust widzę coś, co, mam nadzieję, jest stłumionym uśmiechem.

Bierze swój kalendarz i zaczyna liczyć. Następnie ponownie patrzy na swój podpis. Gdy już myślę, że go przekonałam i osiągnęłam zwycięstwo, kręci głową i oddaje mi paszport.

Nauczyłam się nowej sztuczki, którą jestem zmuszona teraz wykorzystać. Nie odbieram swojego paszportu. On trzyma go w dłoni. Cofam się o krok, kręcę głową i ponownie zaczynam błagalną śpiewkę.

Na tym etapie mam już niewielką grupę gapiów, Afgańczyków oraz innych

urzędników. Do mojego repertuaru włączam zamaszyste gesty, by wzmocnić efekt. Nie wiem zbyt dobrze, jak to się robi, więc staram się zaznaczyć, kto tu jest ofiarą, a kto sprawiedliwym. Tłum chyba jest po mojej stronie. Słyszę cmokanie i słowa współczucia.

Hemmatipour wydaje się bezradny. Domyślam się, że nie wie, co ma zrobić. Ludzie chyba mnie popierają, więc nie może mnie zbyć lub zawołać kogoś, by mnie wyrzucił siłą. Mija minuta, podczas której on z zażenowaniem pociera brodę. Następnie sięga po telefon i się odwraca. Słyszę słowa znaczące „trudna” i „sprawiająca kłopoty”. Odkłada słuchawkę, wskazuje wyższe piętro i mówi mi, że porozmawia ze mną urzędnik na górze.

Czy „Idź na górę” oznacza „Sprawiasz kłopoty”? Jakie to ma znaczenie na tym etapie? Hemmatipour wciska mi paszport do ręki, a jego twarz wyraża: „Zobaczmy, jak szef poradzi sobie z tobą”.

Prowadzą mnie na górę, gdzie nie widzę ani jednej żywej duszy. Biurka są tu puste, biura olbrzymie. Ani śladu niekończącego się biurokratycznego chaosu, który panuje na dole. Cokolwiek tu się dzieje, z natury odbywa się szybko – ten fakt mnie martwi, bo chyba zabrnęłam za daleko.

Zasiadam w holu i nasłuchuję, zastanawiając się, co będzie. Jest cicho jak makiem zasiał. Prawie wszystkie drzwi są zamknięte. Ciekawe, czy to takie miejsce, gdzie ludzie przychodzą, po czym słuch po nich ginie.

W końcu otwierają się jedne drzwi i wychodzi jakiś człowiek. Szura nogami po błyszczącej marmurowej podłodze. Dziwi się na mój widok, a potem, może ze wstydu, że dał się przyłapać, pokazuje mi ręką, że mam za nim iść.

Prowadzi mnie do biura, w którym siedzi dwóch mężczyzn, jeden za dużym, czystym biurkiem. Obaj są znacznie młodsi, niż się spodziewałam. Mają najwyżej po trzydzieści pięć lat. Ten zza biurka pokazuje mi, że mam usiąść naprzeciw. Ta jego rycerskość mnie uspokaja. Nie uśmiechają się, ale też nie łypią na mnie groźnie – po prostu omiatają mnie wzrokiem, oceniając moją chustę, ubranie, buty. Czuję się tym nieco skrępowana, ale może tylko patrzą z uznaniem. Przypuszczam, że jestem pierwszą taką petentką od dłuższego czasu.

Człowiek za biurkiem pochyla się, podpira brodę na dłoniach.

– Czy chciałaby pani rozmawiać po persku, czy po angielsku? – pyta.

– Po angielsku – odpowiadam, czując ulgę.

– Ale umie pani mówić po persku? Słyszeliśmy, że tak – mówi. Uświadamiam sobie, że wszystko, co tu ujawnię, zostanie zanotowane.

Pyta o moją pracę, narodowość i wiek. Zapisuje moje odpowiedzi. Wypytuje, po co przyjechałam do Iranu, i o nazwiska i miejsca, w których do tej pory byłam.

Mam poczucie, że podanie o przedłużenie wizy, które trzymam w ręce, jest bezużyteczne. Wszystko zależy od tego, czy spodoba im się to, co usłyszą.

Podczas naszej rozmowy bez pukania wchodzi dwóch czy trzech urzędników. Za każdym razem, gdy mnie zauważają, zatrzymują się w pół kroku. Wiem, że w ciągu ostatnich trzydziestu minut wspierałam się wysoko w hierarchii. Ci ludzie mogliby poprosić Hemmatipoura o przyniesienie im filiżanki herbaty.

Człowiek za biurkiem podnosi wzrok znad swojego zeszytu i zaczyna mi się przyglądać.

– Jak pani poznaje te kobiety, które uczą panią gotować? Nie możemy brać odpowiedzialności za panią, jeśli przydarzy się coś złego. Jeśli pójdzie pani, jak pani twierdzi, do domu z osobą poznaną na ulicy.

Skinieniem głowy potwierdzam, że rozumiem, a on wydaje się usatysfakcjonowany. Zadaje mi jeszcze kilka pytań o moje pochodzenie i mam wrażenie, że to już chyba koniec. Odwraca się i tłumaczy temu drugiemu mężczyźnie, który do tej pory jeszcze się nie odezwał i prawdopodobnie niewiele zrozumiał z rozmowy: „Rodzice pochodzą z Chorwacji i Węgier”.

Odchyła się na krześle i przesuwa mój paszport w jego stronę. Tamten go otwiera na moim zdjęciu i czyta zawarte tam informacje, notuje moją datę urodzenia. Szybko sprawdza z tym, co zapisał, by przekonać się, czy mówiłam prawdę. Zapada niezręczna cisza, gdy patrzy na moje zdjęcie, a potem z pewną podejrzliwością na mnie.

Prosi, żebym podała mu irańskie dania, które nauczyłam się gotować, może

częściowo z ciekawości, a częściowo, by mnie sprawdzić. Speszona, najpierw myślę o przepisie na *tahdig* i *ghormeh sabzi* – ale są to dania, które można łatwo znaleźć w każdej irańskiej książce kucharskiej. Uświadomiwszy sobie, że muszę bardziej się wysilić, przypominam sobie coś, co gotowałam z matką Vahida ostatniego wieczoru – *halim e gandom*. Sztywne *purée* z gotowanej pszenicy, rozgniecionej i ubitej, podlanej bulionem z jagnięciny. Przypominam sobie, jak trzymałam głęboką, dużą miskę na przedramieniu, ona dolewała po pół chochli ciepłego żółtego bulionu, podczas gdy ja bez przerwy ubijałam to wszystko dużą drewnianą łyżką. Wyszła z tego kremowa, włóknista masa, w której widoczne były kawałki cebuli i jagnięciny, posypana cukrem i cynamonem. Kiedy usiedliśmy do jedzenia, czuć było, że to odświętna potrawa; jedliśmy ją nałożoną na kawałki *sangak*, który Vahid specjalnie kupił w piekarni z kamieniem, zamiast zwyczajowego *barbari*. Nawet ojciec Vahida zachwycił się tą potrawą.

Rozważa to, co powiedziałam, i rozjaśnia mu się twarz.

– Jadła to pani z *sangak*, nie z *barbari*?

Potakuję, myśląc, że to zwykłe pytanie, ale on rzeczywiście się tym zainteresował.

– Tak jest. To właściwy sposób. Sezam na *barbari* mógłby zdominować smak – mówi do swojego współpracownika i obaj potakują. – To dobrze, że nauczyła się pani tego przepisu. Obecnie większość kobiet jest zbyt leniwa, by gotować to w domach. Gdyby miała pani czas, zaprosiłbym do domu mojej mamy, by spróbowała pani jej *halim*, który słynie w całej naszej rodzinie.

– Nie zamierza pani wychodzić za mąż, prawda? – pyta nagle. Znowu to pytanie. Ale tym razem nie brzmi oskarżycielsko. Słyszę w jego głosie szacunek, że postanowiłam być sama. Może on również uważa, że mieszka w kraju, który niełatwo zrozumieć i szybko można spisać na straty. Może widzi to we mnie i pojmuje, jak jest naprawdę.

Jeszcze raz to mówi, ale tym razem bardziej na pokaz:

– Ma pani świadomość, że nie bierzemy odpowiedzialności za to, iż może się pani coś przytrafić, gdy pójdzie pani do kuchni obcej osoby.

Ale oboje wiemy, że tej bladej dziewczynie gadającej o maśle i ryżu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Sięga po słuchawkę telefonu.



## *Rozdział czternasty*



Zapada ciemność, gdy wracamy do Kaszanu. Wciąż czuję się zagubiona, chociaż to już trzeci wieczór, kiedy idziemy tą trasą. Pamiętam tylko, jak iść do trzeciego zakrętu drogi biegnącej wzdłuż muru z gliny, gdzie mijamy sklep, który jest otwarty do późna. W witrynie jest wszystko, czego człowiek potrzebuje do życia: opakowania ciepłego jeszcze chleba, dżem z granatów, pikantny słony ser, który nam obojgu smakuje, zielone butelki szamponu Sehat, który sprawia, że moje włosy wyglądają jak siano i mam wrażenie, że nie mogę ich do końca wypłukać.

Jeden dzień zajęło nam pozbycie się starych przyzwyczajzeń. Przestaliśmy patrzeć za siebie i nerwowo się rozglądać. Rozkoszna cisza i brak nachalnych pytań działają odświeżająco.

Idziemy do naszego pensjonatu. Mylą mi się mury, podrapane w miejscach, gdzie otarły się o nie motorowery. Pomalowane na biało i zamykane na kłódki drzwi nie dają mi żadnych wskazówek. Tu i tam pojawia się jakaś rura lub porzucone krzesło, ale oprócz nich nie ma żadnych punktów orientacyjnych.

Vahid, dziecko wychowane w labiryncie uliczek Jazdu, ma wrodzony sonar. Mimo że Kaszan jest nieznanym mu miastem, z łatwością potrafi się po nim poruszać. W końcu skręcamy za róg, który rozpoznaję. Vahid wyjmuje z kieszeni długi metalowy klucz i z pewnym wysiłkiem obraca go w zamku. Wysokie mury otaczające dziedziniec otwierają się na niebo, słabe, odległe głosy dzieci mieszają się w ciepłym, wilgotnym powietrzu. Zdejmujemy buty i zamykamy za sobą drzwi pokoju, zostawiając na



zewnątrz cały hałas. Po bezlitosnym tempie ważnych obietnic i wielkich słów, które trzeba było sobie powiedzieć, teraz wszystko można już mówić szeptem, spokojnie, rozciągać rozmowę na kilka dni.

Poznałam go dopiero tutaj, w Kaszanie. To tutaj każdego wieczoru pierze moje skarpetki w umywalce razem ze swoimi, rozkłada je na naszych butach, by suszyły się jedna przy drugiej. Nauczyłam się, że zabiegi pielęgnacyjne i ubieranie są czynnościami wykonywanymi wspólnie. Wychyla się spod prysznicza, spodziewając się, że namydlę mu plecy. Bierze grzebień i czesze moje włosy. Bez skrępowania prosi, bym pokazała mu zęby po jedzeniu, żeby mógł mi wydłubać kawałek pietruszki, który utknął pomiędzy nimi. Pyta mnie, którą koszulę powinien założyć, chociaż ma tylko dwie i obie są białe.

Dowiaduję się, że lubi przebierać się w „domowe ubranie” – jak tylko wróci wieczorem, zaraz zakłada luźne bawełniane spodnie, które mogłyby być pizamą. Już teraz wiem, bo przeczytałam z metek, gdy wyrzucił ubrania na lewą stronę, że nosi rozmiar trzydzieści dwa; z dowodu, który wypadł mu z kieszeni, dowiedziałam się, że w wieku dziewiętnastu lat miał wąsy.

Odkrywam, że nosił okulary, a potem, tuż przed tym, jak ojciec namówił go na pójście do wojska, przeszedł laserową korekcję wzroku. Jego ubrania pochodzą z Iranu i Turcji, co przeczytałam z metek pisanych tradycyjną czcionką, i zostały kupione w sklepach w Jazdzie. Nie ma typowo irańskiej obsesji na punkcie projektantów i marek, podrabianych logo z napisami Gucci czy Dolce & Gabbana. Dowiaduję się, że jego kuzyn poszedł kiedyś na przyjęcie, zostawiając go w domu, bo nie chciał założyć takich ciuchów, o czym opowiada mi pewnej nocy, gdy leżymy w łóżku, a ja opieram głowę na jego ramieniu.

Jest przesądny, gdy chodzi o zdrowie, co mnie śmieszy i przypomina mi staromodne przekonania mojej babci. Czasem śmieję się z eksperckiego tonu, jakim doradza mi w tym czy tamtym. Kiedy boli mnie głowa, uważa, że to wina słońca. Kiedy pociągam nosem, to dlatego, że szliśmy pod wiatr. Nie chce wychodzić z rana z wilgotnymi włosami, sądząc, że mokre włosy są „jak trucizna”, i upiera się, by wysuszyć je porządnie suszarką, a także

ogrzewa gorącym powietrzem stopy. Trochę brzydzi się, gdy dodaję miód do jogurtu, który przynosimy z rynku w plastikowych torebkach, i gdy czasem wrzucam do niego morwy zerwane z drzewa przy drodze. Twierdzi, że mieszanie słodkiego i słonego gwarantuje rozstrój żołądka i że pewnych rzeczy nie można łączyć.

Chce zrobić wyjątek dla moich wypieków, co oznajmia mi pewnego leniwego popołudnia. Siedzimy obok siebie na drewnianej ławce na podwórku, z jednej torebki jemy kwaśne zielone śliwki posypane solą.

– Powiem ci, kiedy pierwszy raz wpadłaś mi w oko – szepcze i pochyla się nade mną tak, że jego oddech porusza moje włosy. – Byłaś w kuchni. To był drugi lub trzeci dzień. I piekłaś czekoladowe ciasto.

Ciasto było z mojej strony próbą zrobienia wrażenia na jego rodzinie. Chciałam przygotować coś wymyślnego i europejskiego. Vahid został wysłany do sklepu, by kupić ciemną czekoladę i masło, a ja grzebałam po szufladach w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym zastąpić trzepaczkę. Pamiętam, jak zaskoczeni byli jego rodzice, że do ciasta potrzeba soli i sześciu ubitych jaj. Wtedy Vahid zapuścił się do kuchni po raz pierwszy, odkąd zaczęłam przychodzić; zwykle unikał tego, chyba że chciał umyć talerz lub wziąć sobie pomarańczę.

Stał, patrząc na mnie, a nawet podał mi mleko i łyżkę. W pewnej chwili był tak blisko, że mogłam go dotknąć. Ale wówczas jeszcze o tym nie myślałam.

Jego rodzice byli zdumieni tym, że biszkopt jest taki lekki, pulchny i że wyrósł tak, iż prawie wylał się z formy. Kiedy go podałam, zjedli z uprzejmości tylko niewielki kąsek, głównie popychając go wokół talerzyków. Następnego dnia jego mama, zaopatrzona w dwie metalowe łyżki, ugniotła moje ciasto w zbite kule i podała na talerzu z tanią cukrową posypką. Częstowała nimi razem z herbatą, zadowolona, że dzięki niej udało mi się zachować twarz.

– To połączenie soli i cukru było dla mnie nowością – przypomina sobie Vahid. – Wniosłaś do naszego domu jakąś odmianę. Nie wiedziałem dlaczego, ale stałem się łasy na te smaki. Chciałem schować ciasto przed innymi, zjeść je sam i nie dzielić się z nikim. Było szczególne, jakbyś upiekła

je specjalnie dla mnie.

Czuję przyływ radości, gdy słyszę, że tak się na mnie poznał, jedząc kilka kawałków zwykłego ciasta. Zjadł to, na co nikt inny nie miał ochoty, ze szczyptą soli, która według mnie jest niezbędnym składnikiem i która w najlepszym razie wprawiła ich w konsternację.

Jesteśmy jedynymi gośćmi w pensjonacie w Kaszan, co bardzo mi pasuje. Prowadząca go rodzina jest w Iranie tak zwaną inteligencją. Mąż, prawnik, wieczorami zachłannie czyta gazety. Jego żona uczy się kaligrafii i bierze lekcje karate. Między nimi jest różnica dziesięciu lat, co, jak widzę, w tym kraju zdarza się często. Wydaje mi się, że ich związek przynajmniej częściowo opierał się na prawdziwym romansie, nie tylko na umowie między rodzinami, co natychmiast biorę za dobrą monetę. Nie pytają nas o nasz status, nie chcą oglądać żadnych dokumentów. Tak naprawdę nic ich nie obchodzimy. Jestem im wdzięczna za ich obojętność, za to, że chyba traktują mnie poważnie, chociaż dokument, o który tyle walczyliśmy, spoczywa nietknięty w mojej torbie, co odrobinę mnie rozczarowuje.

Są serdeczni i gościnni, ale trzymają się na dystans. Sądzę, że wyczuwają, iż pragniemy być sami, żeby zawrzeć całe życie w tych kilku dniach. Jemy z nimi posiłki, ale nie zostajemy długo. Prosimy ich o radę, które tradycyjne domy i ogrody powinniśmy zwiedzić, które destylarnie wody różanej i nagietka zaczęły już wiosenny zbiór. Podają nam nazwisko kierowcy, do którego dzwoniemy, żeby umówić się na wycieczkę w góry i zobaczyć wodospady oraz akry drzew bergamotowych.

Ich dom, liczący co najmniej czterysta lat, jest urządzone ze smakiem w stylu rustykalnym. Ściany są krzywe i niedoskonałe, pokoje wypełnione drewnianymi rzeźbami i okrągłymi srebrnymi tacami. Ich pięcioletnia córeczka skacze na dziedzińcu pomiędzy glinianymi dzbanami i glazurowanymi doniczkami, w których rosną paprocie, i rzuca kawałki chleba trzem złotym rybkom pływającym w koło w stawie znajdującym się na środku.

W kącie ogrodu postawiono niedawno gliniany piec, wpuszczone w ziemię palenisko wypełnia stos wiśniowego i oliwnego drewna, które czeka na

rozpalenie. Mówią nam, że zamierzają piec na nim kurczaki i robić chleb dla grup z ambasad w Teheranie, które czasami goszczą. Jedna z ich matek, która również z nimi mieszka, zajmuje się gotowaniem i przyrządza potrawy, które niełatwo dostać w restauracjach lub na ulicznych straganach. Większość cudzoziemców musi obejść się kebabami lub dziwnymi pizzami zwiniętymi w rożek i wypełnionymi keczupem i majonezem, które pierwotnie były pożywieniem robotników i nastolatków.

Co kilka dni naszą rutynę przerywa przybycie Europejczyków: żony holenderskiego ambasadora lub francuskiej delegacji handlowej. Kobiety z ulgą zrzucają chusty, gdy tu wchodzi, podziwiając latarnie zapalone na dziedzińcu. Zapraszają nas, żebyśmy usiedli z nimi na podłodze i częstowali się licznymi daniami z obrusa zastawionego talerzami i miskami. Jemy wydrążoną pigwę nadzianą mieloną jagnięciną i migdałami, kawałki mięsa z ciecierzycą i suszonymi limonkami pieczonymi przez noc w kamiennym garnku w piekarniku. Vahid, nieprzyzwyczajony do tego, że jest gościem, zachowuje się jak gospodarz, pokazując innym, jak nalewać bulion do misek, jak rozgnieść mięso z ciecierzycą na pastę. Podaje mięso obcokrajowcom, a sam objada się gotowaną rzepą z cynamonem, której oni prawie nie tykają.

Przez cały czas go obserwuję, wiedząc, że pierwszy raz spotyka tak wielu ludzi z zagranicy. Rozmawiają o różnych miejscach – Bolonii, Antwerpii, Lyonie – które on zna tylko z mapy, ale nigdy w nich nie był. Chociaż raz to on jest w mniejszości, a nie ja. Goście patrzą na nas ciepło, z ciekawością, akceptują nas, zatrzymując wzrok na pierścionku na moim palcu, ale są zbyt dobrze wychowani, by pytać o szczegóły. Dzięki temu uświadamiam sobie, jak bardzo się zmieniłam – zawsze jestem gotowa się bronić i wszystko wyjaśnić.

W te wieczory, kiedy jesteśmy w szóstkę, jemy prostsze potrawy: gulasz z małymi kulkami mięsa z pomidorami i szafranem, pieczone bakłażany rozduszone z czosnkiem i kurkumą, podawane z kwaśną śmietaną i jedzone palcami. Matka przygotowuje specjalną herbatę z suszonych ogryzków pigwy i zachęca mnie do picia. Zapewne ma mi pomóc zajść w ciążę.

Oczywiście nie przypuszczają, że używamy prezerwatyw. Że wszystko to,

co im wydaje się oczywiste, my ignorujemy lub pomijamy. Tak jest łatwiej, jako że przygotowuję się do wyjazdu. Nie wiem bowiem, jak opisać uczucia, które dotychczas mną targały na myśl o tym, że przeżywam kolejne etapy małżeństwa z Vahidem w cudzym domu. Wiem jedynie, że robię to z miłości. Z każdym kolejnym nawykiem, który przejmuję lub odkrywam, wszystko staje się bardziej realne, coraz trudniej sobie wyobrazić, że nie zawsze tak było.

Pokój, w którym śpimy, jest mały i skromny, ma niewiele więcej niż metr szerokości. Dwa łóżka podobne do koi stoją pod przeciwległymi ścianami, a pomiędzy nimi leży wąski skrawek dywanu. Z początku próbowaliśmy spać razem na podłodze, połowę ciała mając pod łóżkiem, ale byłam zbyt ściśnięta i czułam się klaustrofobicznie. Zamiast tego spędzamy pół nocy w oddzielnych łóżkach, a pół razem w dwugodzinnych odstępach. Zasypiam, słysząc Vahida w łóżku stojącym naprzeciw mojego, po czym budzę się i widzę, że wcisnął się koło mnie, mocno obejmując mnie ramionami. Normalnie taka pozycja sprawiłaby, że zaczęłabym się wściekać i kopać, ale polubiłam opiekuńczość, z jaką mnie tuli, poczucie stałości, jakie mi daje.

Tuż przy drzwiach wisi małe lustro, ostatnia szansa na szybkie sprawdzenie przed wyjściem, czy chusta znajduje się na swoim miejscu, czy do ubrania nie przyłgnał kurz lub jakieś kłaczki. Zatrzymuję się tam często, by się sobie przyjrzeć, żebym później mogła sobie dokładnie przypomnieć, jak wyglądałam, gdy byłam szczęśliwa.



Dni, które następują, są spokojne, bez żadnych sprzeczek. Rzadko, prawie w ogóle nie kłócimy się ze sobą. Jakby zadziały nasiona *esfand* palone w cynowej patelni, którymi okadzono nasze głowy, by odpędzić „zły urok”, kiedy piliśmy herbatę na bazarze, jakby dokument, który zdobyliśmy i o który nikt nas nigdy nie poprosił ani go nie zażądał, otoczył nas ochroną.

Kiedy wchodzimy do autobusu i Vahid odlicza monety, żeby kupić bilety, ludzie bez zastanowienia odrywają dwa ze swoich pasków, żeby nam je dać.

Jeśli mój wzrok zatrzyma się na chwilę na chlebie lub wypiekach niesionych przez kobiety, upierają się, bym przyjęła urwany hojną ręką kawałek na spróbowanie. Kiedy pary zatrzymują nas na ulicy i proszą Vahida, by groźnie spojrział na ich dzieci, co tradycyjnie ma sprawić, że będą dobrze się zachowywały ze strachu przed reprimendą obcej osoby, on całuje je w rączki, a ich rodzice uśmiechają się do mnie ze znużeniem, zaskoczeni jego dobrocią i tym, że nie jest w stanie zmusić się do wystraszenia ich potomstwa, choćby tylko udając.

Nadal wcześnie wstajemy, żeby iść na zupę – śniadanie, które znaczy więcej niż tylko jedzenie. Ogromne *tabaakhi* dawały nam schronienie przez okres zalotów, kucharze udawali, że nie zauważają, gdy zabieraliśmy dwa krzesła i siadaliśmy w kącie, by spokojnie zjeść ich zupę. Chadzamy tam zarówno z lojalności, jak i z głodu, siadamy na plastikowych krzesłach z wdzięcznością i sentymentem.

W Kaszanie zupa ma inną nazwę; bulion jest bardziej mętny, pływają w nim kawałki jelit, flaczków oraz gruczołów mlecznych owiec. Uczę się odróżniać swoje ulubione części po kolorze, wskazując na różowe gąbczaste membrany pływające po wierzchu. Z pomocą szczypiec wyjmowane są z garnka, po czym tnie się je nożyczkami, a one niczym wstążki spadają do mojej miski. Czasami kucharz wyławia owczą kończynę, którą dodaje się dla żelatyny, i kładzie ją na talerzu w prezencie dla nas, a Vahid dzieli ją palcami i wrzuca do naszych misek. Razem z zupą jemy chleb z piekarni *sangak*, który kupujemy wcześniej, i tylko wtedy się rozdzielamy. Vahid staje wśród mężczyzn z prawej, podczas gdy ja dołączam do kobiet stłoczonych z lewej strony. Ludzie wykrzykują zamówienia na siedem lub osiem chlebów *sangak*, jedną ręką podają zgniecione banknoty, drugą bawełniane ściereczki. Wilgotne ciasto jest wyjmowane z wiader lub głębokich stalowych pojemników i ugniatane, a następnie palcem robi się w nim wgłębienia. Mężczyzna w gumowcach układa je za pomocą płaskiej łopaty pojedynczo na górze z kamieni podgrzewanych od spodu dużym gazowym płomieniem. Kiedy urosną i zrobią się chrupiące, wyjmowane są z pieca i rzucone na stół z siatki. Mimo że w Londynie przyzwyczaiałam się do kolejek, tutaj panuje

spokój i porządek i zawsze wiadomo, kto jest pierwszy, a kto ostatni, nie ma żadnego zamieszania i każdy wie, czyja teraz kolej na to, by wziąć świeży stos owalnych bochenków wysadzanych kamyczkami.

Vahid bierze nasze pieczywo i nadziewa je na rząd ostrych gwoździ wbitych w ścianę, żeby ostygło. Kiedy jest wystarczająco chłodne, skrupulatnie wydłubujemy gorące kamienie z ciasta i wyrzucamy je na marmurową podłogę. Kamienie są zmiotane i z powrotem trafiają do pieca, zanim dostaną się pod czarne gumowe podeszwy butów czekających ludzi. Vahid składa nasz chlebek na pół i niesie go, przyciskając do siebie; odrywa kruche brzegi i podaje je mnie.



Zwiedzamy wioski, w których produkuje się *sharbat* i *golob*, gdzie gotuje się i destyluje płatki róży, ziół i roślin. Bardzo nam przypadły do smaku esencje kolendry, mięty, dzikiego bzu, kwiatu kasztanowca, które są sprzedawane w każdym sklepie w Kaszanie w plastikowych butelkach. Codzienne kosztujemy kilka z nich, rozpuszczamy je w wodzie, dodajemy łyżkę cukru i sączymy z ceramicznych kubków. Oglądamy stare kotły, które na noc zostawiane są na ogniu, połączone przezroczystymi rurkami z miedzianymi kadziami. Kadzie stoją pionowo w małych kanałach, którymi przepływa woda z rzeki, która ma przyspieszać kondensację pary wodnej i ją chłodzić. Kotły zostają otwarte i możemy zobaczyć, co jest w środku: połówki pomarańczy, bergamota, pulpa z dzikich kwiatów i kora, którą na końcu nakarmi się kozy. Po odkorkowaniu kadzi zachęceni jesteśmy do pochylenia się nad nimi i wdychania zapachu wody, której powierzchnia lśni od kropli olejku.

Po tygodniach spędzonych w miastach wsie wydają się bardziej przyjazne, serdeczniejsze. Ludzie wychodzą z domów, ale nie po to, by nas przepytować i oceniać. Nie ma tu wymalowanych twarzy, fryzur ociekających żelem, są za to prostsze odzienia i zwykłe buty. Zamiast bezczelnie się gapić, ludzie wyrażają jednie uprzejme zainteresowanie. Dzięki temu jesteśmy spokojni,

możemy wolniej się poruszać.

Vahid prosi innych, żeby robili nam zdjęcia, jakby to był nasz miesiąc miodowy; pozujemy na tle gór, przy pomnikach, stojąc obok siebie przed wodospadem. Przeglądając zdjęcia, widzę, że często trzymam rękę na pierścionku, chcąc go obrócić w odpowiednią stronę; ten gest w ciągu kilku dni stał się moją drugą naturą.

Któregoś dnia po południu Vahid bez mojej wiedzy zrobił mi zdjęcie. Opierałam się o mur z cegieł, wystawiałam twarz do słońca i byłam całkowicie pochłonięta własnym światem. Obok mnie stanęły dwie starsze wieśniaczki, zebrawszy w pasie tkaninę swoich zewnętrznych płaszczy. Kiedy Vahid pokazał mi to zdjęcie, wyglądało jak pozowany portret, na którym wszystkie trzy mamy zamknięte oczy, uniesione głowy, łokcie zgięte pod tym samym kątem. Poczułam się nieopisanie wzruszona szczegółami, które uchwycił, jasnobrązowym błotem na butach, dużymi metalowymi kluczami trzymanymi przez te kobiety, stosami wężów gumowych i metalowych miarek rozrzuconych po chodniku. To jedna z nielicznych fotografii zrobionych w Iranie, na której wyglądam, jakbym była stamtąd, nie wyróżniam się, mimo że jestem wyższa od pozostałych kobiet o co najmniej stopę.

Tylko raz podczas pobytu w Kaszanie naprawdę czuję, że wróciliśmy w miejsce, gdzie wszystkie oczy są na nas zwrócone, choć wcześniej z ulgą je opuściliśmy. Vahid chce iść do przerobionego *hammamu*, o którym przeczytał w moim przewodniku, a który obecnie jest modnym miejscem, gdzie pali się fajki. Kiedy wchodzimy przez łukowate sklepienie, widok zapiera dech w piersiach. Marmurowe klatki schodowe wiodą do nieznanых pasaży. Sufit wygląda tak, jakby go zrobiono z odwróconych filiżanek, tysięcy wielokolorowych szklanych płytek przepuszczających światło. W Londynie takie miejsce zmieniono by w muzeum, ale tutaj, gdzie jest mnóstwo takich budynków, pozwolono, by stało się słabo oświetloną speluną. Ponura muzyka instrumentalna gra z telefonu podłączonego do głośników. Niewielkie grupki ludzi siedzą w labiryncie ciemnych, zaniedbanych nisz.



Zrzucamy buty i wchodzimy na kamienne podwyższenie pod strzelistą złoto-bursztynową kopułą. Na podłodze leży co najmniej czterdzieści dywanów do siedzenia. Jestem boso – wiem, że to niestosowne, ale tutaj nie robi żadnej różnicy. Wybieramy miejsce pomiędzy dwiema kolumnami i siadamy przodem do siebie. Kładziemy pod plecy szkarłatne poduszki. Mimo słabego oświetlenia zauważam dwie inne pary częściowo zasłonięte przez palmy w dużych donicach. Pochowały się w najciemniejszych kątach, niewiele rozmawiają, ich głosy tłumi fontanna stojąca na środku. Jedna z dziewczyn jest ubrana w czador co najmniej o dwa rozmiary za duży, inna ma czarny płaszcz i chustę. Chłopcy, którzy są z nimi, wyglądają zbyt stylowo, mają długie bokobrody i skórzane kurtki, kieszenie ich dżinsów wypychają portfele i paczki papierosów.

Przynoszą nam herbatę bez zamawiania, a Vahid prosi o jedną wspólną fajkę z tytoniem o zapachu jabłka i róży. Na zmianę wciągamy i wydmuchujemy dym, klepiąc się nawzajem po rękach, by dać znać, że możemy już podać ustnik dalej. Podoba mi się wyciszenie Vahida, jego swobodne zachowanie w mojej obecności. Kiedy się rozglądam, w porównaniu do innych par to my emanujemy spokojem.

To jasne, że jest w tym jakiś plan: te dziewczyny, które nieśmiało się rumienią i dąsają, i ich towarzysze, którzy wyglądają na upartych i zdeprawowanych. To rytualne przeciąganie w tę i z powrotem. Zabawa w uleganie i odmawianie. Granica została postawiona przez dziewczyny, które zawsze są namawiane na więcej i więcej. Zastanawiam się, jak Vahid, którego ominęły takie doświadczenia, który przeskoczył ten rozdział swojego życia, może się czuć. Próbuję wyobrazić sobie, że siedzi naprzeciw jednej z tych dziewczyn, opowiada jej rzeczy, które mają ją zaszokować, przygląda się, jak ona zasłania usta, wybuchając śmiechem, ale nie potrafię go zobaczyć w takiej sytuacji.

Czasami czuję, że na nas patrzą, jakby pragnęli, żebyśmy zauważyli ich flirt. Ale Vahid zdaje się uważać, że są męczący, i przez cały czas odwraca od nich wzrok. Opiera się o kolumnę, wkłada do ust herbatniki *salam* i wygląda na przyjemnie oderwanego od tego, co tu się dzieje. Wiem, że

przynajmniej połowa mojej fascynacji tym miejscem bierze się z tego, że nie pochodzę stąd, ponieważ pozwoliłam Vahidowi obejść formalności, które w przeciwnym razie musiałby wypełnić.

Patrzę na niego i zastanawiam się, jak to jest. Nasz związek wydaje się tak silny i intensywny. Ochoczo otworzył przede mną swoje życie, z dumą dzieli ze mną to, co sam kocha. Nasze przywiązanie jest głębokie, irracjonalne, uzależniające, przypominające przyjaźnie, które, jak sądzę, ludzie zawierają w młodości. Został moim przyjacielem z dzieciństwa, którego nigdy nie miałam, dorosłym odpowiednikiem przyjaciela, który mógłby budzić mnie podczas wakacji stukaniem w okno, by wywabić mnie na dwór, lub pisać nasze imiona patykiem na piasku.

Słucha mnie, gdy opowiadam mu coś godzinami, patrzy na mnie lub głaszcze moje włosy. Wciąż mu mało i chce zbudować sobie jak najbardziej prawdziwy obraz każdej historii, którą przytaczam. Chce nauczyć się każdego szczegółu – kiedy to się stało? Kim była ta osoba? W jego oczach pojawia się złość i przyspiesza mu oddech, gdy mówię o jakichś problemach czy smutku. Uśmiecha się i potrząsa głową, gdy opisuję osiągnięcia i triumfy. Duma na jego twarzy jest jak najbardziej autentyczna, jakby moje zasługi w takim samym stopniu należały do niego.

Na zrobionych jedną ręką zdjęciach stoimy razem, jego wolna ręka spoczywa na moim ramieniu lub karku, czasem jego palce opasują mój nadgarstek. Przez cały czas jakaś jego część przylega do mojego ciała, szukając kontaktu. Zaborcza natura jego gestów jest najczystsza formą intymności.

W związkach przywykłam do pewnych barier, do tego, by część siebie zostawić strzeżoną lub poza zasięgiem, ale przy nim w ogóle nie mam oporów. Nie pojawiają się żadne opowieści o poprzednich podbojach, które mężczyźni serwują kobietom przez pierwsze tygodnie sypiania ze sobą, nie ma żadnych przyzwyczajęń, żadnych perwersyjnych zachcianek poprzednich kochanek. Nie ma nic, co mógłby ze mną skonfrontować, żadnej dziewczyny, by mnie do niej porównać. Z Vahidem wszystko jest inne. Dla niego jestem tylko ja.

Przez dym z fajki wygląda, jakby pochodził z innej epoki; siedzi z gracją, łokcie opiera na szkarłatnej poduszce leżącej na ziemi. W takich chwilach kocham go najbardziej. Współczuję innym parom – chociaż wiem, że ta wojna podjazdowa może być ekscytująca, to jednak smutne, że są zmuszani do czegoś, co w końcu robi się uciążliwe, niemożliwe. W porównaniu do nich, z ich gierkami i przeciąganiem w przód i w tył, ja mam coś namacalnego i prawdziwego.

Dziewczyna w czadorze, którą zauważyłam, jak tylko przyszedliśmy, co chwilę poprawia swój płaszcz, rozkładając ramiona, by ułożyć go jak pelerynę. Tworzy z niego tarczę, za którą się chowa, gdy pochyla się, by dać całusa. Po chwili inna para znika w ciemnym korytarzu prowadzącym do toalet. „Patrz – mówi Vahid, śmiejąc się – właściciel będzie musiał pójść za nimi”. I rzeczywiście, zaraz potem pojawiają się z powrotem, zaczerwienieni, poprawiając ubrania, a tuż za nimi idzie właściciel.

Każe im wyjść, a widząc nas, wzdycha głośno i przynosi nam jeszcze jeden dzbanek herbaty. „Przyjdźcie ponownie – mówi, chwając nasze dobre zachowanie. – Mam już dość tych dzieciaków”.

Zerkam na Vahida, który wydaje się dumny, jakby przyzwyczał się już do tego, że do kogoś należy, jakby przywykł do małżeństwa i bycia odpowiedzialnym. Ponownie jestem zaskoczona tym, że mnie wybrał, dał mi pierścionek, odzegał się od uganiania za dziewczynami, za dreszczykiem emocji. Przypominają mi się chwile, kiedy się poznaliśmy i nie lubiliśmy nawzajem, kiedy jego zachowanie mnie zaskakiwało i nie mogłam go zrozumieć.



Kiedy wyjeżdżamy z Kaszanu, pakuję nasz wspólny dobytek do torby, a Vahid kupuje posiłek, który zjemy w pociągu.

Gdy składam jego zapasową koszulę i wkładam drewniany grzebień pomiędzy moje rzeczy, spoglądam na pierścionek na palcu. Obluzowały się jeszcze dwa diamentyki; niedługo wszystkie odpadną i się pogubią. Traktuję

je jako symbol wyrażający kruchość – niektóre odpadają, podczas gdy inne uparcie tkwią na swoich miejscach.

Przybywamy na dworzec i zajmujemy miejsca w poczekalni, trzymając bilety kupione dzień wcześniej w biurze podróży. Vahid pewnym głosem przeliterował nasze nazwiska i stanowczym skinieniem głowy potwierdził, że chcemy siedzieć razem. Nie będąc dla siebie obcy, wsiadamy do pociągu i przygotowujemy się na siedmiogodzinną nocną podróż, która zakończy się w Jazdzie o trzeciej w nocy.

Jego rodzice dzwoniли dwa razy dziennie i nalegali, byśmy wrócili tak szybko, jak to możliwe. Czasami Vahid podawał mi telefon, żebym mogła usłyszeć ich głosy, ale głównie zdawałam się na niego, a on przekazywał ich prośby. Decyzja zostaje podjęta bez słowa. Wiem, że chce, bym pojechała z nim. Chociaż pragnę być z nim sama, zgadzam się spędzić ostatnie dni z jego rodzicami w ich domu.

Vahid jest zadowolony, ale ja wciąż jestem podminowana, nie wiem bowiem, czego mam się spodziewać. Czy mogę być częścią rodziny, nawet o tym nie wiedząc? Czy zostanę przyjęta i zaakceptowana, może pokochana? Podczas podróży mam wrażenie, że znowu stałam się nastolatką oczekującą aprobaty. Strach i wątpliwości sprawiły, że gdzieś zniknęły lata stabilizacji i pewności siebie.

Pociąg przejeżdża przez zielone, łagodne wzniesienia, po czym, gdy zapada noc, wjeżdża w góry na pustyni. Oprócz pojawiających się sporadycznie świateł wsi lub odległego miasta jest ciemno, więc włączamy górne światła, by coś widzieć.

Kiedy wjeżdżamy na dworzec, zaczynam panikować. Chcę powiedzieć Vahidowi wszystkie te rzeczy, o których nie miałam okazji wspomnieć. Ale brakuje na to czasu i w jednej chwili nasze cztery wspólnie spędzone tygodnie zdają się niczym: jakąś rzewną historią, którą z łatwością można rozłożyć na części i odłożyć na bok. Vahid natychmiast dostrzega napięcie na mojej twarzy. Bez przerwy sprawdzam, jak wyglądam, podczas gdy on zbiera nasze rzeczy i prowadzi mnie do wyjścia z pociągu.

Jako córka wiem, jak rodzice patrzą na dziecko, które minęło jakiś punkt

zwrotny w swoim życiu i zostało przezeń odmienione. Widziałam, jak zmieniają się ich twarze, gdy to sobie uświadamiają. Wiem, że często jest to związane ze łzami i emocjami, usta drżą, a w gardle zasycha. Świadomość bywa zarówno błoga, jak i bolesna, jak siła przyływu, który przybliży dziecko, zanim gwałtownie zabierze je ze sobą. Nauczyłam się rozpoznawać to uczucie u moich rodziców w sytuacjach, które zdefiniowały moje dzieciństwo: kiedy sama przeszłam kilometrowej długości podjazd, trzymając w ręce plastikowe pudełko na drugie śniadanie, lub gdy najszybciej z klasy przebiegłam sto metrów.

Ojciec Vahida czeka na nas na peronie, jest ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy. Na jego twarzy nie ma śladu zrozumienia sytuacji. Wydaje się niższy, niż go zapamiętałam. Jedną ręką zasłania usta, by stłumić kaszel, a może ziewnięcie. Przeszukuje wzrokiem tłum, żeby nas znaleźć, więc Vahid podnosi rękę, by zwrócić jego uwagę. Kiedy nas widzi, idzie wyprostowany, powoli w naszą stronę. Ma tak nieobecne spojrzenie, że przez sekundę zastanawiam się, czy nie zostać w pociągu. Cofam się, czując strach, bo właśnie nadeszła ta chwila.

Na peronie stoję daleko od Vahida i wszystko zdaje się cofać do przeszłości. Podają sobie z ojcem ręce i widzę, że Vahid sztywnieje, gdy ojciec go obejmuje. Tak pochłania ich rozmowa, że puszczam ich przodem. Nie ma sensu iść obok nich. Podążam za Vahidem, jakbyśmy się nie znali. Już teraz wydaje się, że jest wiele mil ode mnie.



## Rozdział piętnasty



Matka przytula i całuje Vahida, jakby wyjechał na kilka miesięcy. Potem, przypominając sobie, że i ja stoję na progu, puszcza go i obejmuje mnie. Na palcu lewej ręki nadal mam obrączkę; Vahid nalegał, żebym jej nie zdejmowała.

Od razu rozpoznaję znajomą woń ich domu, słodki, atramentowy zapach dywanu w dużym pokoju. Cytrynowe pieniące się mydło, którym jego mama wypełnia zlew, żeby umyć piec. W kuchni świeci się światło. Duży czerwony garnek z powyginaną rączką suszy się do góry dnem na ociekaczu przy zlewie. Dzbanek z miarką na ryż został wypłukany i wisi na gwoździu gotowy na jutro.

Odnoszę wrażenie, że zaakceptowali to, co się stało od naszego ostatniego spotkania. Że rozumieją i że robią dla mnie miejsce w swoim życiu. Może Vahid wziął ich na bok lub porozmawiał z nimi przed naszym przyjazdem, a może sami wyczuli, że coś się zmieniło.

W przeciwieństwie do tego, co było, teraz jestem traktowana bez zbędnych formalności, jakby nie dostrzegali już mojej kruchości i delikatności w zderzeniu z ich światem. Wszystko spowszedniało. Panuje lżejsza atmosfera. W domu jest bałagan, naczynia piętrzą się w zlewie. Herbaty już nie podaje się na tacy. Przygotowano dla mnie pojedyncze łóżko w pokoju siostry Vahida i po raz pierwszy śpię bez żadnego towarzystwa, zupełnie sama.

Normalnie mama Vahida zajrzałaby do mnie, zainteresowała się tym, co robię, poszła za mną do łazienki i przyniosła świeżą kostkę mydła. Raz, gdy

układam ubrania na brzegu łóżka, łapię ją na tym, że na mnie patrzy, wręcz pożera mnie wzrokiem. Ale nie podchodzi bliżej, choć tego się spodziewam, tylko się wycofuje, trącając zasłonę z koralików oddzielającą sypialnię od reszty mieszkania.

Vahid nie stara się ukryć naszej bliskości. Woła mnie spod prysznic, bym przyniosła mu butelkę szamponu, którego używaliśmy w Kaszanie. Rozkłada koce na podłodze i kładzie się koło mnie, żeby oglądać filmy. Czuję się zażenowana, mając go przy sobie, wyrywam rękę, którą on chce pocałować, gdy jego mama się odwraca. Ale rodzice nie przejmują się jego zachowaniem i przez większość czasu dają nam swobodę.

Mama Vahida wygląda na przygaszoną, może jest zmęczona. Wyczuwam narastającą frustrację. Kiedy nalewam herbatę, wydaje mi się, że nie jestem odpowiednią do tego osobą. Kiedy razem wchodzimy do kuchni, żeby przygotować posiłki, robimy to szybko i niedbale. Mięty do zupy już nie podgrzewa się na maśle. Pomija się składniki poprawiające smak potraw, takie jak prażone orzechy włoskie i siekany koper do omletów. Brakuje mi głębszego porozumienia między nami, ale ono okazuje się niemożliwe. Czuję się dezorientowana, odrzucona. Jakby nie chciała tracić słów na zmianę sposobu naszej interakcji ponad to, co konieczne.

Ona również jest zagubiona i nie wie, co o mnie myśleć. Pewnego wieczoru otwiera album z jego zdjęciami z dzieciństwa i z uśmiechem kładzie mi go na kolanach. Zarzuca mnie szczegółami, przybliży mi go i wciąga mnie do swojego świata. Potem mnie porzuca. Jej nastroje ciągle się zmieniają. W jednej chwili jest beztroska i spokojna, po czym traci humor, staje się ponura i okrutna. Czasem jakiś drobiazg wyprowadza ją z równowagi.

Czuję się upokorzona, kiedy przegląda moje pranie. Wchodzę do kuchni i widzę swoją brudną bieliznę rozrzuconą po podłodze. Ona woła Vahida i każe mu wyjaśnić mi, że nie może wrzucić tych rzeczy do swojej pralki. Gdy kucam, słyszę, że szepcze coś o tym, że jestem nieprzyzwoita, wspomina jakieś średniowieczne zabobony wskazujące na to, że jestem w ciąży. Widzę zniesmaczenie na jej twarzy, gdy zbieram bieliznę

i wychodzę z kuchni.

Za każdym razem, gdy wchodzi do jakiegoś pomieszczenia, przypomina mi, że tu nie pasuję. Czuję się przytłoczona jej obecnością i pragnę powietrza. W innym miejscu mogłabym wyjść, przewietrzyć głowę, ale jestem w pułapce. Zapiaszczone drogi prowadzą z apartamentowców we wszystkie strony. Nie ma dokąd pójść.

Trzeciej nocy wchodzę do swojej sypialni po umyciu zębów i zastaję tam Vahida leżącego na podłodze obok łóżka. Wiem, że takie zachowanie byłoby szokiem dla jego rodziców, więc trącam go stopą, by się obudził, ale on mruczy pod nosem i udaje, że śpi. Zdenerwowana, wchodzę do łóżka, obawiając się, że to już za wiele. Wstrzymuję oddech, kiedy słyszę, że jego ojciec przechodzi obok, i nastawiam się psychicznie na jakąś jego reakcję, ale leżę bez ruchu i lekko przymykam oczy. W ciemnościach widzę jego sylwetkę zatrzymującą się w wejściu. Potem słyszę skrzypienie zamykanych drzwi i odgłos oddalających się kroków.

Następnego ranka nie ma żadnej rozmowy na ten temat, a Vahid każdej nocy przychodzi i rozkłada swoją kołdrę na podłodze koło mojego łóżka. Jeśli kiedykolwiek był jakiś wyraźny sygnał tego, co jest między nami, to musiało to być właśnie to. Ale rodzice Vahida z niczym się nie zdradzają. Jak to możliwe, że są w stanie trzymać język za zębami? Zastanawia mnie to. A może nadal uważają, że fakt spania obok mnie w moim pokoju to jakiś dziwaczny sposób okazywania gościnności? Gest starszego brata, chroniącego mnie, biedną cudzoziemkę?

Nieustannie szukam kontaktu z jego mamą. Staram się zająć miejsce, które – mam nadzieję – jest moje. W kuchni jestem przy niej, miażdżę orzechy włoskie i odmierzam ryż, ponownie zachowuję się jak córka, którą chcę zostać. Pewnego dnia idę z nią na cmentarz, by złożyć sztuczne kwiaty na czarnych granitowych płytach jej krewnych. Opiera się na moim ramieniu, zachmurza się, a ja czuję się tak, jakbym zapuściła korzenie. Chyba osiągnęliśmy porozumienie, jej przywiązanie do mnie jest trwałe i solidne.

Tego popołudnia Vahid badawczo mi się przygląda. Rozumiem, co znaczy dla niego więź między mną a jego matką – daje mu spokój, którego tak



pożąda. Może daje mu też odwagę, by zrobić to, co robi. Nie mógł przypuszczać, że tak to się skończy.

Opuszczamy cmentarz i wsiadamy do samochodu. Vahid siada za kierownicą. Przekręca kluczyk i ustawia nawiew, kierując go na tył auta, gdzie siedzę za jego mamą.

– Zapytam mamę, czy wyobraża sobie, że mogłabyś kiedyś zostać moją żoną – mówi po angielsku, wiedząc, że ona tego nie rozumie.

Uśmiechamy się do siebie, spodziewając się jej aprobaty, a ja zachęcam go lekkim skinieniem głowy. Staram się patrzeć przez szybę, udając, że nie mam pojęcia, co zaplanował. Odziane na czarno kobiety trzymają dzieci za ręce i przechodzą między rzędami nagrobków. Bukiety czerwonych i białych goździków toczą się po ziemi gnane wiatrem. Zaczynam się niepokoić, chcę, by ta chwila już minęła.

Odwraca się w stronę swojej mamy i zadaje jej pytanie. Ona nie reaguje i wpatruje się w jakiś punkt w powietrzu. Cisza przeciąga się tak długo, że zastanawiam się, czy w ogóle go słyszała, widzę też wyraz frustracji na twarzy Vahida.

– Mamo – powtarza głośno i nie odrywa od niej wzroku.

A potem nadchodzi bardzo stanowcza odpowiedź. Tylko jedno słowo: „Nah”.

Nie wiem dokładnie, w którym momencie zaczęłam płakać, a kiedy dopiero byłam na skraju płaczu. Osłabiona, zapadam się w fotel. Kiedy dojeżdżamy do domu, tracę przytomność na dziedzińcu jak ogłuszona.

Nie chodzi o to, że uważam, iż zostałam potraktowana złośliwie czy nawet świadomie wykluczona. Chodzi o to, że jestem kimś tak nieistotnym, kimś wyraźnie poza tym, co w ich głowach jest dopuszczalne. Jeśli zaburzyłam nieco ich plany związane z Vahidem, jest to sprawa przejściowa. Jeśli przyczyniłam się do zamieszania, wszystko się uspokoi, gdy wyjadę. Jego rodzice mają taką pewność, że jestem nieodpowiednią partią, że nawet nie warto mnie brać pod uwagę.

Nie ma mowy o bliskości i seksie. A jeśli już, to są to smutne, desperackie zbliżenia, które wydają się nieprzyzwoite. Raz robimy to na podłodze

w sypialni jego siostry, gdy rodzice udają się na spoczynek, i zatykamy sobie nawzajem usta rękoma, by stłumić dźwięki. Innym razem wchodzimy na tylne siedzenie samochodu jego rodziców, zaparkowanego w ciemnym piwnicznym garażu. Gdy po wszystkim siedzimy w samochodzie – moja bielizna jest opuszczona do kostek, szyby zaparowały, opakowanie prezerwatyw wciąż tkwi w dłoni Vahida – chowam twarz w dłoniach i zaczynam płakać.

Kiedy oni już ze mną skończyli, wydaje mi się, że nigdy tak naprawdę nie wierzyłam, iż to się powiedzie. Ale w głębi serca chciałam w to wierzyć; nawet teraz jest mi trudno choć trochę nie wierzyć. Nigdy nie będziemy dla siebie rodziną, a jego rodzice i ja nigdy już się do siebie nie zbliżymy. Od tej chwili będzie tylko gorzej. Odczuwam wyraźnie, że wszyscy tylko czekają na mój wyjazd.

Vahid wygląda, jakby go ktoś zdzielił w brzuch. Staje się niespokojny i wciąż domaga się, byśmy pojechali gdzieś samochodem. „Nie wiem, co mam zrobić” – mówi do siebie, gdy mkniemy w nocy autostradą przez pustynię. W każdej innej sytuacji byłabym szczęśliwa, będąc przy nim, oparta o niego, gdy prowadzi, ale w te wieczory czujemy się jak uchodźcy.

Patrzę na niego. Człowiek, który walczył i zabiegał o mnie z takim przekonaniem, zmienił się w kogoś straconego i pokonanego. Przygarbił się, twarz mu stężała. Znowu wygląda tak jak wtedy, gdy go poznałam, kiedy wydawał mi się nieprzystępny i niemiły.

Dopiero teraz rozumiem wagę tego, z czym się zмага, chcąc się przeciwstawić rodzicom, jak hermetyczne i odporne na nowości są ich poglądy. Aż serce boli, że mieszkając razem z nim przez całe życie, nie mają pojęcia, czego on pragnie. Nie ciągnie go do mocno wymalowanych kuzynek z brwiami namalowanymi ołówkiem do oczu, których fotografie zbierają i od lat mu pokazują.

Pewnego wieczoru Vahid jest tak strapiony, że zatrzymuje samochód i nalega, byśmy zamienili się miejscami. Za kierownicą czuję się od razu weselsza i spokojniejsza, pierwszy raz od tygodni mam nad czymś kontrolę. Nawet Vahid zdaje się odprężyć, gdy mkniemy przez drogę wijącą się

między górami i cieszymy się otwartą przestrzenią i niebem nad nami. Jedziemy w ciszy, on głaszcząc moje włosy, całuje mnie w policzek, gdy mijamy pastwisko upstrzone owcami. Ponownie przez chwilę czujemy się wolni, zdani tylko na siebie, z dala od wszystkiego, co wytrącało nas z równowagi w ostatnich dniach.

Vahid każe mi skręcić i wjeżdżam na posypany żwirem parking. Za nim widzę duży trawiasty teren oświetlony światłem jarzeniowym oraz sporą okrągłą fontannę. Mimo późnej godziny park jest pełen dużych grup ludzi oraz rodzin; leżą na kocach, jedzą pomarańcze i pestki słonecznika ze szklanych półmisek. Idziemy na łagodnie wznoszący się pagórek, siadamy na dwóch ręcznikach zabranych przez Vahida z samochodu. Automatycznie przestawiam się na tryb zachowania typowy dla Jazdu i upewniam się, że siedzimy co najmniej metr od siebie.

Vahid jednak nie ocenił sytuacji należycie. Przyjazd w to miejsce był złą decyzją. Jesteśmy jedyną parą pośród kilkuset rodzin oraz grup liczących od dwunastu do nawet dwudziestu osób. Zerkają na nas podejrzliwie, wręcz wrogo. Napięcie wisi w powietrzu. Przekaz jest wyraźny: nie jesteśmy tu mile widziani.

Policja pojawia się w ciągu dziesięciu minut. Ponownie odciągają Vahida na bok i przepytują. Słucham, jak zarzucają go oskarżeniami. „Otrzymaliśmy trzy zgłoszenia od ludzi, którzy prosili, byśmy tu przyjechali. To miejsce dla rodzin. Są tu dzieci. Powinieneś wiedzieć, że nie możesz tu przychodzić sam z dziewczyną, szczególnie z zagranicy. A poza tym, to gdzie są twoi rodzice?”.

Ponownie Vahid wyjmuje z kieszeni dokumenty demobilizacyjne i zalaminowany dowód osobisty. Znowu oficerów interesuje tylko kilka dat. Znowu ta dysproporcja: siedzenie na trawie ściągnęło do nas nie jednego, ale trzech policjantów. Jedzenie ustało, ludzie odwracają głowy w naszą stronę. Zaczynam drżeć. Jestem zmęczona byciem w centrum uwagi i ciągłym ponizaniem. Narasta we mnie poczucie porażki, że wciąż jestem po złej stronie reguł, których nie można łamać, i oczekiwań, którym trzeba sprostać.

Podczas pobytu w Kaszanie czasami wyobrażałam sobie, że pewnego dnia

będziemy mogli razem podróżować. Chciałam, żeby zobaczył moje ulubione miasta i odkrywał nowe miejsca. W myślach widziałam nas, jak jeździmy na rowerach wzdłuż kanałów, kupujemy falafele i sok z marchwi na tureckim targu w Berlinie albo zrywamy gorzkie pomarańcze z drzew i jemy kasztany kupowane z wózków na ulicy w Jerez. Rozmyślałam o pogmatwanej, złożonej kulturze europejskich miast, które mogłyby mu się spodobać, ułatwić mu adaptację do życia poza Iranem. Później, kiedy już by się przyzwyczaił, jeździlibyśmy dalej i dalej, wsiadalibyśmy na rozklekotane promy płynące na azjatyckie wyspy, zabierali się autostopem na prawie puste brazylijskie plaże. Nawet nie wiedziałam, czy umie pływać.

Przemknęło mi kiedyś przez myśl, że pewnego dnia moglibyśmy mieć dziecko. Raz, gdy łaziliśmy po starej części Jazdu, zobaczyłam chłopca, który mógłby być naszym synem. Szukaliśmy zielarza, o którym Vahid słyszał. Może byłam w marzycielskim nastroju. Jakiś człowiek, którego zapytaliśmy o drogę, uśmiechnął się i powiedział, żebyśmy byli ostrożni, bo sprzedawane w sklepie rzeczy mają magiczne moce. Kiedy znaleźliśmy ten sklep, uznaliśmy, że wygląda na jaskinię, głęboką, ciemną i tak zimną, że zaczęłam drzeć. Na ścianach wisały arkusze folii aluminiowej, a półki aż trzeszczały pod ciężarem niezliczonych słoiczków z ziołami i proszkami. Tylko dwie osoby naraz mogły wejść do środka, ponieważ pomiędzy stojącymi na podłodze wielkimi workami suszonych kwiatów i liści było niewiele miejsca.

Gdy wcisnęliśmy się do wnętrza, Haji Akbar – zielarz – podszedł i zmierzył mnie wzrokiem. Miał tak poważną minę, że aż podskoczyłam. Jego grube białe brwi uniosły się pod takim kątem, że nie miałam pojęcia, co mam powiedzieć. Teraz domyślam się, że jego postawa wyrażała troskę, jako że założył, iż pokonaliśmy długą drogę, by go odszukać. Żałuję, że nie poszłam do niego z listą przypadłości do wyleczenia lub jakąś tajemniczą dolegliwością czy bólem, który mógłby uśmierzyć. Zamiast tego, próbując się uspokoić, pokręciłam się po jego sklepie, wskazując palcem różne rzeczy i podając mu pieniądze. Wyszliśmy ze słojem mętnego miodu, który zabiorę do domu, oraz małą plastikową torebką białych nasion *golpar* do zjedzenia z gotowaną fasolą szparagową.

Gdy moje oczy przyzwyczyły się do światła na zewnątrz, zauważyłam tego chłopca. Jego skóra była gładka i miał intensywnie zielone oczy. Zatrzymałam się i patrzyłam na jego jasne włosy i oliwkową cerę. Idąc, szurał butami po ziemi; wydawało się, że podobają mu się małe obłoczki kurzu, które za sobą zostawiał. Mając tak nietypowy wygląd i dziwną, niezależną naturę, spokojnie mógłby być nasz, mój i Vahida. Nie chichotał i nie wrzeszczał do mnie „cześć”, tylko spokojnie patrzył. Jego twarz nie wyrażała niepewności ani lęku, tylko niezachwianą chłopięcość i poczucie bezpieczeństwa, jako że znajdował się na własnym terenie.

Kiedy przeszedł, powiedziałam Vahidowi, że jeśli kiedykolwiek będziemy mieć dziecko, powinno ono przypominać tego chłopca. Vahid śmiał się i twierdził, że nasze będzie ładniejsze, jakby nie trzeba było niczego więcej mówić.

Kiedy policjanci kończą z nami, wracamy do domu. Czuję pewność, że nic więcej nie może nas spotkać. Gdy wysiadamy z samochodu, ochroniarz przyzywa Vahida. Zostaję sama na ulicy. Przyglądam się ich rozmowie i szukam jakichś wskazówek w ich postawie.

– Jenny, wczoraj była tu policja – mówi Vahid, przywołując mnie do siebie. – Śledzili nas tego dnia, gdy przyjechaliśmy do domu z dworca. Widzieli cię i myśleli, że jesteś szpiegiem, więc zjawili się tu wczoraj, by nam narobić kłopotów.

Strażnik mówi, że chcieli wiedzieć, gdzie się zatrzymałam. Kiedy im nie powiedział, popychali go i krzyczeli, nakazując sporządzić listę wszystkich mieszkańców bloku i numerów mieszkań. Przyglądam się jego twarzy, gdy opowiada o tym zdarzeniu i mówi o swojej odmowie; widzę dumę z tego, że nas ochronił. Moja obecność dała mu poczucie celu, była katalizatorem jego sprzeciwu wobec funkcjonariuszy *basiji*.

Oczywiście mam świadomość, że to poważna sprawa, choć brzmi tak absurdalnie. Staram się wyobrazić sobie mężczyzn w mundurach walących w drzwi mieszkania Vahida i przeglądających moje notatki i zdjęcia – i znajdujących jedynie przepisy oraz fotografie potraw. Vahid jest spięty, gdy odchodzimy. Przekaz jest jasny dla nas obojga. Wygląda na to, że wszyscy

czekają tylko na mój wyjazd.

Wyruszamy więc z samego rana; bierzemy taksówkę na dworzec, nie chcemy, by ktoś nas podwoził. Wyjeżdżamy w ciemności jak przestępcy; pakujemy się w pośpiechu. Częściowo niesiemy, częściowo ciągniemy za sobą torby, nasze rzeczy powrzucaliśmy byle jak do kieszonek i niezapiętych torebek. Drżymy, stojąc na peronie i czekając na pociąg do Teheranu. Ze smutkiem stwierdzam, że to doskonały sposób na wyjazd. Tak naprawdę to jedyny sposób.



## *Rozdział szesnasty*



Nie tutaj chciałam spędzić naszą ostatnią wspólną noc, nie tak daleko od Teheranu. W oddali widać tylko autostradę i niekończącą się, poranioną ziemię, na której planuje się budowę identycznych kompleksów apartamentowców.

Wszystko wygląda na wpół ukończone. Niektóre hałdy ziemi są tu już tak długo, że zaczęły na nich rosnąć żółte dzikie kwiaty. Inne są pokryte tak twardą skorupą, że można na niej usiąść. Jakaś przedsiębiorcza osoba wykorzystała okazję i na świeżej ziemi zrobiła grządki, na których uprawia warzywa. Proste rzędkie pomidorów i bakłażanów zaczęły już owocować. Starannie wykonany baldachim z patyków i podartych na paski plastikowych plandek odstrasza ptaki wystarczająco długo, by dać roślinom szansę na wzrost. W tym krajobrazie rozdartej ziemi, jałowych budynków i podrywanych wiatrem śmieci ogródek robi wrażenie jedynej zadbanej rzeczy.

Mieszkanie, w którym śpimy, aktualnie nie ma najemcy. Poprzedni mieszkańcy wyprowadzili się tydzień temu, pozostawiając ślady swojej bytności w formie porzuconej gąbki na brzegu zlewu i podkładki z poplamionej folii aluminiowej pod palnikami na kuchence. Mieszkanie urządzone w kolorach musztardowym i zielonym wygląda tak, jakby miało służyć klasie średniej. Niskie kanapy ustawiono naprzeciw panoramicznego okna zasłoniętego grubą niebieską kotarą. Łazienka jest wyposażona w toaletę w stylu europejskim zamiast dziury w podłodze. Wynajmowane na spółkę taksówki zatrzymują się na szczycie wzgórza, skąd zabierają ludzi

jadących do centralnego Teheranu, dzielnic takich jak Shemroon i Tajrish lub dalej, do przemysłowego miasta Karaj. To przedmieście niewiele różni się od innych takich miejsc. W sklepie na dole sprzedają chleb i małe ogórki długości palca, które wraz z serem, miętą i oliwkami złożą się na nasz ostatni wspólny posiłek.

Mieszkanie należy do dawnego dowódcy Vahida z wojska – otrzymanie kluczy wymagało wysłania ponad dwudziestu esemesów i wykonania kilku telefonów. Już gdy siedzieliśmy w pociągu, Vahid zaczął dzwonić do wszystkich osób, które znał w Teheranie, po kolei wybierając numery tych, którzy służyli z nim w wojsku. Każdy, z kim rozmawiał, zdawał się wyrażać zainteresowanie sprawą. Wieść o tym, że wstąpił w związek małżeński, rozeszła się lotem błyskawicy. Bez zbędnych słów zrozumiano, że musi mieć jakieś bezpieczne miejsce, by spędzić noc ze swoją nową żoną.

Zanim odebraliśmy klucze, spędziliśmy czas w Teheranie, chodząc z miejsca na miejsce. Deszcz sprawił, że nigdzie nie zatrzymywaliśmy się zbyt długo. Usiedliśmy za zaparowanymi oknami w taniej kafejce, wydając ostatnie nasze pieniądze na mózdzek jagnięcy, smażony na okrągłej blasze i wkładany do rozciętej bułki z keczupem. W radiu leciał mecz piłki nożnej. Młodzi chłopcy, którzy pracowali w kuchni, na zmianę wymykali się na dwór na papierosa. Miałam poczucie winy wobec Vahida za to, co miałam zrobić, czyli zostawić go na dobre.

Kiedy dojechaliśmy do Teheranu, widziałam, że Vahid był nieco zbity z tropu. Oprócz tego czasu, gdy był w wojsku, nie miał okazji poznać miasta. Wiedział mniej więcej tyle co ja, że na północy mieszkają bogaci, a biedni na południu, a poza tym byliśmy zagubieni.

Gdy pochodziliśmy po mieście, okazało się, że jest podobne do innych irańskich miast, które znaleźliśmy, podzielone na dzielnice związane z różnymi rzemiosłami. Ulica Kalhor składała się z niekończących się rzędów sklepów sprzedających części do samochodów. Na ulicy Manoochehri stały wielkie zbiorniki i handlowano jesiotrem z Morza Kaspijskiego i rzeczonym pstrągiem. Sklepy z warzywami skupiały się wokół placu Engelhab i oferowały awokado i rozmaryn, których nie widziałam od tygodni. Chyba



największa różnica polegała na tym, że prawie w ogóle nas nie niepokojono – nawet nikt na nas nie patrzył. Zupełnie zniknęliśmy w tłumie, który różnił się od tego w Londynie czy Nowym Jorku tylko znakami w farsi oraz pudełkowatym kształtem samochodów.

Anonimowość złagodziła nasz niepokój. Chociaż czuliśmy zmęczenie i opadały nam powieki, byliśmy szczęśliwi, że znowu razem wyjechaliśmy. Chodziliśmy po dzielnicy Azeri w południowym Teheranie, wchodziliśmy na dziedzińce starych posiadłości z lat dwudziestych dziewiętnastego wieku, zarośnięte zdziczałą winoroślą i krzakami róż. Ssaliśmy małe kawałki galaretki i kandyzowanych orzechów i całowaliśmy się, gdy nikogo nie było w pobliżu. Czuliśmy rozpaczliwą potrzebę, by przekształcić nasz związek w coś stałego. Łaziliśmy po ulicach, czekając, aż wreszcie będziemy mogli udać się do miejsca, gdzie spędzimy noc.

Zatrzymaliśmy się przy małym meczecie. Usłyszałam przenikliwy dźwięk dochodzący ze środka. Tabliczka nad drzwiami głosiła: „Bóg przeklina zabójcę Fatameh”. „Meczet Noor” – napisano zielonym sprejem poniżej.

Podeszło do nas dwóch mężczyzn, rozkładając ręce; zdawało się, że chcą, byśmy weszli do środka. Ponad ramieniem usłyszałam, że jeden szeptem pyta Vahida, czy nie będę się bała. Budynek wyglądał skromnie, nawet obskurnie, w niczym nie przypominał wielkich meczetów, do których przywykłam, przyozdobionych siedmioma odcieniami turkusowego i szmaragdowego. Brakowało tu potężnych kolumn i olbrzymich łuków o sklepieniu kopułowym oraz skomplikowanych wzorów na fasadzie, którą zdobiono przez piętnaście lat. Zamiast tego panowała tu prostota, ściany pokrywał kredowy biały tynk. Wejście oplecione kablami oświetlała pojedyncza okrągła lampa.

W kontraście do żalostnego zawodzenia i szlochania dochodzącego ze środka ciężkie drewniane drzwi były pomalowane na radosny zielony kolor. Niepewnie wyciągnęłam rękę i popchnęłam je ostrożnie.

Panował tam ogromny, przesywający jazgot, jęk i płacz dzwonił mi w uszach. Odwróciłam się do wyjścia, nie mogąc tego znieść, ale Vahid chwycił mnie za rękę i przytrzymał. Moje oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności. Zobaczyłam wznoszącą się nawę i drewnianą ławkę. Potykając

się, dotarłam do niej i usiadłam, przerażona, że weszliśmy nieproszeni na czyjś pogrzeb. Wytężałam wzrok, by dostrzec jakiś ruch, spodziewałam się, że ktoś do nas podejdzie i każe nam stąd wyjść. W środku było zupełnie ciemno, nie widziałam nawet własnych stóp.

Słyszałam wykrzykiwane imiona, płaczliwe prośby o pomoc i wybaczenie. Pochyliłam głowę i chociaż nikt nie mógł mnie zobaczyć, policzki płonęły mi z zażenowania i poczucia winy.

Wyczułam, że Vahid znalazł się obok mnie. Pochylił się i odsunął chustę z mojego ucha, by mi wyjaśnić, że weszliśmy do żałobnego meczetu, specjalnego miejsca dla tych, których gnębi smutek i żal. Okna są zaciemnione, by ukryć ich tożsamość. Światła wyłączono, żeby chronić dumnych i nieśmiałych. Mrużyliśmy oczy w ciemności, wdychając zapach starych dywanów; czuliśmy wibrowanie w piersiach.

Wydawało mi się niewiarygodne, że Irańczycy, którzy starannie skrywają prywatność i nawet nie używają swoich imion w miejscach publicznych, przychodzą tu z najbardziej osobistymi sprawami i żałami, wybierając płacz i wycie w mroku tego pomieszczenia. Mój strach powoli zmienił się w spokój, nawet wyzwolenie, pozwoliłam sobie na płacz bez poczucia wstydu. Vahid przykrył moją dłoń swoją i wydawało się, że te całkowite ciemności, smutek i dyskrecja to odpowiednie miejsce dla nas

Żałuję, że dopuściłam do siebie tę myśl, ale zrodziła się, zanim zdołałam ją od siebie odepchnąć. Wiedziałam, że nadeszła pora na rozstanie, Vahid miał pozostać obcą dla mnie osobą. Jego życie będzie się toczyło dalej, kształtowane przez ludzi i wydarzenia, które nie będą miały nic wspólnego ze mną.

Pomyślałam o nim w nadchodzących miesiącach, o tym, że powróci do spraw, które dobrze zna. Ponownie znajdzie schronienie u swojej rodziny, poszuka pracy, może będzie zmuszony zapuścić brodę. Nie miał paszportu, nigdy nie wyjeżdżał z kraju. A poza tym był Irańczykiem, więc gdzie mógłby pojechać?

Teraz, gdy patrzę na Vahida w tym nędznym apartamencie, wydaje się, że jest skruszony. To nie tutaj chciałam spędzić naszą ostatnią wspólną noc. Nie

wiem, czego się spodziewałam. Uczty przygotowanej w kuchni jego mamy? Kilkudziesięciu wiwatujących krewnych siedzących w kółku na podłodze?

Jego spojrzenie wyraża wstyd, że mnie tu przywiózł. Ale wiem, że to najlepsze, co mógł dla mnie zrobić, i staram się go zapewnić, że wszystko jest w porządku. Moja torba stoi na wycieracze przy drzwiach; nie warto jej rozpakowywać. Nie ma tu łóżka, więc będziemy spali na kocach rozłożonych na dywanie. Mały grzejnik podłączony jest do ściany obok nas. Na podłodze leży plastikowa mata, na której postawiliśmy nasz prosty posiłek.

Leżąc razem ze mną w wymoszczonym kołdrami i kapami legowisku, Vahid mówi, że muszę do niego wrócić. Ma oczy pełne łez i głos zaczyna mu drżeć. Trudno mi na niego patrzeć. Wiem, że chociaż może mnie uszczęśliwić, może też przyczynić się do mojego smutku. Nie wiem nawet, czy udałoby nam się przetrwać razem lub co mogłoby stanąć nam na drodze. Może w Teheranie jakoś ułożylibyśmy sobie życie albo on mógłby spróbować wyjechać do Anglii. Byłabym zmuszona zostać jego mentorką i rodzicem, prowadzić go i wspierać w nowym życiu. Wszyscy sądziliby, że miał szczęście, mogąc tu przyjechać, postrzegaliby to jako ucieczkę z krainy koszmaru. Tylko ja rozumiałabym, że cierpi i tęskni za tym, co musiał opuścić.

Niewiele już nam zostało. Ostatni czuły, wykańczający seks i kilka godzin niespokojnego snu, zanim o czwartej rano przyjedzie nasza taksówka. Czterdzieści pięć minut w taksówce, pięć minut na przepchnięcie moich bagaży przez chaotyczne barykady ochrony, kolejne dziesięć na znalezienie napisu „Londyn” złożonego z poprzestawianych liter. Może dostaniemy jeszcze dwadzieścia minut, by usiąść w jakimś spokojnym miejscu pod bacznym spojrzeniem pracowników lotniska, którzy sprawdzą mój paszport i wizę, skrobiąc w nie paznokciami. Potem przejdę przez bramkę, po raz pierwszy od tygodni bez Vahida, i zniknę.



Jedenaście wspomnień, które zabieram ze sobą:

*nimeh ye zohr* – pozycja słońca, kiedy na ziemię nie pada cień, nasza najmniej ulubiona pora dnia;

*taarof* – tyle razy trzeba odmówić prezentu, zanim się go przyjmie, aby osoba bez środków mogła bez trudu okazać hojność;

*jigar* – wątroba, organ, o którym mówi się, że odczuwa emocje, podobnie jak serce, ale ze względu na to, że zbudowany jest tylko z miękkiej tkanki, uważa się, że jest najwrażliwszy;

*noon khoshk* – kawałki pieczywa, które mama Vahida zbierała w torbie stojącej w kuchni na podłodze, a następnie wręczała mężczyźnie, który przychodził dwa razy w tygodniu i sprzedawał je na karmę dla zwierząt;

*livaan* – metalowy kubek, który Vahid wszędzie ze sobą zabierał i napełniał go wodą pitną z wodotrysków, żebyśmy mogli zaspokoić pragnienie;

*tokhmeh khordan* – sposób jedzenia słonecznika, którego nauczyłam się od Vahida, polegający na rozgryzieniu pestki zębami i wysaniu zawartości jednym ruchem, przez co w ustach zostaje tylko lekki posmak soli z łupiny;

*yaaftan* – oznacza znalezienie czegoś pięknego w miejscu, gdzie się tego najmniej spodziewasz lub gdzie musisz bardzo się o to postarać;

*payvand zadan* – czynność polegająca na sklejanu ze sobą dwóch rzeczy dla ich bezpieczeństwa, przestarzałe wyrażenie określające małżeństwo;

*joob* – kanały wzdłuż ulic w Jazdzie, dostarczające drzewom granatu i cyprysom wodę ze studni;

*gholob gholob* – dźwięk wydawany przez Vahida podczas picia ciepłego mleka z korzeniem orchidei; które jego mama przyrządzała mu, gdy był dzieckiem.

*roon e morgh* – nóżka kurczaka, najbardziej lubiana przez Vahida część, którą obierał z mięsa zębami, po czym wysysał szpik z kości. Na mnie też tak mówił.



## *Rozdział siedemnasty*



Naprzeciw nas jakaś kobieta czyta książkę i odgryza kęsy z kanapki owiniętej w folię. Dwie dziewczyny gapią się w swoje puderniczki i poprawiają makijaż oczu. Jakiś mężczyzna co chwilę wstaje i przeszukuje kieszenie, po czym siada i przelicza paszporty: swój, swojej żony i trójki dzieci. Mija pięć minut. Patrzą, jak litery na tablicy odlotów obracają się i pokazują nowe miejsca, na których widok ludzie powoli wstają i odchodzą.

Szlaban, przez który muszą przejść, ma w sobie coś z ostateczności – składają się na niego dwa stanowiska, gdzie odbywa się ostatnia kontrola. Słyszałam, że zatrzymywano tutaj ludzi tuż przed wyjazdem z kraju, konfiskowano im paszporty, zabierano ich do więzienia. Dziś wszyscy przechodzą bez żadnych incydentów. Wkrótce zostajemy tylko my dwoje.

Jesteśmy zbyt odrętwiali, by pić herbatę z papierowych kubków trzymany w rękach, a mimo to zbyt czujni, by się odprężyć. Tutaj musimy być jeszcze ostrożniejsi niż gdzie indziej, by strażnicy nie uznali, że zachowujemy się nieodpowiednio. Co kilka minut omiatają nas wzrokiem bez zainteresowania, jakbyśmy byli niczym. Tylko że my jesteśmy przeciwieństwem niczego.

To coś zaczęło się zwykłym „cześć” w ogrodzie, adresem nabazgranym w notesie, zaproszeniem na naukę gotowania ryżu z chrupiącą skorupką. W przeciągu czterech i pół tygodnia to coś uwiodło mnie i nie chciało puścić, sprawiło, że przestałam zauważać innych mężczyzn. To coś spowodowało, że teraz siedzę i obracam wciąż nieoswojoną obrączkę na palcu i wstrząśnięta wpatruję się w podłogę.

Zamykam mocno oczy, by uwięzić łzy pod powiekami, by je wchłonąć w siebie, zanim popłyną mi po twarzy. Czuję, że drżą mi kąciki ust. To ja wyjeżdżam, to ja trzymam papierowy bilet w dłoni, ale wydaje mi się, że jest na odwrót – że zabierają mi Vahida.

Wiem, jaki obrót przybiorą sprawy między nami. Mejlę, drogie rozmowy telefoniczne, powolna, nieuchronna erozja, która się wkrótce rozpocznie; dziwny splot okoliczności, który wchłonie nas w życie innych ludzi, a potem z taką samą siłą rozerwie nasz związek. Boję się, że gdy dojadę do domu, wszystko przestanie mieć sens, albo przeciwnie, przez cały czas będę myślała tylko o nim.

Jeszcze raz patrzę na tablicę odlotów, gdzie przy nazwie „Londyn” zaczęło migać zielone światełko, a potem zerkam na to, co wyświetla się poniżej. Nie wiem, co mam nadzieję tam znaleźć. Oprócz kilku europejskich stolic jest lista dużych, bezdusznych miast na Środkowym Wschodzie: Doha, Abu Dhabi i Dubaj. Czuję się zawiedziona i rozczarowana. Ale potem patrzę jeszcze raz. I wtedy to zauważam.

Odwracam się do Vahida, on patrzy na mnie. Przyglądam mu się i zastanawiam, jak go poprosić. Policzki mam gorące i przykładam do nich dłonie.

– Spotkajmy się w Stambule – mówię. – Za dwa i pół miesiąca. Mój przyjaciel ma tam mieszkanie. Może nam pożyczyć klucze. Masz czas na wyrobienie paszportu i nie będziesz potrzebował wizy do Turcji. Latem będę miała przerwę pomiędzy kursami. Możemy... – Milknę, bo głos mi więźnie w gardle. – Możemy znowu być razem.

Wygląda na zmęczonego, oczy ma pełne łez. Nie mówi ani słowa, ale widzę, jaka jest odpowiedź. Rozpoznaję ten sam głód i odwagę w jego postawie, ten sam blask czułości i nadziei. Czuję przyływ emocji i wdzięczności. Otworzyła się przed nami nowa droga.

Sięgam po torbę. Vahid kładzie dłoń na mojej. Potem odwraca się do mnie plecami, zostawia mnie i odchodzi, a ja ocieram płynące po twarzy łzy.

Patrzy na mnie strażnik, więc zbieram się w sobie. Czuję wagę każdego gestu, pieczętkę, którą przystawia w moim paszporcie, przedarcie karty

pokładowej, wszystko to, co odciąga mnie daleko stąd.

Zatrzymuję się i odwracam, by ostatni raz spojrzeć na Vahida, ale już go nie ma, prawdopodobnie walczy o miejsce we wspólnej taksówce. Wraca do swojego zwykłego sposobu podróżowania. Beze mnie znów jest anonimowy i zwinny.

Idę przed siebie, mój smutek zmienia się w coś większego: pilną potrzebę i chęć, by zmienić swoje życie i wrócić do niego. W jakiś sposób ta pospieszna umowa dała nam poczucie siły, której do tej pory byliśmy pozbawieni.



## *Epilog*



Do Iranu wróciłam jeszcze dwa razy w ciągu roku. Vahid przeprowadził się do Teheranu, gdzie znalazł pracę i przez krótki czas mieszkaliśmy razem w małym mieszkaniu.

W tym czasie ponownie wybrano Ahmadineżada. Dwa miliony ludzi wyszły na ulice. Kanały informacyjne na całym świecie pokazywały Nedę umierającą na chodniku, krwawiącą z nosa i ust. Odbywały się wiece i antyzachodnie demonstracje. Zamknięto ambasady i zagraniczne firmy.

Pomiędzy tymi wizytami spotykaliśmy się tam, gdzie mogliśmy. Tbilisi. Erywań. Dwa razy Sztambuł. Wszędzie tam, gdzie Vahid mógł pojechać na irańskim paszporcie.

Potem, w pochmurny czwartkowy wieczór, rok po tym, jak się poznaliśmy, pojechałam na Heathrow, by go odebrać i przywieźć do domu.

W drodze na lotnisko próbowałam wyobrazić sobie, jak opuszcza Iran: zamyka drzwi mieszkania, w którym razem mieszkaliśmy, jedzie samotnie taksówką na lotnisko, ponieważ żaden krewny nie mógł go odprowadzić, i patrzy przez okno samolotu na zamglony, oddalający się Teheran. Wyobrażałam sobie, ile odwagi i wiary musiał mieć, by przyjechać tutaj, do Londynu, do mnie.

Kiedy oznajmił rodzicom, że wyjeżdża, jego mama powiedziała: „Ostrze Jennifer tnie lepiej niż nasze”.

Codzienne sprawy mojego miasta są dla niego zagadkami i czuję dumę oraz radość, gdy rozwiązuje je jedną po drugiej. Kiedy siedzimy razem w stoickiej ciszy British Library, czuję jego piżmowy zapach. Uśmiecham



się, gdy mlaska, jedząc lody o smaku słonego karmelu, i moczy różek w filiżance słodkiej czarnej herbaty. Uwielbiam to, że wciąż podaje mi rękę na przywitanie w miejscu publicznym, ale teraz jeszcze dodaje do tego mokry pocałunek w policzek. Na palcach nosimy nowe proste, srebrne obrączki, upamiętniające cichą ceremonię ślubną w urzędzie stanu cywilnego, która odbyła się w jakieś wtorkowe popołudnie.

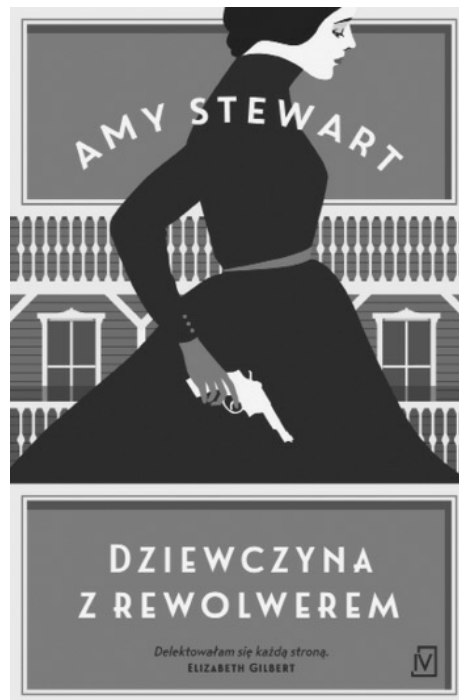
Trudno sobie wyobrazić taki Iran, w którym moglibyśmy spacerować swobodnie, bez wścibskich pytań, gdzie dałoby się wieść normalne życie. Iran, mimo swojej magii, skazał nas na banicję. Nie rozmawiamy o tym, ale wiem, że oboje się denerwujemy, a nawet boimy tego, co przyniesie nam przyszłość. Nasz związek został utkany z kawałków poświęcenia, silnej woli i rozpaczki, i sprawił, że czasami bywamy niespokojni i nadwrażliwi. Ale naszą wspólną historię wciąż uznajemy za cud; potężna siła, która przywiodła nas do tego miejsca, często każe nam się zatrzymać: uśmiechnąć, sięgnąć ku sobie ponad stołem i w tej samej chwili pokręcić głową ze zdziwienia, że odbyliśmy razem taką podróż.

## POLECAMY



Chcesz być doskonała? Musisz się bardziej postarać. Musisz zmienić kolor włosów, odchudzić się, zlikwidować cellulit, worki pod oczami, podnieść owal twarzy. Wykupić kurs angielskiego dla dzieci. Basen i rolki. Nauczyć się piec chleb i robić kolorowe kanapki dla dzieci niejadków. Wyprasować stos koszul. Odnieść sukces w pracy i koniecznie znaleźć czas dla przyjaciółki, którą rzucił mąż, chociaż tak się starała, zrzuciła pięć kilo, usunęła cellulit, zrobiła dermabrazję, wypełniła zmarszczki, skorygowała owal, prasowała koszule, robiła kolorowe kanapki dla dzieci niejadków, a z chleba istne salto mortale.

## POLECAMY



Prawdziwa i fascynująca opowieść o pierwszej kobiecie, która była zastępcą szeryfa!

Nowy Jork, lata dwudzieste ubiegłego stulecia. Trzy siostry prowadzą położoną na uboczu farmę i żyją w izolacji od świata. Jednak kiedy pewnego dnia w ich powóz wjedzie samochód prowadzony przez mężczyznę, z którym lepiej nie wchodzić w zwadę, spokojny i poukładany świat sióstr Kopp legnie w gruzach.

Jedna z nich – Constance – będzie zmuszona wziąć sprawy we własne ręce. Odważnie stawi czoło niebezpieczeństwu, za wszelką cenę starając się obronić swoją rodzinę. A przy okazji zapisze się na kartach historii jako jedna z pierwszych kobiet piastujących stanowisko zastępczyni szeryfa w Stanach Zjednoczonych.

Amy Stewart wydobyła na światło dzienne zapomnianą postać historyczną Constance Kopp, czyniąc ją bohaterką fantastycznej, porywającej opowieści.



## *Spis treści*



[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Epilog](#)

[Polecamy](#)